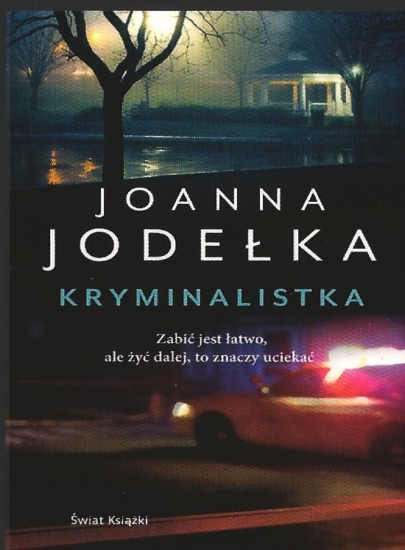
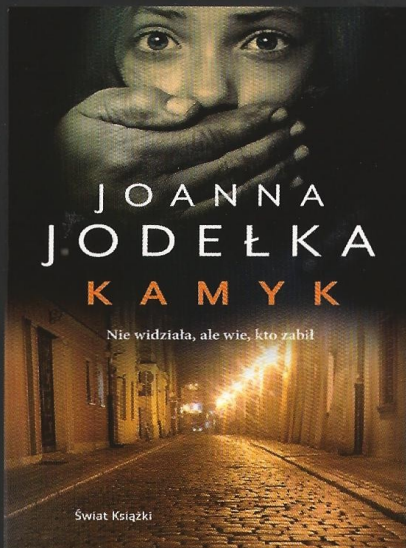


JOANNA  
JODEŁKA  
WARIATKA

Szpital to idealne miejsce, by ją zabić

Świat Książki



JOANNA  
JODEŁKA  
WARIATKA

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Wydawcy  
Grażyna Woźniak  
Joanna Laprus-Mikulska

Redaktor prowadzący  
Katarzyna Krawczyk

Redakcja  
Mirosław Grabowski

Korekta  
Ewa Grabowska Jadwiga Piller

Copyright © by Joanna Jodelka, 2016  
Copyright © for this edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa  
2016

Świat Książki  
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Łamanie  
Joanna Duchnowska

Druk i oprawa  
Opolgraf sà

Dystrybucja Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j. 05-850  
Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91 e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl), tel.  
22 733 50 10 [www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

ISBN 978-83-8031-181-7  
Nr 90096116

Spójrz na mnie! Natychmiast! Po co tu przyszedłeś?!

Cisza!

Nie słyhać mojego krzyku? Nie dziwię się. Nie otwieram ust. Tylko ty który to czytasz, wiesz, że wykrzykuję to całą sobą.

Tymi wykrzyknikami mogłabym zabić... gdyby tylko udało się je naostrzyć.

Ale o co? Jest tylko ten odrapany stół i dwa krzesła. Wszystko solidne, zespawane - tak, by nie dało się wykręcić ani jednej śrubki. Nie dziwię się. Mogłabym którąś wydłubać, a potem wbić w oko temu grubasowi, co obserwuje nas zza szyby.

Z rękami założonymi na piersi. Ze znużeniem... Nie spuszcza z nas wzroku - ten babochłop. Jest tępy i ta tępota to jego tarcza.

Ale właśnie tylko ono - to coś na pograniczu, co nie może się zdecydować, czy być babą z futem, czy facetem z cycami - nie ufa mi.

Ono jedno w całym tym szpitalu. Nie uśmiecha się do mnie. Nie współczuje. Nie jest przychylne.

Obserwuje tylko. Bez przerwy.

Nie martw się, nic ci nie zrobię... Nie chce mi się.

Moje ciało waży tonę. Jak pomnik. Tors jest z mosiądzu, a ręce i nogi z ołowiu. Myśli też mam metalowe. Wolno płyną. Gęste jak rtęć. W gardle stop tego wszystkiego.

Patrz więc sobie do woli. Na mnie i na tego, który siedzi naprzeciwko mnie.

Ma naiwną twarz. Przesuwa po niej otwartą dłońią od czoła w dół, zaciskając palce na brodzie. Jakby chciał coś zetrzeć...

Kłopot chce zetrzeć. Powiedziałabym mu... nie uda ci się. Ale nie chce mi się otwierać ust.

Nie zareagowałam, gdy się przedstawił. Nie zainteresował

mnie, ani sobą, ani nazwiskiem, ani niczym. Plół coś trzy po trzy. O czymś, co było mi obojętne. O niczym.

Odwracał przy tym głowę i wzrok.

Brzydził się mnie.

Wzruszyłabym ramionami, gdyby mi się chciało. Ale mi się nie chce. Za ciężka jestem.

I wiem, jak wyglądam.

Śmierdę.

Nie chce mi się myć. Czuję wokół siebie kwaśny pot. I ten smród mi nie przeszkadza. Otula mnie. Chroni przed wszystkimi, którzy chcą się do mnie zbliżyć. Pasuje mi.

Tak samo jak włosy. Grubymi, tłustymi strąkami opadają na twarz pełną czerwonych plam i rozdrapanych pryszczycy. W kącikach ust pieni się ślina. Później ją przełknę.

Wysuwam tylko głowę na długiej szyi z za przygarbionych pleców. Niczym żółw ze skorupy.

Mam puste oczy.

Zastygła. Otępiała. Krzywo wygięta jestem... Ale nie przeceniaj się, chłopczyku o naiwnej twarzy!

Już myślę sobie. Powoli, ale myślę sobie, że gdyby tylko chciało mi się kiwnąć palcem... małym palcem... nie ode-rwałbyś ode mnie wzroku. A jeśli uruchomiłabym całą rękę, byłbyś marionetką, podrygującą, gdy tylko czubkiem języka oblizalabym usta.

Ale nie chce mi się tego palca przesunąć nawet o milimetr. Języka też nie.

- To ja już pójdę - mówi w końcu chłopiec.

To idź - mówię, nie mówiąc nic. Patrzę tylko, jak wstaje i zawraca w pół drogi.

- Zostawię książkę - dodaje przeproszającym głosem. Zostawia. I idzie przeproszającym chodem.

Idź - myślę.

I bezwiednie poruszam otępiałymi oczami. Patrzę na książkę.

Książkę?

Z moim nazwiskiem na okładce. Napisaną dawno temu... Pierwszą. Nigdy nieopublikowaną. Przecież.

Moje rozcapierzone palce suną po stole w jej kierunku. Myśli

też mam poruszone.

Spójrz na mnie! Natychmiast! Po co tu przyszedłeś?! - teraz to krzyczę.

Moje ciało wrzeszczy bezgłośnie... Ale naiwny chłopiec tego nie słyszy. Odchodzi niepokieszony Z opuszczoną głową. Z zaciśniętymi pięściami w kieszeniach.

Z niczym.

Nie martw się. Jeszcze cię pocieszę...

Myślę sobie znowu. I tą myślą popycham rękę, by się przesunęła... i jeszcze raz to poczuła! Tę doskonałą chropowatość stu pięćdziesięciu papierowych kartek.

Jedna na drugiej! Jedna na drugiej, jedna na drugiej, jedna na drugiej, jedna na drugiej, jedna na drugiej, jedna na drugiej... jedna na drugiej... jedna na drugiej...

Drzę w bezruchu.

I tylko ten tępy grubas zza szyby coś widzi. Opuszcza złożone na piersi ręce. I robi krok w kierunku drzwi. Patrzy na mnie i na moją książkę.

Nie martw się. Nie zjem jej! - syczę jak kobra. Z zaciśniętymi ustami.

Tylko sobie na nią patrzę...

I wiem już dlaczego...

Powoli to wiem.

Wiem, dlaczego ktoś chce mnie zabić...

- Chcę laptop... Będę grzeczna - mówię najcichszym z szeptów.

I dostaję.

I teraz piszę. I chcę, żebyś to przeczytał. Ty!

Nie! NIE CHCĘ - żądam!

Będziesz moim świadkiem.

- Zaczynaj...

Jedna po drugiej, jedna po drugiej, jedna po drugiej, jedna po drugiej, jedna po drugiej, jedna po drugiej, jedna po drugiej, jedna po drugiej, jedna po drugiej.

Joanna bardzo długo gładziła palcami klawisze. Przesuwała po nich opuszkami delikatnie i powoli, jakby chciała przywitać każdy z osobna. Nawet te nigdy nieużywane. Te z nawiasami kwadratowymi i klamerkami. I ten z apostrofem. I kilka innych, których przeznaczenia nie poznała. I nie zamierzała poznać, bo nie były jej do niczego potrzebne. Nie oderwała wzroku nawet wtedy, gdy koleżanka z sąsiedniego łóżka zaczęła szturchać ją w ramię. Nie reagowała, choć tamtej się nie znudziło. Nie była dzieckiem, więc nie było też nadziei, że się znudzi. Poza tym tacy zazwyczaj się nie nudzili, a już na pewno nie powtarzalnością ruchów czy słów - wprost przeciwnie. Ta powtarzalność dłubania, rwania, skubania, monotonnego wypowiedania w kółko tych samych wyrazów oddziaływała na nich uspokajająco - czyli zupełnie odwrotnie niż na tych, którzy nie byli pacjentami.

Joanna o tym wiedziała. I to jej nie przeszkadzało. A nawet odpowiadała jej ta rytmiczność zaczepek. Mogła przecież krzyknąć na namolną sąsiadkę albo przestraszyć ją tak, by uciekła w kąt łóżka, zakryła oczy kołdrą i nie wyjrzała spod niej przez dwa dni - ale jej się nie chciało. Nie tym razem.

Tym razem postanowiła być grzeczna i posłuszna. Jeść zupę do końca i brać leki, jakie jej przyniosą. Udawało się. Większość patrzyła na nią życzliwie lub uśmiechała się z pobłażaniem, widząc, jak przykłada do piersi darowany laptop. Myśleli, że świadczy to o powolnym dochodzeniu do zdrowia. Widzieli w tym przejaw aktywności. Mylili się... Przynajmniej częściowo.

Nie chodziło tylko o urządzenie, które było jej przypisane. Jak atrybut świętej. Bez którego czuła się niekompletna i bezwartościowa. Pisała przecież książki. O czym wiedział każdy, począwszy od ordynatora, przez paqentow, na sprzątacze skończywszy. Chodziło o coś znacznie ważniejszego. O życie! I nie o zwykły powrót do zdrowia, ale o życie w sensie zwyczajnym. Biologicznym. Być albo nie być. Zwykle, regularne wdechy i wydechy. Które ktoś mógł przerwać.

Była pewna, że jest w niebezpieczeństwie. I była pewna jeszcze jednego - tutaj nikt jej w to nie uwierzył!



To przeświadczenie zakiełkowało jeszcze przed wizytą chłopaka, który przyniósł jej książkę. Tyle że wcześniej nie mogła tego, co się wokół działo, poskładać w sensowną całość. Oplatała ją masa szczegółów i zdarzeń, na które nie reagowała. Były jak porozrzucane płytki w scrabble'u. Można było ułożyć z nich słowa - UWAŻAJ albo ZAGROŻENIE, albo nawet ŚMIERĆ. Miała wszystkie litery przed oczami. Dobrze punktowane! Ale co z tego, skoro same litery znaczenia nie mają, a kolejności nie potrafiła im nadać... Poza tym nie obchodziło jej ani to, ani cokolwiek innego.

A zaczęło obchodzić dopiero, gdy zobaczyła książkę. Ze swoim nazwiskiem na okładce. Z postacią odwróconej tyłem dziewczyny. Wysokiej, z jasnymi, długimi włosami, w czerwonej sukience z chińskiego jedwabiu... Rozpoznała ją.

I ten tytuł... *Zaginęłaś czy ktoś cię zabił, Justyno?* - wytłoczony, lakierowany, lśniący. Długo pocierała go palcami, porządkując chaos w głowie. I chaos na całym świecie. Łączyła mozolnie strzępy pamięci, splatała myśl z myślą, szczegół ze szczegółem i wiązała ze sobą fakty. Z początku nieskładnie, a potem już każdego dnia coraz sprawniej, aż pojawił się obraz sytuacji. Właściwie ledwo utkany zarys, ale wystarczający, by przypuszczać, że wkrótce coś się wydarzy. Nie przeraziło jej to. Raczej zaciekawiło.

Ciekawość sprawiła, że myślała o tym intensywnie. Przez cały czas... Ale nie zmieniając wyrazu twarzy. Nie poruszając oczami. Ostrożnie. Najostrożniej, jak się da. Tak, by nikt nie zauważył. Jeden błąd już popełniła. Więcej nie mogła.

Tego też była pewna. I dostała potwierdzenie już pierwszej nocy po tym, jak zobaczyła tę książkę. Wtedy zaatakowała ją Nikola.

Nikola, dwudziestotrzyletnia niegroźna schizofreniczka, usiadła na niej, gdy spała.

Była gruba i ciężka. Już samo to wystarczyłoby, żeby zadusić ją na śmierć. Joanna zdołała tylko otworzyć usta, ale nie mogła ani zaczerpnąć oddechu, ani wydobyć z siebie żadnego dźwięku prócz charczenia. Wielkie pośladki w kraciastej piżamie rozlały się po jej klatce piersiowej i zaczęły ją miażdżyć. Jakby tego

było mało, Nikola wpychała jej w otwarte usta róg poduszki, i to tak, jakby zamierzała wepchnąć ją do gardła. Całą.

Joanna miała wrażenie, że oczy wypłyną jej na wierzch.

Widziała rozczochrane włosy Nikoli. Nadęte policzki. Zaciekle usta. Wiedziała, że ta nie przestanie. Nigdy. Poczowała ból w rozrywanych ustach i w końcu zemdląca. Gdy otworzyła oczy, miała zarzyganą koszulę. Czuła ból w klatce piersiowej i obolałych wargach. Kilka osób trzymało szarpiającą się Nikolę, która nim dostała zastrzyk, wykrzyczała, że musi ją zabić... „bo ona grzebie laserem w jej głowie... bo chce zmienić jej kod genetyczny”.

Gdyby Joanna nie zwymiotowała, sama dostałaby coś na uspokojenie i być może nic nie obudziłoby jej intuicji i nie kazało włączyć logiki. Pielęgniarki nie chciały, żeby odpłynęła, dopóki się nie przebierze i nie przemyje twarzy. Miała więc czas. Niewiele, lecz to wystarczyło, żeby zastanowić się nad tym, co powiedziała Nikola.

Dziewczyna była chora, ale i głupia sama z siebie. Joanna słyszała ją wcześniej i była przekonana, że nie skończyła nawet podstawówki. Zapewne jedynym obco brzmiącym wyrazem, jaki знаła, było jej imię, a i z tego chyba nie zdawała sobie sprawy. Jakim więc cudem mogła mówić o laserach i kodach genetycznych? Prawdopodobnie zrozumiała jedynie to, że ktoś jej grzebie w głowie. Skoro można grzebać w śmietniku, można i w głowie. I tym kimś jest Joanna. Nie- dziwne, że się zdenerwowała. Każdy by się zdenerwował! A ona zwyczajnie chciała być zdrowa. Dowiedziała się, kto psuje jej mózg, i postanowiła usunąć przyczynę. To było proste, więc Joanna zaczęła zastanawiać się nad czymś innym. Kto jej to wmówił? I kto ją do tego przekonał? Kto odstawił jej leki? Dziewczyna powtórzyła słowo „genetyczny” dwa razy, trzeci raz nie dała rady, bo było za długie. I nim całkiem odleciała, mówiła już tylko: „Ona mi dłubie... Ona mi tym grzebie! Psuje! Miesza mi! Dlatego mnie boli. Dlatego!”.

Psychiatra, który pełnił nocny dyżur, zbadał Joannę i początkowo był bardzo przejęty jej stanem. Sprawdzał każde zebro. Zlecił jeszcze prześwietlenie, żeby się upewnić, czy

któreś nie jest pęknięte. I uśmiechał się do niej pogodnie, dopóki nie zaczęła mówić mu o swoich podejrzeniach. Przeszedł się uśmiechać i patrzył na nią kontrolującym wzrokiem. Odchylił się i słuchał, podpierając ręką głowę. Próbowowała go przekonać, że grozi jej niebezpieczeństwo, że Nikola sama tego nie wymyśliła, bo za tępa... że ktoś podsunął jej taką myśl. I ona się obawia, że ten ktoś będzie chciał to powtórzyć... Bardzo się obawia. Gdy to mówiła, zaczął notować. I w końcu przejmował się bardziej tym, co sam pisze, niż tym, co ona mówi. Przeszła się do niego odzywać, a wtedy zapytał, czy sama jej nie sprowokowała. Zdziwiła się.

- Niby jak?

- Nie wiem... Może pokazałaś jej piorunochron i powiedziałaś, że co noc wtykasz go przez nos do jej głowy, żeby miała zaburzenia...

- A wszystko po to, bym się obrzygała, tak?! Nie chciało mi się wtykać palców do gardła, więc poprosiłam, żeby wepchnęła tam poduszkę?

Miała dosyć. Wtedy on zaczął szeptać coś na ucho pielęgniarki. Joanna usłyszała nazwy kilku leków, które należy jej podać, i ucieszyła się, że nie zdążyła powiedzieć nic o książce. Poddała się. Zmieniła taktykę.

Oni też.

Na tę noc sala z wieloosobowej zmieniła się na jednoosobowy a okrągłe tabletki na owalne. Pielęgniarka, patrząc na Joannę, głośno westchnęła. I wyciągnęła pojemniczek.

- Asiu, nie rób problemów - powiedziała bez przekonania, podając jej lekarstwa.

Joanna często odmawiała, gdy częstowano ją proszkami, w których nie wiedziała, co jest. Ale teraz postanowiła zachowywać się inaczej, więc pielęgniarka nie kryła zdziwienia, widząc, jak pacjentka potulnie bierze tabletki, wkłada do ust, a potem prosi o coś do popicia. Poglądziła ją nawet po włosach i uśmiechnęła się do niej.

Joanna głośno przełknęła, czując w ustach gorzki smak.

- Jeszcze jedna - powiedziała pielęgniarka, dając jej kolejną, prawie płaską tabletkę.

Pacjentka włożyła ją do ust. Znowu przełknęła.

- Mogę dostać swoją powieść? - zapytała, miętoląc w rękach róg nocnej koszuli.

- Jest już późno. Jutro przeczytasz. Za chwilę będziesz spać. - Pielęgniarka ruszyła w kierunku drzwi.

To się jeszcze okaże - pomyślała Joanna, włożyła palec do ust i wyciągnęła pigułkę.

Siostra zatrzymała się w drzwiach. Nic nie mówiła, więc Joanna wepchnęła dwa palce drugiej ręki głęboko do gardła.

- Dobrze już. Zaraz ci przyniosę. - Pielęgniarka westchnęła znużona i wyszła z sali. Wróciła po chwili i znowu głośno wzdychając, podała Joannie książkę. - A teraz będziesz już grzeczna? - zapytała.

Joanna przytaknęła. Chyba niezbyt wyraźnie, bo tamta z niedowierzaniem pokręciła głową.

Nie miała pojęcia, że w tym momencie Joanna przyrzekła sobie, że będzie grzeczna. Przecież nie jest już dzieckiem i wie, jak to się robi! Włożyła z powrotem tabletkę do ust. Przełknęła i uczciwie pokazała gardło.

Musi być grzeczna, bo inaczej ktoś ją zabije - pomyślała, wyciągając język w kierunku zagłądającej do przełyku pielęgniarki.

Tylko kto?

Leżąc już w łóżku, otworzyła książkę na chybił trafił. Tu musi być odpowiedź! Strona dwudziesta czwarta, rozdział drugi...

- Odlóż ją już - poprosiła pielęgniarka. - Gaszę światło. Dobranoc.

Dzień był upalny... - zdążyła przeczytać Joanna, gdy w pokoju zapanowała ciemność.

Przytuliła książkę do piersi i mocno objęła ramionami.

Nie potrzebowała światła, by wiedzieć, co tam jest napisane. Słowo po słowie. Pamiętała wszystkie. Tak dobrze, jak tylko można pamiętać pierwszą książkę. Czytała więc dalej. Dokładnie od tego momentu, w którym jej przerwano.

Dzień był upalny... Prokurator Michalina Donaj włożyła złote baletki...

## Strona 24

Pasowały do dnia. Było słonecznie i ciepło. Jak na dziewiątą rano, nawet bardzo ciepło. W południe mogło być już tylko gorąco. Zaledwie o tym pomyślała, cofnęła się z korytarza do łazienki. I jeszcze raz uniosła rękę, oglądając i wachając pachę. Skrzywiła się trochę, widząc czarne kropki kielkujących włosów. Zgoliła je wieczorem, kiedy pluskała się dwie godziny w wannie. Ale widocznie niezbyt dokładnie albo żyłotka była zbyt tępa. I tak pogratulowała sobie, że się nie pocięła. Pachy przecież zostawiła na koniec. Czyli gdzieś między trzecim a piątym kieliszkiem wina, kiedy to już nie kleła i nie płakała, tylko pociągała nosem, dogaszając papierosy pianą i obmyślając różne warianty zemsty na kolejnym dupku, który zszargał jej nerwy. Zasnęła, dokończywszy butelkę, tę, którą wyniosła z łazienki, i pociągnąwszy trochę z następnej. Miała wolne i do tego trzeba było jakoś się ukoić. Tak pomyślała, budząc się, ciągle zawinięta w biały, miejscami wilgotny jeszcze ręcznik. Był poplamiony winem, więc rzuciła go w kąt i zamieniła na turkusowy jedwabny szlafrok w chińskie wzorki. I tak zamierzała chodzić przynajmniej do wieczora. Dopóki nie zadzwonił telefon.

Nie odebrała cztery razy z rzędu. Na wyświetlaczu pojawiał się „Tomek Palant”. Nie miała ochoty z nim gadać. Tym bardziej że domyślała się, czego może chcieć. Znali się od lat. Z jednego liceum, z jednego roku, z tej samej aplikacji. Odebrała dopiero, gdy zaczął dzwonić z aparatu żony.

- Nie prosz mnie o nic! - wrzasnęła do słuchawki. - Nie pójdę za ciebie do roboty. Nawet jeśli nie żyjesz!

- Misiu, Michaszku, Michalino... Tylko raz.

- Stary, chyba cię popierdoliło! Nie!

- Nie wygłupiaj się... Tytus pobił się w szkole. Dwa przednie zęby złamał...

- Bo miał za długie! Teraz będą w porządku - warknęła do telefonu i ociągając się, poszła w kierunku szafy. Zastanawiając się, co na siebie włoży, spojrziała jeszcze w okno. Słońce raziło w oczy.

- Zobaczysz, jak sama będziesz miała dzieci, wtedy...  
- Nie zanosi się na to. Znowu... jeśli chcesz wiedzieć. -  
Wyciągnęła krótką, jasną, obcisłą sukienkę z mocno wyciętymi pachami.

- Wielkie mi halo - odpowiedział po chwili. - I tak był niższy od ciebie. A radca z niego jak...

- Daruj sobie! - weszła mu w słowo. - Jak się skupię na wyższych, to do końca życia będę za ciebie chodzić do roboty.

- Mówiłem, że pójdzie - usłyszała w telefonie tryumfujący głos.

Warknęła z wściekłości, że nie przetrzymała go dłużej. Poszło mu za łatwo. Choć dla obojga było jasne, że w końcu się zgodzi, że za dziesiątym razem odbierze, że się zwlecze, to i tak się wkurzyła.

- O co te żale? - jęknęła, bo już nie było sensu tego przeciągać, i otworzyła szufladę z biustonoszami. Będzie go trochę widać z głębokich wycięć, więc wybór nie był prosty.

- Samobój. Wyskoczył z okna. Masz niedaleko. Parkowa.

A, no to cielisty z czarną koronką, będzie się fajnie odznaczać - pomyślała. Centrum. Uda się kogoś wyciągnąć na obiad, a jak nie, to wyda całą wyplatę.

- Na co skoczył?! - wrzasnęła do słuchawki. Od tego mogło zależeć, ile czasu to zajmie.

- No nie, stara, gdyby na główkę, tobym cię nie prosił. Na nogi. Stopy mu pękły. Reszta cała. Nie potrwa długo.

- Jasne - westchnęła, patrząc na złote baletki.

- Wiesz... nie mam już czasu... - oświadczył uszczęśliwiony rozmówca.

- Spadaj. - Rzuciła telefon na poplamiony ręcznik, zsunęła z ramion szlafrok i weszła pod prysznic.

Zaparkowała tuż za samochodem policyjnym. Przed kamienicą ciągle było wpatrzone w trupa zbiegowisko. Gapie przepychali się, odciągali dzieci, wysuwali głowy. Jeden przez drugiego. Ale gdy tylko zatrzasnęła drzwi, jeden po drugim zaczęli odwracać się w jej kierunku. Trup od dłuższego czasu

się nie ruszał, a ona tak. Mocnym, sprężystym krokiem. W obcisłej, połyskującej w słońcu sukience. Z rozwianym włosom... Rozstępowali się, gdy szła prosto przed siebie, nie rozglądając się na boki. Była do tego przyzwyczajona. Nie zbaczała z drogi w tłumie. Nigdy. Inni się odsuwali.

Nie było to trudne. Metr osiemdziesiąt wzrostu, z czego większość przypadała na nogi. Poza tym długie blond włosy. Mocno umalowane kocie oczy, które i tak znikwały w konkurencji z szerokimi, wydętymi ustami, uszminekowanymi najczerwieńszą z czerwieni.

Z reguły rozmawiający z nią policjanci dopiero po kilku zdaniach orientowali się, z kim mają do czynienia, a sens jej słów pojmowali później, gdy już się prawie napatrzyli. Choć nigdy do końca. Zabawa zaczynała się od nowa, kiedy Michalina siadała, zakładając nogę na nogę, albo maleńką szczeliną ściśniętych w trąbkę ust wypuszczała chmurę dymu.

Nie inaczej było z dzielnicowym Andrzejem Byстрыm, który długo drapał się po siwej głowie, nim zaczął składnie relacjonować przebieg zdarzeń.

Sześciodziesięcioletni mężczyzna z roztrzaskanymi kośćmi wystającymi z pękniętych, wbitych w ziemię stóp był lokalnym, podobno niegroźnym furiatem. Zbierał rupiecie i z reguły bełkotał coś pod nosem. Mówił niewyraźnie i bez sensu, więc nikt go zazwyczaj nie słuchał. Nie inaczej było, gdy stał na balkonie odrapanej kamienicy i wykrzykiwał niezrozumiałe zdania. Ktoś utrzymywał, że coś o pójściu do nieba, ale reszta nie była przekonana. Potem skoczył. Było kilkoro świadków. Nie odnotowano udziału osób trzecich. Tego wszyscy patrzący byli pewni. Świadcowie zostali przesłuchani i spisani. Lekarz pogotowia stwierdził zgon.

Słuchając o okolicznościach zajścia, prokurator Michalina Donaj wachlowała się torebką i rozmyślała o planach na resztę dnia. Tam, gdzie jest klimatyzacja... Najlepiej chłodnik i jakaś sałata. Może tylko z wątróbką na ciepło. W głowie sporządzała listę osób, które mogłyby zrobić sobie przerwę w pracy. Nie potrafiła tylko się zdecydować, czy ma ochotę zalić się na byłego, czy gadać o czymś zupełnie innym.

Sprawa, w której wyręczyła Tomka, nie była zbyt kłopotliwa ani szczególna. Papiery standardowe. Samobójca, jak zwykle. Bezużyteczne już ciało i nieregularna plama krwi na chodniku. Widok był całkiem przeciętny, więc za bardzo jej nie poruszył. Uważała, że ten temat ma przerobiony. A po samobójcy, który zderzył się z pociągiem, zakładała, że nic nie jest w stanie zrobić na niej wrażenia. Wtedy nie dość, że jedna połowa ciała była na przodzie składu, a druga na jego końcu, to jeszcze przez trzy godziny szukali w lesie głowy. Zresztą w pamięci zostało jej przede wszystkim to, że było cholernie zimno. Poza tym trup to trup. Uczestniczyła w wielu sekcjach zwłok i nigdy nie odwracała głowy, jak to robiło wielu jej kolegów. Raczej ją to umiarkowanie ciekawiło. Stała i patrzyła. Wychodząc, zapomniała, odkładała w głowie na półkę z napisem „praca”.

Zamierzała jak najszybciej zakończyć oględziny i włączyć klimatyzację w samochodzie. Przeglądała właśnie listę kontaktów w telefonie, zastanawiając się, kogo wybrać, gdy dzielnicowy stanął obok i uparł się, żeby jeszcze przeszukać mieszkanie. Nie miała zbytnej ochoty na łażenie po zapyziałej norze, ale dzielnicowy, pracujący w tym rejonie od dawna, wspomniał coś o córce, którą ten człowiek kiedyś miał.

Michalina zastępowała Tomka i mogłaby się jakoś zmyć, jednak westchnęła tylko pod nosem i podreptała za policjantem po zbutwiałych drewnianych schodach na czwarte piętro kamienicy przy ulicy Parkowej...

\*\*\*

Pamiętam ją dokładnie. Ją i te złote baletki, z których można było wyzymać krew.

Pamiętam wszystko dokładnie, mimo że od tego czasu minęło już prawie dziesięć lat.

Gdybyś ty, który to teraz czytasz, ją zobaczył, też byś zapamiętał.

Trzydziestoletnia, wysoka, seksowna, z szerokim, czerwonym uśmiechem i krótkim, ciętym językiem. Nie do zapomnienia. Gdy ktoś mi ją kiedyś przedstawił i powiedział, że jest prokuratorem, roześmiałam się. „Tak! Chyba z filmów



Tarantina" - odparłam.

A jednak była to prawda.

Wtedy wpadłam na pomysł, że nadaje się do książki. Wtedy w ogóle wpadłam na pomysł napisania książki.

Patrzyłam na nią i myślałam. Postać literacka. Dokładnie cała. Dokładnie taka, jaka jest...

Z tym chudym, gnącym się na boki ciałem. Z tą strażacką czerwienią na ustach. Kolorowymi paznokciami targającymi płaczące się, postrzępione, gęste blond włosy. Zawsze niebawalnie ubrana. Ciuchy wyszukane w second handach typu vintage. Z różnych epok i regionów. Lśniące, kolorowe. Z reguły obcisłe...

Miała świadomość swojego ciała i wrażenia, jakie robi na karkach, podstarzałych sędziach, policjantach, kobietach korpulentnych i tych w garsonkach.

Mówiła z niekłamana otwartością...

- Popeliłeś przestępstwo? Cóż, przestępstwa się popełnia... Zobaczmy, co dalej... Jechałeś po pijaku? Złapali cię? No stary! Chyba wiesz, jak jest... Nie pierdol, że nie wiedziałeś...

Nic nie udawała, więc nie trzeba było wymyślać...

Tylko opisać... Jeden do jednego. Jak to się robi tylko raz.

Tylko w pierwszej książce.

Umówiłam się z nią miesiąc po tej sprawie. Jadła sałatę z wątróbką, popijała winem. I opowiadała. Szczegółowo. Ludzie lubią opowiadać mi swoje historie. Bo umiem słuchać. Nie przerywam. Nie oceniam. Tylko zapamiętuję.

Spotkałam się z nią jeszcze parę razy. Wypiłyśmy kilka butelek wina, może kilkanaście. Potem, gdy przestała być prokuratorem, też się widywałyśmy.

Ale już z tego, co mi powiedziała pierwszego dnia, zrobiłam wstęp. Narysowałam postać. Nakreśliłam dla niej tło, by szczegółowo przedstawić późniejsze wydarzenia.

Nie. Nie trzeba było zbyt wiele wymyślać.

Opisałam wtedy wszystko, czego się dowiedziałam o zaginięciu Justyny Lenart.

Wszystko i wszystkich. Wszystkich, z którymi rozmawiałam wtedy i potem. Jeden do jednego. Fakt po fakcie.

Zmieniłam tylko zakończenie!

Więc teraz zastanawiam się, co mi grozi. To, co było prawdą? Czy to, co wymyśliłam?

Fakty chcą mnie zabić czy wyobraźnia?! Rzeczy, które się wydarzyły, czy te, które wydarzyć się mogły.

Popsułam komuś szyki? Niechcący wyjawiałam prawdę? A może to zupełnie coś innego...

Jedno jest pewne: ta książka, odgrzebana po latach, dziś niesie zagrożenie.

Tylko że nikt mi w to nie uwierzy Nie tu.

Tu potulnie łykam tabletki. Działają. Ale nikomu tego nie mówię.

A dopóki znowu mogę pisać, to piszę!

Może to jedno po mnie zostanie.

A ty czytaj dalej.

Idź po moich śladach. I błędź razem ze mną.

\*\*\*

Joanna wcisnęła się w kąt łóżka i odwróciła laptop tak, by siadający przy niej lekarz nie widział ekranu. Psychiatra lekko się uśmiechał. Ale niewiele to znaczyło. Miał misiowaty wyraz twarzy i taką samą misio watą minę. Z półuśmiechem, który wykroił mu się w pucułowatej twarzy na stałe, bez względu na nastrój. Pamiętała tylko, że ma na imię Bartłomiej. Idealnie dla kogoś, kto mógł się stoczyć ze zbocza i nie poczuć kamieni pod pulchnym, nalany ciałem, które rozpychało się pod koszulą, rozciągając dziurki przy guzikach.

Przysunął krzesło do łóżka.

- Lepiej się dziś czujemy? - zapytał.

- My oboje? - Joanna nawet na niego nie spojrzała.

- O! - Uśmiechnął się szerzej, unosząc całe policzki. - To znaczy, że dobrze...

- Tak samo dobrze jak pan. - Tym razem wlepiała w niego wzrok, jak jaszczurka.

Przez chwilę nie mógł znaleźć słów. Musiał się zastanowić, co ona ma na myśli.

Joanna opuściła głowę. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by

określić stan doktora. Przytył trochę. Ciągłe miał ślad po obrączce, która przez dwadzieścia lat musiała nieźle ścisnąć pulchny palec. Może nawet nie obyło się bez ślusarza. Przyzwyczajona do ucisku tkanka ciągle jeszcze się nie rozlazła, choć musiało już minąć trochę czasu. A więc opuchnięte palce, przekrwione policzki, zmierzwiłone włosy. Wszystko to nie świadczyło o dobrej nocy. Tym bardziej że współgrało z idealnie białymi gałkami ocznymi. Gdyby te były równie przekrwione, można byłoby powiedzieć, że pan doktor miał dyżur, chwytą go przeziębienie... i nie byłoby wtedy czego ukrywać. Ale on potraktował je chlorowodorkiem tetryzoli-ny. Rozjaśnił, zakrapiając. I zrobił to parę razy. Bo były idealnie białe. Zbyt białe - ukrywał, że pije! Była już pewna, że doktor nie zaśnie, dopóki nieprzytomny nie zlegnie w pustym łóżku. A potem ledwo się z niego zwlecze. Automatycznie wykonując zestaw ruchów maskujących, by iść w świat i nie dać nic po sobie poznać.

Wiedziała to, ale nie zamierzała mu tego mówić. On - wprost przeciwnie, był wyjątkowo rozmowny.

- Podobno leki zaczynają działać? - zapytał, lecz Joanna nie przytaknęła. - Może w końcu udało się nam trafić. Może to nie lekoodporna depresja...

Nic wam by się nie udało, gdybym nie zechciała - pomyślała, ale nie powiedziała tego, tylko spojrzała w jego kierunku, szerzej otwierając oczy.

W świecie psychiatry znaczyło to tyle samo, co nawiązać kontakt i potwierdzić, więc uśmiechnął się dobrotliwie.

- Słyszałem też, że w końcu zgodziła się pani spotkać ze swoim adwokatem.

Dwa razy zwrot „w końcu”, w dwóch kolejnych zdaniach - pomyślała Joanna. Mówi o sobie - zaczęła mu stawiać swoją diagnozę. To on by chciał, żeby coś się wreszcie skończyło, żeby w końcu tak nie bolało, żeby w końcu sam mógł spotkać się z adwokatem. No tak... Rozwód. I nie jest na to gotowy... Byle wątroba ci wytrzymała - pożyczyła mu w duchu. Rzuć to świństwo. Masz tu cały arsenał lepszych specyfików. Dobrze pomieszane mogą uczynić cuda...

Tak myślała, ale powiedziała tylko:

- Dobrze jest w końcu uporządkować swoje sprawy... - I znowu na niego spojrzała.

- No tak... no tak... - wydukał, przecierając ręką zmarszczone czoło. - Damy mu znać. To dobry adwokat? - zapytał nieoczekiwanie dla siebie. Bo dla niej już nie.

- Dużo rozumie. - Zaśmiała się w głębi serca, pewna, że na jej twarzy nie było tego widać.

- To dobrze - powiedział niemal do siebie i zamyślił się na chwilę. Po czym jakby sam się tego zamyślenia przestraszył.

Patrzyła na niego kątem oka i widziała, jak się otrząsnął. Adwokat z reguły popycha sprawy do przodu, a on przecież chciał, żeby stały w miejscu.

- Słyszałem też, że spotkała się pani z księdzem. Dobra rozmowa? - zapytał, zmieniając temat.

Wzruszyła ramionami.

- Taka sobie - bąknęła pod nosem i odwróciła się.

- Znowu pani pisze. Mogę zobaczyć? - zapytał i bez pozwolenia przekręcił laptop w swoją stronę.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran.

- „Nędza nam z głodu oczka w rosole zamyka” - przeczytał i spojrzał raz jeszcze.

Nie odezwała się. I nie zamierzała niczego wyjaśniać.

- Czy nie dzieje się coś... - próbował zapytać.

- Nie... - szybko odparła Joanna. - Ale proponowałabym zwiększyć dawkę moich leków... - dodała, patrząc mu prosto w oczy.

\*\*\*

Czy on... ten Bartłomiej psychiatra... myślał, że dam mu przeczytać to, co tutaj piszę?

Nie! To nie dla niego! Przecież.

Zresztą nie ucieszyłby się, gdyby przeczytał to, co o nim napisałam. No, raczej nie. Usiłuje ukrywać, że życie doskwiera mu nie mniej niż jego pacjentom .

Zresztą iluż to lekarzy trafia do psychiatrika po tym, jak zaprzyjaźnili się bardziej niż zawodowo z tramalem, dolar-

ganem, niektórzy najodważniejsi nawet z fentanylem. Może, Bartłomieju, też jesteś na tej drodze, tylko jeszcze nie wiesz... Leczysz się wodą zamiast lekami. Słabo. Ja potrafię więcej.

Ale nic mu nie powiem, bo nie może poznać moich planów. Nie może poznać moich lęków. Bo nafaszeruje mnie lekami przeciwlękowymi. A to uśpi mnie i moją czujność. A ja muszę być ostrożna. I to bardzo!

Potrzebuję tylko większej ilości antydepresantów. Czuję już ich działanie i chcę poczuć jeszcze bardziej. Znowu!

Potrzebuję więcej tego leku. I to szybko. Niezwłocznie. Chcę... nie - muszę! Muszę pobudzić swoje neuroprzekazniki. By znowu działały na podwyższonych obrotach i wysyłały poprawne informacje. By kodowały. By łączyły pozornie niepołączone niczym fakty. Muszę myśleć! Muszę słuchać. By w bełkocie kłamstw, które usłyszę, dostrzec prawdę. By zrozumieć, nie co ktoś mówi, tylko dlaczego akurat to. Już Talleyrand powiedział, że język wymyślono po to, by ludzie mogli ukrywać swoje myśli...

Zgadzam się z nim.

Dlatego muszę przyspieszyć, rozumieć więcej, by móc się obronić przed... do końca nie wiem czym. Ale się dowiem tylko wtedy, gdy mój mózg zacznie działać jak kiedyś.

Jak wtedy, gdy mnie tu nie było.

Przed ciężką depresją, która dopadła mnie po śmierci męża.

*Anaesthesia dolorosa* - tak to nazwali.

Znieczulenie bolesne. Poczucie obojętności wobec bliskich. Ogromne poczucie - mogłabym dodać. Brak emocji, i pozytywnych, i negatywnych. Ból psychiczny nie do opisania. Nic nie było we mnie. Człowieka nie było we mnie.

A jeśli w środku nie ma nic? To co może boleć? - na pewno chcesz zapytać.

Powiem ci! To „nic” boli najbardziej. Do niczego nie można tego porównać, bo „nic” nie ma, więc nie daje się porównywać!

Teraz już wiem, że to, co przyszło potem, to urojenia. Potworne urojenia.

Myślałam o sobie jak o grzesznicy, która popełniła karygodne uczynki. Myślałam, że zasługuję na potępienie. Na wszystko co

najgorsze. Na skazanie. Na aresztowanie. Na więzienie. Wieczne. Do śmierci. Szukałam śmierci, by przestać czuć ten ból. Ból niczego...

Tak było przed elektrowstrząsami.

A teraz musiałam na chwilę oddać laptop. Lekarz Bartłomiej trochę zbyt się zainteresował wystukanyim sto razy zdaniem. Nie oponowałam.

Babochłop powie mu, że powtarza to ciągle stara Zocha z wąsem, co patrzy na windę i myśli, że ta ją do nieba zabierze. Ta z pokoju numer 5. Ja mu ładnie potwierdzę, że zapisuję sobie zdania innych. Dlaczego sto razy? Na pamiątkę powtarzania. Poza tym tak się skupiam. Powiem mu to rzeczowo i logicznie.

Tak samo, jak rzeczowe i logiczne jest to zdanie: „Nędza nam z głodu oczka w rosole zamyka”. Może ma sens, a może nie. Zresztą po co szukać sensu, którego w niczym nie ma?

No po co?

Prawdziwy tekst ukryłam w pliku pod spodem. Wiedziałam, że będzie chciał mi zaglądać w ekran. To oczywiste. Chce poznać moje myśli, ale mu na to nie pozwolę! Tego tekstu też nigdy nie znajdzie. Nie dlatego, że umiem tak dobrze chować - a umiem - ale dlatego, że on nie będzie go szukał. Na tyle go poznałam, choć on nawet nie wiedział, że go uważnie obserwuję... I będę obserwować.

Tymczasem spotkam się z moim adwokatem. Kiedyś też przyjacielem. Musimy sobie coś wyjaśnić.

I jeszcze jedno - muszę stąd wyjść. Moja zupa miała dziś dziwny smak. Tym razem jej nie zjadłam.

Raz nie ambaras - jak powiedziała męskim głosem gruba pielęgniara.

Nie myśl, że się nie zastanawiam, czy to nie nawrót choroby. Czy to nie jakieś urojenia prześladowcze?

Może.

A jeśli nie?! Dlaczego właśnie teraz, gdy ukazała się ta powieść? Gdy przyniósł mi ją nie wiadomo kto... Z tym nie wiadomo kim też się spotkam!

Muszę to wszystko wyjaśnić.

Oddałam prawa do książki siedem lat temu. Na siedem lat. Byłam młoda, a ona była pierwsza. Cieszyłam się, że w ogóle ktoś chce ją wydać. Każdy by się cieszył, słysząc tyle zachwyków na swój temat. Po tym, jak żaden inny wydawca w ogóle się nie odezwał. Nie zaszczycił mnie nawet mejlem zwrotnym.

Podpisałam, co mi dali do podpisania. I to z uśmiechem od ucha do ucha!

Potem przyjaciel adwokat głośno się śmiał z mojej i ogólnie ludzkiej głupoty. Miał rację. Nic nie mogłam zrobić przez siedem lat. Kupili te prawa, nie wkładając w to pieniędzy, więc nic dziwnego, że potem nie zamierzali wydać. Niby stwierdzili, że nie rokuje. Raptem! Że trzeba poczekać na moment, w którym uznają, że się sprzeda. I to oni mają prawa do tego momentu - wyłącznie! Czekałam, wyjąc z bezsilności... A potem przestałam czekać i napisałam drugą. Umowę podpisywał za mnie adwokat. I ta się ukazała. Tak samo jak wszystkie kolejne.

Tamtą puściłam w niepamięć. Kolejne były lepsze. Tak myślałam.

Do teraz...

Kiedy trzymam ją w rękach i czytam o tych złotych baletkach, tak nasiąkniętych krwią, że można je było wyżywać... Myśle, że to całkiem niezłe...

Poza tym widziałam te baletki na własne oczy. Nigdy później nie byłam tak blisko opisywanych zdarzeń.

Do teraz.

No, może jeszcze raz.

Ale po kolei.

Tak przedstawiłam Michalinę i jej świat, o którym tyle wiedziałam...

\*\*\*

Strona 27

Prokurator Michalina Donaj syknęła z bólu, gdy drzazga wbiła jej się w palec. Wiedziała, że nie powinna chwytać się futryny ani czegokolwiek w mieszkaniu, do którego weszła, ale zrobiła to odruchowo, potykając się w półmroku o jakiś żelazny rupieć leżący na podłodze w korytarzu. Nawet nie

wiedziała, co to było, zachrząsało tylko jakimś zardzewiałymi sprężynami. Nie zamierzała się schylać i tego sprawdzać.

Zatrzymała się, patrząc na dzielnicowego, który szedł przed nią, i zakłęła w duchu.

Jeszcze chwila, a będę śmierdziec na kilometr - pomyślała, stojąc niczym strach na wróble z lekko uniesionymi rękami, by się nie spocić.

W mieszkaniu panował nie tyle zaduch, ile smród -- stęchlizny, wilgoci, starego moczu i... Znała ten zapach, ale nie potrafiła go zidentyfikować. Coś cuchnęło, ale inaczej. Nie pasowało do miejsca. Nie zamierzała w to wnikać.

- Długo jeszcze?! - zawołała w kierunku dzielnicowego, który też się potknął o przewrócony taboret i od tego momentu posuwał się już znacznie wolniej. - Bo nogi mi się spociły - burknęła pod nosem i zaczęła przebierać palcami w butach. Najpierw zwyczajnie, trąc palcem o palec, lecz po chwili uniosła całą stopę i odkryła, że to nie stopa się spociła, tylko płócienne złożone baletki stały się wilgotne.

W co ja wdepnęłam? - pomyślała, podnosząc to jedną, to drugą nogę. Przyklejały się do starego linoleum.

- Co to, kurwa... - nie dokończyła, gdy rozległ się krzyk dzielnicowego.

- O Boże! O Matko Przenajświętsza!

- Co tam się stało?! - Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku policjanta, któremu zacięła się taśma na wzywaniu Boga nadaremnie.

- O Boże! O Jezu...

- Czekamy, aż zstąpi na ziemię, czy co?! - wrzasnęła, człapiąc w przyklejających się do podłogi butach. Przy jednym kroku prawie zsunęły jej się ze stóp.

- Odsuń się pan! - powiedziała, gdy w końcu stanęła za plecami dzielnicowego, który się nie ruszał, tarasując przejście.

Chyba jej nie słyszał.

Nie czekała i z całej siły walnęła go w ramię. Spojrzał na nią. Miał otwarte oczy i usta. Odepchnęła go i weszła krok dalej. Tym razem poczuła, i to wyraźnie, że coś prawie mlasnęło pod



jej stopami. Ale nie zdążyła się przyjrzeć, co to takiego. Zastygła.

W pokoju było pełno krwi, porozrzucanych przedmiotów i poprzewracanych mebli. I plecy dziewczyny z wbitą w nie siekierą. Rozkraczone, bezwładne nogi leżały na podłodze, zbroszony tułów na wyliniałym tapczanie, z rękami pod głową, dziwnie skulony. Że ofiara była młoda, Michalina wiedziała od pierwszej sekundy, gdy tylko na nią spojrzała. Kolorowe, kwaciaste, okrwawione dzinsy naciągnięte na niemały tyłek. Zza wpijającej się w ciało gumki wystawały cienkie paski stringów. Rozsypane włosy upačkane były krwią, mimo to dało się dostrzec dwukolorowe różowawe pasemka. I na ramieniu tatuaż jakiegoś stwora, być może motyla, ale był ledwie widoczny, bo w połowie rozcięty. W to miejsce też musiała uderzyć siekiera, nim wbiła się w plecy. A wbiła się tak mocno, że ciągle sterczała pochylonym w powietrzu trzonkiem.

Michalina opuściła głowę i na moment przymknęła powieki, by się skupić i zebrać myśli.

- Dobra, może uda się zawrócić karetkę. Bez sensu. Wszystko jedno, jaka przyjedzie. I tak utknęłam - mruzczała pod nosem, patrząc na swoje buty. - Kurwa - zakłęła i otworzyła szerzej oczy.

Dopiero teraz zobaczyła, w co wdepnęła. Baletki całe prześiąkły krwią. Widać było tylko złote obwódki wokół stóp. Musiała stanąć dokładnie tam, gdzie zabójca zdzielił ofiarę pierwszy raz. Tu dziewczyna uciekała...

- Dzwonimy po ekipę! - zdecydowała prokurator, przywołując siebie i osłupiałego dzielnicowego do porządku.

- Nigdy... nigdy wcześniej... nie widziałem czegoś takiego... - zaczął dzielnicowy. Głos wiązał mu w gardle i zanikał jak u chłopca przechodzącego mutację.

- A ja widziałam wczoraj przy śniadaniu - warknęła.

Potrzebowała pomocy i nie chciała się rozczulać. Poza tym, patrząc na policjanta, zaczęła się bać, czy ten za chwilę nie zejdzie na zawał.

- Panie! Trzeba to ogarnąć, samo się nie zrobi - dodała, patrząc mu w oczy.

Dzielnicowy wlepił w nią wzrok, jakby nie docierały do niego jej słowa.

- Ona nie żyje - stwierdziła na głos to, co było już oczywiste. Ostrze tkwiło w plecach wbite po sam trzonek. - Niczego nie dotyka... - Nie zdążyła dokończyć, bo rozległ się dziwny pisk, który mógł wydać z siebie kot albo...

Nie patrząc pod nogi, zrobiła krok do przodu i przechyliła się tak, by spojrzeć na dziewczynę z boku.

I wtedy dostrzegła gołą stopkę wystającą spod zaciśniętych ramion.

- O kurwa! Ona trzyma dziecko! - wrzasnęła i rzuciła się w kierunku ciała.

\*\*\*

Kiedy mi to opowiadała, też krzyknęła.

W sumie się nie dziwię. Taki widok robi wrażenie. Ja oglądałam tylko zdjęcia, a i tak musiałam zakrywać usta ręką.

Mały chłopiec nie przeżył.

Cud, że w ogóle jeszcze oddychał, gdy Michalina Donaj ściągała z niego zarąbaną matkę.

Przekrzywiła się, pokazując mi rękami, jak przerzuca ciężkie ciało, by z zaciśniętych ramion wydobyć niemowlę. Młoda matka obejmowała je najszczelniej, jak się dało. Musiała już wiedzieć, że sama nie przeżyje. Chciała je tylko ochronić przed atakiem rozszalałego dziadka. Dziecko miało siniak wokół kostki i ślad wgniecenia w części twarzowej czaszki, jak później stwierdzono. Nie można wykluczyć, że złapał je za nogę, by uderzyć jego głową o ścianę.

Jak siepacze Heroda niemowlęta w Betlejem. Może widział takie biblijne obrazki. Ja widziałam i często o nich myślę w radosne święta Bożego Narodzenia. Zastanawiam się, po co taka rzeź na początku historii. A może każda dobra historia musi się zacząć od porządnej masakry... Dzieciobójstwa na przykład.

- Siniąło na moich rękach! - opisywała dalej Michalina Donaj głosem, w którym ciągle było mnóstwo czystej wściekłości. Na świat, na Tomka... że za niego tam pojechała, na dziecko... że

nie umarło wcześniej, na karetkę... która, zdawało się, jechała wieki, na dzielnicowego, co stał bezradnie jak cipa i nie zrobił nic...

Choć nie wiadomo było, co miałby zrobić innego, niż stać i patrzeć na okrwawioną panią prokurator, okrwawione dziecko i siekiere, która, solidnie wbita, utrzymywała w dziwnej pozycji odwrócone z trudem na bok dało dziewczyny.

- Stara, mówię ci, jatka! - Michalina Donaj kręciła głową. - Musiałam pożyczyć worek na trupa, by go rozłożyć w samochodzie, zanim tam usiadłam. A i tak upačkałam wszystko.

- A złote baletki? - zapytałam, ciągle wyobrażając sobie, jak brodzą we krwi.

- Wrzuciłam do pralki, razem z resztą ciuchów... ale nie przeżyły tego.

- Wyrzuciłaś? - Ciężko było mi ukryć rozczarowanie.

- Nie. Chyba. - Michalina się zamyśliła. - Skurczyły się w tym praniu i zostały plamy. Wyniosłam je na balkon... Chyba... Zresztą pewnie i tak bym ich nie nosiła. Tej kiecki też już nie włożyłam i nie włożę. Będzie mi przypominać tego świra.

Nie dziecko? Nie dziewczynę? Tylko świra?!

Bardzo mnie to wtedy zainteresowało. Z wrażenia dostałam wypieków. Pociągnęłam temat.

I wtedy dowiedziałam się, że Michalina Donaj najbardziej ze wszystkich nienawidzi świrów, psycholi, wszelkiej maści chorych wariatów. Nie ma dla nich żadnego usprawiedliwienia, nie zamierza im współczuć, tłumaczyć ich czy bronić!

Wtedy nie rozumiałam jeszcze dlaczego. Ale postanowiłam się dowiedzieć - za wszelką cenę.

- Chciałabym je zobaczyć - poprosiłam tego popołudnia, które przeciągnęło się do późnego wieczora.

- Co? - zapytała rzeczowo, bo na dłuższą chwilę zmieniłam temat, żeby trochę rozluźnić atmosferę.

- Te baletki - odpowiedziałam. - Są takie... takie wizualne... - wydukałam nieśmiało.

- Aha... - Zamyśliła się. - To chodźmy do mnie. Mam dobre wino. Nawet dwa dobre wina.

- Świetnie. - Ucieszyłam się tak, że chyba nawet klasnęłam w dłonie.

- Ale nie będziemy już gadać o tej sprawie?

- Nie - odpowiedziałam z szerokim uśmiechem.

Więcej nie było mi trzeba. Całą historię opisało kilka gazet. Połowa sąsiadów udzieliła wywiadu lokalnej telewizji. Większość słyszała, jak ojciec dziewczyny mówił o pójściu do nieba. I postanowił udać się tam w towarzystwie.

Zakwalifikowano to jako rozszerzone samobójstwo osoby niepoczytalnej. Najprawdopodobniej nie doszłoby do tragedii, gdyby dziewczyna nie wróciła do domu, z którego uciekła rok wcześniej. Ale wróciła, wyrzucona z dzieckiem przez „teściową”. Ta zrobiła to już pierwszego dnia, gdy jej syn wyjechał do pracy za granicę, uciekając przed kłócącymi się kobietami i płaczącym niemowlakiem. Tak przynajmniej utrzymywało kilka osób, które nie chciały pokazywać twarzy przed kamerą. „Teściowa” za to pokazywała się chętnie, trąc rękawem koszuli wielki, zapijaczony nos, smarząc i szlochając głośno... że ją też mógł zabić, bo właśnie szła w odwiedziny do wnuka. Na dowód wymachiwała paczką pieluch. Za wszelką cenę starała się je wepchnąć przed obiektyw, jakby były dowodem w sprawie, ale telewizja nie mogła ich pokazać, bo miały logo. Dziewczyna podobno nie była zła ani głupia, chociaż utknęła gdzieś w gimnazjum. Teraz opiekowała się dzieckiem. Nie piła. Była na szczepieniach - jak utrzymywała pielęgniarka środowiskowa, która razem z opieką społeczną dołożyła wszelkich starań, żeby mieć tę rodzinę pod kontrolą ze względu na niepoczytalnego ojca. No, nie udało się...

- Cóż, laska miała do dupy życie i do dupy śmierć! - skwitowała pani prokurator.

- Nie będziemy już o tym rozmawiać - zapewniłam raz jeszcze, wstając od stołu w letnim ogródku. - Wystarczy.

Michalina Donaj ucieszyła się. Pewno nie miała lepszych planów na wieczór i byłam jakimś tam rozwiązaniem.

Chyba ją zaciekawiłam.

Ale ona mnie jeszcze bardziej.

Dlaczego tak bardzo nie ufasz świrom? Dlaczego właśnie to

ruszyło cię najbardziej?

Nie spocznę, póki się nie dowiem.

Mnie musisz zaufać - postanowiłam sobie wtedy.

I udało się.

Dowiedziałam się, co się wcześniej stało, a to było znacznie ciekawsze. To też opisałam z detalami.

I tego chyba nie wybaczy mi nigdy.

Ale o tym za chwilę. Mam gościa.

\*\*\*

Joanna patrzyła zza szyby na Artura Filca - ciągle jej adwokata. Czekał na nią przy stoliku w przeszklonym pomieszczeniu, w którym pacjenci mogli się spotykać z rodziną i gośćmi. Było otwarte dla wszystkich, ale akurat nikogo innego tam nie było. Ucieszyło ją to. Nim weszła, chwilę przyglądała się Arturowi. Schudł. Był opalony. Sprężysty. Miał na sobie sportowe ubranie. Joanna schyliła głowę, żeby zobaczyć jego buty. Do biegania. Właściwie cały wyglądał, jakby właśnie przybiegł i zamierzał pobiec gdzieś dalej. Miał czterdzieści parę lat i zawsze się odchudzał, ale nigdy nie osiągnął tak dobrych efektów jak teraz. Stracił jakąś pannę czy właśnie ją zdobywał - tego jeszcze nie wiedziała. Jedno i drugie mobilizowało go do działania. Nawet ją to zaciękało. Podeszła.

- Będę ojcem - powiedział sekundę po tym, jak pocałował ją w policzek. Właściwie tylko musnął, prawie go nie dotykając, i szybko usiadł po drugiej stronie stołu.

Nie zdziwiło jej to. Była jego przeciwieństwem. Błada, wychudzona, słaba i brzydka. Musiał tak pomyśleć, bo ledwie na nią spojrział, nerwowo odwrócił wzrok i zaczął grzebać w portfelu.

Dlatego tak schudłeś - pomyślała Joanna. Tego nie zgadłam.

- Chcesz zobaczyć? - zapytał Artur i bez namysłu zaczął wyciągać zdjęcia USG.

- Nie. - Zatrzymała jego rękę.

- Rozumiem - westchnął, starając się ukryć zakłopotanie.

- Nic nie rozumiesz. - Popatrzyła mu prosto w oczy i przysunęła swoje krzesło bliżej stołu. Prawie docisnęła się do

blatu.

- Sam też niewiele na tym widzę... kropki jakieś, tak tylko chciałem...

- Czy ty... - Nachyliła się ku niemu najbardziej, jak się da. - Czy ty, kurwa, nie wiesz, że poroniłam cztery razy? Wiesz, jaki to dla mnie dramat? - zapytała prawie szeptem, wysyczanym dokładnie w jego kierunku. - I przychodzisz tu do mnie, tu... i myślisz, że ucieszę się tą radosną nowiną? - kontynuowała, napawając się miną Artura, który nie wiedział, co powiedzieć, a to prawie nigdy mu się nie zdarzało.

- Nawet nie zapytałeś, jak się czuję. - Wyprostowała się, odsuwając krzesło od stołu. - Przyszedłeś się nade mną pastwić? Pokazując główkę i małą stopkę?!

Była zadowolona z efektu, jaki osiągnęła. Nigdy nie była w ciąży, lecz on o tym nie wiedział. Jej mąż nie żył, więc nie mógł potwierdzić ani zaprzeczyć. Znali się całe lata. Ale ludzie nie zawsze mówią o takich historiach i można to było zrozumieć.

Artur Filc zaniemówił, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszał, i znaleźć odpowiednie słowa, bo posypał mu się plan. Joanna przypuszczała, że już wcześniej zaplanował, iż tak zacznie z nią rozmowę. Zapewne wielu ludzi rozczuliła ta wiadomość, zwłaszcza że od lat unikał jakichkolwiek poważniejszych związków i często kpił z obłożonych pieluchami kolegów. Teraz musieli się na nim odgrywać, co on, jak widać, przyjmował z zadowoleniem.

Joannę też chciał zmiękczyć - bądź nie wiedział, jak się zachować - by zapewnić sobie więcej czasu na ocenę sytuacji. Źle to wykombinował i teraz ona zyskała przewagę.

- Przepraszam - odparł po dłuższej chwili.

O, dalej nie ma pojęcia, co powiedzieć - pomyślała.

- Skoro już wiem, co u ciebie... - odezwała się - to teraz zapytaj, co u mnie - zaproponowała już całkiem przyjaznym tonem.

Uspokoilo go to trochę. Tym bardziej że w ogóle mówiła. Gdy był tu ostatnio, nie odezwała się ani słowem, nawet na niego nie spojrziała.

- Chciałaś się ze mną spotkać - stwierdził.

Najwyraźniej postanowił przekazać jej inicjatywę.

- Tak. Bo chcę stąd wyjść - odpowiedziała, podpierając rękami brodę.

- Asiu... - Tym razem Artur się wyprostował. Teraz wiedział, co ma mówić. - Nie wiem, ile pamiętasz z naszej poprzedniej rozmowy, byłaś w bardzo złym stanie...

- Nie pamiętam nic. A jakie to ma znaczenie?

- Asiu. Ustaliliśmy...

- Ustaliłeś za mnie - poprawiła go.

- Być może. Ale chyba masz świadomość, że zrobiłem wszystko, co wydawało się najlepsze w tej sytuacji.

- Czyli zamknąłeś mnie tutaj?

- Tak było najlepiej.

- Chyba dla ciebie - odpowiedziała.

- Nie, dla ciebie - szybko zaprzeczył. - Byłaś w ciężkim stanie. Może nie wszystko pamiętasz, ale na pogrzebie Krzysztofa skakałaś po jego trumnie, zjadałaś kwiaty i śpiewałaś...

- Coś sobie przypominam - odparła beznamiętnym tonem. - Ludzie różnie przeżywają żałobę. Niektórzy teatralnie.

- Owszem, ale śledztwo w sprawie śmierci twojego męża nie zostało jeszcze zamknięte. Do tej pory nie udało się ciebie przesłuchać. I wydaje mi się, że im dłuższy pobyt w szpitalu, tym lepiej dla ciebie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Zdaję sobie sprawę, że mój kochanek zabił mojego męża, a potem zaatakował również mnie.

- To jest jedna z wersji śledczych - odpowiedział Artur. Teraz był już w swoim żywiole.

- A jaka jest twoja? - zapytała Joanna.

- Wierzę tobie - powiedział szybko i stanowczo, ale jednocześnie potarł ręką usta.

Jednak ta rozmowa dużo go kosztuje - pomyślała. Z reguły nie popełniał takich błędów. Mówienie czegoś zupełnie innego, niż się myśli, jest częścią jego zawodu, był w tym dobry, a właśnie przed chwilą się zdradził. Nie tonem, lecz gestem. Już wiedziała, że Artur nie ma pewności, jak to wszystko wyglądało. Zastanawiał się nad tym setki razy, ale pewności nie miał.

Mało ją obchodziło, co on sobie myśli. Sama знаła prawdę.

- Nie jestem aresztowana.

- Nie jesteś. I w stanie, w jakim byłaś, nie mogłaś składać zeznań. Teraz widzę, że najprawdopodobniej możesz, ale uważam, że byłoby to dla ciebie niekorzystne...

- Ale w stanie, w którym jestem obecnie, mogę dokonywać różnych czynności cywilnoprawnych, prawda? - zapytała i zobaczyła, jak Artur zaczyna wiercić się nerwowo. Po to przyszedł i na to czekał. Choć ton rozmowy go zaskoczył, wiedział, że nadszedł jej kluczowy moment. Przynajmniej dla niego.

Poprawiając się na krześle, odruchowo chwycił wciąż leżące na stole zdjęcie z ultrasonografu i zaczął przebierać po nich palcami.

O! Myśli o dziecku - wywnioskowała Joanna. Może już chce je zabezpieczyć. Brakuje mu pieniędzy? Może się boi, że jest za stary i w każdej chwili... A teraz ciąży na nim odpowiedzialność, jakiej wcześniej nie znał. Stąd ten sport, higiena życia... Biec szybko, jak najszybciej, żeby tylko zdążyć przed starością... Tym lepiej dla mnie - pogratulowała sobie w duchu.

Jej mąż przed śmiercią - właściwie na godziny przed śmiercią - podpisał akt notarialny dotyczący ziemi, która po odpowiednich przekształceniach mogłaby być warta kilka milionów złotych. Ale nie on wyłożył pieniądze. Miał być właścicielem przez jeden dzień, potem podpisałby kolejny akt sprzedaży, w którym nieruchomości trafiłaby w ręce właściwych osób - ale już nie żył. I tak ona stała się jedynym posiadaczem kilkunastu potencjalnie industrialnych hektarów. Dowiedziała się o tym po fakcie, między innymi od Artura, który obsługiwał tę operację od strony prawnej. Mógł też włożyć w to swoje pieniądze, ale tego nie była pewna, zresztą nie robiło to jej różnicy. Wszyscy oni myśleli, że pójdzie im gładko. W końcu mieli do czynienia z pisarką, która skończyła historię sztuki, to wiedzieli wszyscy z okładek jej książek. Ale mało kto wiedział, że dyplom zrobiła z wyceny nieruchomości, nie szkodzi, że zabytkowych. Taili przed nią fakty, ale i tak wiedziała, o co może w tym wszystkim chodzić i o co toczy się gra. Dostyc



szybko się zorientowała. Rozegrałaby to na pewno doskonale. Ale okoliczności były nie do zniesienia i dlatego ich nie zniosła. Taka była diagnoza.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał w końcu Artur i chyba był zły na siebie, że nie przyszedł w garniturze. Jeśli nie obracał w rękach zdjęć, to nerwowo obciągał podkoszulek, który nie pasował do rzeczowej rozmowy.

- Najpierw stąd wyjdę.

- Możesz to zrobić sama. Sama podpisałaś zgodę na leczenie. Pamiętasz - stwierdził profesjonalnie.

Popelnił błąd.

Joanna się uśmiechnęła.

- Pamiętam i wiem. Każdy tutaj to wie. - Znowu przysunęła się do niego bliżej. - Ale nie chcę żadnych policyjnych przesłuchań. Na to nie jestem jeszcze dość zdrowa. Za wcześniej - dodała, a Artur chrząknął. - Więc mnie od nich wybrońsz. Wystosujesz stosowne oświadczenia do stosownych organów, chyba nie muszę ci mówić, co masz robić. I będziesz mnie bronił do końca sprawy mojego męża. Aż nie będzie już żadnych wątpliwości, kto jest winny jego śmierci.

- Bo? - zapytał i było widać, że chce powiedzieć coś więcej, tylko się powstrzymuje, zaciskając palce obu rąk. Jednej na zdjęciach, drugiej pod stołem.

- Bo sprzedam tę ziemię komuś innemu. Albo przepiszę ją na jakąś organizację.

- Asiu - odparł z politowaniem w głosie. - Jestem w stanie podważyć i unieważnić każdą transakcję, której spróbujesz dokonać. Jesteś leczona psychiatrycznie, więc można to uczynić, kierując się twoim dobrem... - Rozparł się na krześle. - Procedura ubezwłasnowolnienia jest trudna, ale...

- Wiesz... - przerwała mu - rozmawiałam już z księdzem... Jeśli przepiszę to na Kościół... - Nie musiała kończyć. Z satysfakcją patrzyła, jak Artur niemal podrywa się z krzesła i jeszcze mocniej zaciska palce.

Chciał coś powiedzieć. Parę razy otwierał usta. Wstawał i siadał z powrotem. Raz obrócił się wokół własnej osi. A Joanna obserwowała go ze spokojem. Spod opuszczonych powiek.

Śmiejąc się w duchu, że dla postronnych obserwatorów w tym momencie to on z ich dwojga byłby wariatem.

Wiedział doskonale, że z Kościołem nie wygra. Z każdą inną organizacją tak, ale nie z nimi. Mają dobrych prawników i jeszcze lepsze układy. Nigdy nie wyciągnie od nich tej ziemi. Ani nie podważy darowizny poczynionej przez osobę chorą, może grzeszną, która chciała pojednać się z Bogiem - ku Jego radości. Joanna to wiedziała i on też. Dlatego gdy znowu usiadł, nawet się uśmiechnęła, bo dla niej było już wystarczająco śmiesznie.

- I tak bym cię bronił, bo chcę wierzyć w to, że wszystko stało się... tak, jak to wyjaśniłaś - odparł po chwili, pocierając stół rozpostartymi palcami.

- Nie wątpię - odpowiedziała, patrząc, jak teraz dla odmiany drapie się po policzku.

- Asiu... teraz mówisz tak, a nie wiem, jak będziesz mówiła za chwilę. Wszyscy widzieliśmy już twoje... - szukał odpowiednich słów - twoje zmieniające się samopoczucie - dokończył.

- Ładnie powiedziane. - Pokiwała głową. - Więc podpiszę umowę przedwstępną, to cię uchroni przed Kościołem. Dostanę część pieniędzy, które mi obiecaliście, a resztę na koniec. Po sprawie. Możesz przedstawić mi jakieś techniczne szczegóły.

- Dobrze. Jeszcze to obgadamy... - obiecał osłupiały Artur.

Patrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Kiedy żył jej mąż, była zahukaną częścią związku, przynajmniej przez większość czasu. Ale teraz musiała sama walczyć o siebie. Wiedziała, że nikt jej nie pomoże. Przynajmniej na razie. To tak dziwiło Artura Filca.

- Oczywiście - potwierdziła Joanna. Miała jeszcze do niego kilka spraw, więc nie chciała, by zbyt szybko się zraził. - Ale wcześniej się dowiedz, co to za firma wydała moją nową książkę... - poprosiła.

- Napisałaś książkę? - zdziwił się Artur. - Nic nie wiedziałem - dodał uprzejmie, jakby się ciesząc, że na chwilę rozmowa zбочyła na neutralny grunt.

- Dawno temu, to była moja pierwsza... pamiętasz... i ukazała

się właśnie teraz. Nie wiem, kto ją wydał. I na jakiej podstawie. Nie znam ich.

- To nie będzie trudne...

- Wiem, ale ja nie mam dostępu do internetu. Znajdź też dla mnie numer telefonu prokurator Michaliny Donaj. Muszę się z nią skontaktować.

- A po co ci numer prokuratora? - Znowu się zaniepokoił. - Jeśli mam cię bronić, nie możesz sama wykonywać żadnych...

- Wiem. Nie bój się. Nie o to chodzi. Ona występuje w mojej książce i ktoś zmienił jej nazwisko.

- To raczej dobrze, nie? - Artur odetchnął, bo wyraźnie mu się nie spodobało, że Joanna chce rozmawiać z prokuraturą.

- Zmienił na prawdziwe - powiedziała i zmarszczyła czoło. - U mnie tak nie było, w rękopisie miała zmyślone nazwisko, a w wydanej książce ma swoje własne.

- Mogło jej się to nie spodobać? - spytał zaciekawiony.

- Nawet bardzo - potwierdziła Joanna. - Dlatego muszę się dowiedzieć, kto przejął prawa do książki.

I dlaczego to zrobił - dodała już w myślach.

- Rozumiem - powiedział Artur i zaczął patrzeć na Joannę tak, jakby nagle sobie przypomniał, że ona umie mówić logicznie.

- Muszę ją przeprosić - oświadczyła.

Albo na nią uważać - pomyślała.

- Aha... - Artur kiwnął głową i wyciągnął telefon. - Michalina Donaj. Tak?

Kiedy pokornie zapisywał nazwisko, Joanna zaczęła obserwowwać szybko. Odbijał się w niej korytarz. Co najmniej od kilku dni starała się mówić niezbyt głośno i nie gestykulować. Nikt jej nie słuchał. Uważano, że jej stan poprawił się na tyle, że może sama się przemieszczać i spokojnie spotykać z innymi ludźmi. Nie chciała jednak, by ktokolwiek wiedział, że jest aż tak rozmowna i pobudzona, więc cały czas kontrolowała sytuację. Do tej pory nikt nie zwracał na nią uwagi, ale teraz wyraźnie zobaczyła w szybie sylwetkę grubej, męskiej pielęgniarzki. Babochłop zatrzymał się i wyraźnie na nią patrzył.

- Jeszcze jedno - powiedziała cicho do Artura.

- Poczekaj, zapiszę. - Jego palec zawisł nad ekranem.  
- Tego nie zapisuj.  
- Czego? - Artur był trochę zaciekawiony, a trochę już podenerwowany.  
- Załatwisz mi kokainę, amfetaminę, może być nawet do-palacz. I przyniesiesz jutro - dodała.

Wstała i odwróciła się, zostawiając go z otwartymi ustami. Zrobiła to powoli. Ramiona miała cały czas opuszczone. Nim stanęła oko w oko z pielęgniarką, zdążyła nadać twarzy beznamiętny wyraz. I ruszyła do pokoju, powłócząc nogami. Krok za krokiem, jakby było jej wszystko jedno, dokąd idzie.

Udało się. Pielęgniarka przestała się jej przyglądać.

Za to Artur patrzył na nią cały czas. Widziała to kątem oka, gdy skręcała. Nawet się do niego lekko uśmiechnęła. I powiedziała bezgłośnie, poruszając ustami, bardzo wyraźnie - JUTRO.

\*\*\*

Jutro zmienię sobie... samopoczucie.

Zaśmiałam się. Ale nikt tego nie widzi i nie może zobaczyć. Zrezygnowałam z mimiki. Staram się cały czas opuszczać dolną szczękę. Wyglądam wtedy tak głupio. Jakby i mózg mi zwiotczał.

I tak mam wyglądać!

Nie zdradzam się nawet przed otumanioną lekami sąsiadką. Ani na chwilę. Choć ta nie reaguje na mój widok, tylko rusza palcami i przekrzywioną na bok szyją.

Podobno była top modelką.

Wygrała jakiś konkurs, a potem uganiała się po wybiegach. Dwadzieścia razy w miesiącu, wciąż w samolocie.

Wszystkie kontynenty i wszystkie strefy czasowe. Dookoła świata, w tę i we w tę. Ciągłe w szpilkach, za małych, za ciasnych, nie do chodzenia. Na stopach otwarte, niegojące się rany. Zaklejała je, smarowała maściami, a potem jej się to znudziło i zaczęła te rany rozdrapywać. Do mięsa. Do kości.

Myślę, że chciała po prostu okuleć i zejść z wybiegu. No i zeszła - tutaj. Mówią, że sama chciała się dobić, tylko nie

umiała strzelić sobie w łeb. Chyba jest miła, na pewno wie dużo o tabletkach. Na spanie i niespanie, na kłus i galop... chętnie bym o tym porozmawiała.

Ale nie zamierzam z nią gadać. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek się wygada.

A dopóki uda mi się zatrzymać stan mojego umysłu w tajemnicy, dopóty mam przewagę.

Wiem, że ktoś mnie tu jeszcze zaatakuje. Nie będzie się zbyt wysilał, sądząc, że jestem bezradna.

Nie odgadnie, że tylko tak mogę kontrolować to, co się wokół mnie dzieje.

Tutaj każdy może być moim wrogiem, chociaż większość wygląda łagodnie. Nie zwiodą mnie. Nikola też wyglądała łagodnie - a zmiażdżyłaby mnie swoimi pośladami.

Więc muszę myśleć, i to jeszcze szybciej niż teraz. Dopiero się rozpędzam.

Więc siedzę cicho.

Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek się wygada.

Michalina Donaj też tego nie wiedziała.

Widziała we mnie tylko pijącą wino koleżankę - błąd. Nie byłam jej koleżanką.

Nie jest się koleżanką, gdy się zachłannie słucha. Gdy na poczekaniu wymyśla się krótkie historie tylko po to, by zbudować więź opartą na rzekomo wspólnych doświadczeniach.

Mówiłam o zdradach, o facetach, o chorych związkach, o uwikłaniu.

- No nie, stara... u mnie to samo... - wzdychała Michalina i opowiadała swoje.

Z podkulonymi nogami, z brodą opartą na kolanach, w cudownie ciepłą, gwiaździstą noc. Na balkonie, gdzie kwitły gardenie. I obłędnie pachniały. W taką bezkسیężycową noc, w jaką człowiek zdradza swoje najskrytsze tajemnice.

Z tym że moje były zmyślane.

Cóż... Miała rękę do kwiatów, nie do ludzi.

Tomasz Przekora - prokurator - czuł, że zrobił Michalinie świństwo. Nie do końca dlatego, że spotkało ją to, co spotkało - sama również mogła trafić na takie zdarzenie - ale dlatego, że ją okłamał. Syn wcale nie wybił sobie zębów, jedynie popsuł mu się komputer i zamierzali jechać kupić nowy. Sam się na to cieszył jak dziecko i nie mógł się doczekać chwili, gdy zacznie przebierać w procesorach. Żona miała wolne, więc mogła się zająć młodszym, parując z wózkiem po innych działach hipermarketu. Dopiero po południu, trąc nogą wielkie pudło i obżerając się pizzą, powodowany przyzwoitością, a może lekkim znudzeniem nadmiarem rodziny, zadzwonił do firmy.

Słuchając tego, co się wydarzyło, poważniał z minuty na minutę. Pochylił głowę, przytknął aparat do ucha, a gdy podniósł wzrok, zobaczył swoje młodsze dziecko. Poderwał się na nogi tak raptownie, że przewrócił z hukiem krzesło. Chwila nieuwagi żony, a już mały włożył palce w sos pomidorowy, po czym rozmazał go po twarzy i ubraniu. Mógł wyglądać śmiesznie, ale nie jako tło toczącej się rozmowy.

Tomasz zdążył wyobrazić sobie Michalinę całą we krwi zarąbanej kobiety i z dzieckiem na rękach, które podobno wyglądało, jakby się dopiero urodziło. Szybko zapłacił rachunek i zawiózł rodzinę do domu. Żona, widząc jego minę, nie protestowała zbyt długo, a uwagę starszego syna pochłaniała nowa zabawka.

Powiedział, że nie wie, o której wróci.

Bo rzeczywiście nie wiedział. Telefon Michaliny milczał. Tomasz dowiedział się, że była w prokuraturze. Zrobiła minimum, które należało zrobić. I podobno wyszła bez słowa. Nie chciała pomocy. Nie chciała, by ktokolwiek ją odwiózł. W zakrwawionych ciuchach wsiadła do samochodu.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Była twarda. Twardsza niż niejeden z jego kolegów. Decydując się na pracę w prokuraturze, wiedziała, że często będzie się natykać na jakiegoś samobójcę. Było ich dwa razy więcej niż ofiar wypadków. Kilkanaście razy więcej niż ofiar zabójstw. Nie sposób było

uniknąć samobójców. Jedenaście osób dziennie w całej Polsce, z tendencją wzrostową. Czyli u nich średnio co kilka dni. Zachowywała się tak, jakby jej to nie ruszało.

- Stary - mówiła - mam to przerobione! Ogarnęłam tę kuwetę. -1 z obojętną miną klepała go po ramieniu.

Patrzył wtedy na nią i do końca nie wiedział, czy mówi prawdę. Może tak, a może nie. Ogarnęły go wątpliwości, gdy zaczęła przebąkiwać o zmianie pracy.

- Chłopie, tu to ja nie awansuję - wzdychała. - Ciepło tu, przytulnie, dobre godziny... ale wyżej nie zajdę. Czekać, aż zrobię mały skok tuż przed emeryturą... Stary, ja się tu nie chcę zestarzeć...

Wszystko, co mówiła, było logiczne, ale nie był pewny, czy chodzi tylko o to. Znali się od zawsze. Wiedział o niej więcej niż ktokolwiek inny. Wiedział, co jej się przydarzyło. I wiedział, gdzie jej szukać, kiedy nie zastał jej w mieszkaniu. Miał klucze. Podlewał kwiatki na balkonie, gdy wyjeżdżała na dłużej...

Nie czekał. Na pełnym gazie ruszył w kierunku najwyższego wieżowca na osiedlu. Było już późno. Uliczki zastawione były samochodami. Nie miał gdzie zaparkować. Zatarasował podjazd dla karettek i straży pożarnej i już nawet wysiadł z samochodu, ale szybko do niego wrócił. To był głupi pomysł. Zastawił śmietnik. I spoglądając w górę, pognął w kierunku pierwszej klatki schodowej. Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, więc nawet się nie zatrzymał. Czekać na windę, przypomniał sobie, jak stał w tym miejscu dziesięć lat wcześniej. Wtedy tupał, wtedy zastawiłby podjazd. Teraz czekał spokojnie, głęboko oddychając.

Wtedy myślał, że biegnie ratować jej życie. Teraz wiedział, że odpędza upiory. Wtedy przegonił jakąś staruszkę, która próbowała wsiąść z nim do windy. Teraz jechał sam, patrząc na migające przed oczami numery pięter. I zastanawiał się, co Michalina musiała wtedy czuć.

Sześcioletnia dziewczynka w kraciastej sukience i w kapelusiku chroniącym przed słońcem. Co czuła, trzymana za rękę przez matkę, która gładziła ją po głowie i uśmiechała się do niej? A potem z tym uśmiechem weszła na dach i próbowała

pociągnąć ją za sobą. W dół.

- Polecimy, księżniczko - podobno mówiła do niej. - Będzie jak w bajkach, pamiętasz? Rozłożymy skrzydła...

- Ja nie mam skrzydeł... - odpowiedziała jej Michalina.

- Masz. Tylko musisz w nie uwierzyć... - zapewniała matka, omijając kominy wentylacyjne.

Dziewczynka miała tylko sześć lat, ale coś już jej nie pasowało. Na dachu było pięknie i mama pierwszy raz od dawna mówiła tak spokojnie, i była taka miła. I kupiła jej balon w kształcie motyla, który ona cały czas trzymała na wstążce obwiązanej wokół chudego nadgarstka. Dopóki nie weszła z matką na dach, myślała tylko o tym balonie. Gdy to opowiadała, opisała go bardzo dokładnie. Jego kolory i kształt. Mówiła, jak szły, a on powiewał nad ich głowami. Jak pilnowała, żeby jej nie uciekł. Wiedziała, że gdy go puści, on odfrunie. Zaczęła więc płakać, gdy matka odwiązała wstążeczkę i powiedziała:

- Patrz!

Ale nie puściła go od razu, bo Michalina zacisnęła piąstkę i z całych sił trzymała końcówkę wstążki. Nie trwało to jednak długo. Tyle sił nie miała. Szarpały się tylko chwilę. Balon poszybował.

- Patrz - powtórzyła matka, nie zwracając uwagi na jej szloch.

- Zaraz polecimy za nim. Chcesz dogonić motyla? - zapytała, ale nie czekała na odpowiedź. Pociągnęła ją za rękę w kierunku krawędzi dachu.

- Ja nie mam skrzydeł! - płakała dziewczynka i im bliżej były końca dachu, tym bardziej się zapierała. O wszystko, co było po drodze. Wystający komin, drut, w końcu o gzyms.

Skąd wiedziała, że matka planuje się zabić razem z nią? Skąd wiedziała, że nie jest motylem... że umrze? Tego nie umiała powiedzieć. Pewnie dzieci wiedzą znacznie więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Długo o tym rozmawiali. O tym i o genach. Może miała ich więcej po ojcu. Może słuchała, co mówi, choć nie wolno jej było tego słuchać. Może wybrała jedyną skuteczną broń, jaką w tamtej chwili mogła wybrać, i krzyknęła:



- Ty wariatko!

Matka spojrziała na nią i w tym spojrzeniu było coś... Michalina nie wiedziała co, ale to coś działało.

- Zostaw mnie, ty wariatko! - wrzasnęła jeszcze raz, jeszcze głośniejsze.

Wtedy matka puściła jej rękę. Michalina schowała się za jednym z małych wystających daszków, wychylając głowę.

- Jesteś taka sama jak twój ojciec - powiedziała matka i chwilę na nią patrzyła. Nie próbowała już jej gonić. Rozłożyła ręce.

Michalina mówiła, że nie pamięta, jak skoczyła. Pamiętała tylko krążącego nad jej głową motyla. I to, że włosy matki powiewały na wietrze.

I takie powiewające włosy zobaczył Tomasz Przekora na dachu szesnastopiętrowego wieżowca.

\*\*\*

Nie powinnam była tego opisywać. To wszystko prywatna sprawa...

Cóż, w książkach pisze się o prywatnych sprawach. W książkach przecież pojawiają się prawdziwe historie. Ukryte pod płaszczykiem wymyślonej intrygi... żeby było jeszcze ciekawiej. A ja nie musiałam nic wymyślać. Po co poprawiać dobre?

To było dobre i wydarzyło się naprawdę. Więc to opisałam.

No... może nie powinnam... Ale zmieniłam nazwiska, miasto, kolor oczu, liczbę pięter wieżowca. W końcu to nie reportaż. Zresztą taka odważna nie byłam. Przynajmniej nie wtedy.

Dlaczego więc w książce, którą trzymam pod koldrą, wszystkie dane są prawdziwe? Dlaczego wieżowiec ma szesnaście pięter - jak było naprawdę - a nie dwanaście, jak napisałam? Uznałam, że dwanaście wystarczy, żeby się zabić...

Komu zależało na faktach? Kto jeszcze znał tę historię? Po co to wszystko pozmieniał?

Chciał mi zaszkodzić? Mnie zbyt wiele rzeczy nie może zaszkodzić. A już na pewno nie rozgłos! A tym bardziej dywagacje na temat przekraczania granic... Byłe nazwiska nie

przekrećali, tak się mówi... przynajmniej o aktorach, politykach, pisarzach i całej tej bandzie, której nie chce się pracować w ustalonych godzinach.

Więc komu?

Michalinie Donaj? Nie jest już prokuratorem... Zresztą ta książka nie opowiada o niej. Ona tylko prowadzi swoją ostatnią sprawę - sprawę zaginięcia Justyny Lanert. Potrzebna mi była jako ciekawa pani prokurator. Z przeszłością, z traumami, z powikłanym życiem osobistym...

No, na pewno nie jest zadowolona z tego, co przeczytała. Choć może to jeszcze by przełknęła... Ale tego, co napisałam później... już chyba nie.

Bo opisałam w szczegółach historię, jaką mi opowiedziała pod koniec drugiej butelki. Trochę ją podpuściłam... a trochę to samo się z niej wylało...

Tomek rzeczywiście stanął na dachu tego wieżowca. Nawet zrobiło się jej miło, gdy ją tam znalazł. Była w lekkiej rozsypce i była z tym sama. A kiedy on przyszedł, mogła się już wykrzyknąć. Krzyczeć też trzeba mieć do kogo. Krzyczała więc - że nienawidzi świrów. Że nienawidzi wariatów. Że jak chcą się zabijać, to niech zabijają się sami! Niech nie uszczęśliwiają innych!

Krzyczała to, tłukąc pięściami w jego tors. Próbował ją objąć. Wrywała się... Chciała uderzać dalej... Ale powstrzymał ją, ściskając za ramiona.

- Zrób to! Tylko mocno! - powiedziała, a on chyba już na to czekał. Od momentu, w którym wszedł na dach.

Wróciły wspomnienia sprzed dziesięciu lat. I sprzed pięciu też. Czuli, że mu stanął, gdy tylko pierwszy raz ją objął, krzyczącą, że nienawidzi popaprańców. Teraz już nie czekał. Zaciągnął ją w kierunku drzwi prowadzących na klatkę schodową. Zamknął je. Odwrócił ją i oparł, chwytając za włosy. Pociągnął mocno. Tak jak chciała. Aż poczuła dreszcze na całej szyi. Potem wpił się w tę szyję ustami i zaczął gryźć i całować. Drugą ręką podciągnął jej sukienkę i odgarnął majtki. Poluzował sobie pasek, rozpiął rozporek i wszedł w nią. I dalej ciągnął za włosy, wyginając jej szyję, a ona krzyczała:

„Mocniej!”, tłukąc się o drzwi.

Potem jak zwykle siedzieli na ziemi tyłem do siebie, dysząc i opierając głowy o swoje ramiona. I nic nie mówili. I tak do następnego razu, może za parę lat.

W końcu byli kumplami - przynajmniej tak uważała Michalina.

Cóż... On też nie będzie zadowolony z tego, co napisałam. Ani jego żona... Gdzieś później wspomniałam, że seks z żoną nie za bardzo mu wychodził... Nie wiem, na której to może być stronie.

Poszukam kiedyś.

Teraz drzwi się otwierają. Modelka przyszła.

To ja wyjdę. Później będę miała gościa, zapowiedział się. Nie wiem kto to, nie zapytałam... Zrobię sobie niespodziankę. I później to opiszę.

\*\*\*

Joanna siedziała na sedesie, trzymając na kolanach laptop. Wpatrywała się w ekran, a jej palce jak oszalałe biegały po klawiaturze. Wszystkie naraz uderzały w kolejne klawisze i prawie się nie zatrzymując, wybijały litery, słowa i zdania. Bez przecinków, kropek, wielkich liter, czyli tego wszystkiego, co spowalnia przelew myśli. Funkcję sprawdzania pisowni zablokowała już na początku. Nienawidziła rozpraszać ją czerwonych wężyków pod większością wyrazów. Od poprawiania błędów byli inni. Ci, którzy przestrzegają zasad pisowni. Ona nie zamierzała niczego przestrzegać. Żadnych zasad. Liczyło się tylko to, by wszystko dokładnie zapisać. By powstawała strona po stronie. By nadażyć za biegiem zdarzeń.

Nie chciała, żeby ktokolwiek widział, że robi coś szybko, z mocą, energią, zapalem, dlatego zamknęła się z laptopem w łazience, ale tam po dłuższej chwili wyszpiegowała ją gruba pielęgniarka i tubalnym głosem zapytała: „Czy coś się stało?”. Joanna otworzyła drzwi i oznajmiła, że stało się dokładnie to, co się staje w ubikacji. „Chce pani zobaczyć? Proszę”. Nie otrzymała odpowiedzi, więc spuściła wodę, nie patrząc grubej w oczy. Potem, powłócząc nogami, poszła do świetlicy. Nikogo

w niej nie było. Usiadła w kącie przy wielkiej drzwic, plecami do drzwi, żeby możliwie dyskretnie obserwować, czy ktoś nie wchodzi. Starła się nie poruszać zgarbionym ciałem i jak najskuteczniej zasłaniać przebiegające z wawo po klawiszach palce. Zupełnie dobrze jej to wychodziło, dopóki nie przyszła starsza kobieta i nie zaczęła jej szturchać, ciągle pytając: „A co piszesz? No powiedz. Mogę przeczytać? A co tam jest? Te, opowiedz mi”.

Joanna usiłowała nie zwracać na nią uwagi, ale gdy zobaczyła gumowe rękawiczki, które tamta miała na rękach, już wiedziała, że to się nie uda. Nie przy takiej nerwicy natręctw. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zauważyła tę pacjentkę, ale zapamiętała jej ręce. Wyszorowane do krwi. Znowu na nią spojrzała. Lady Makbet to nie była. Pocziwa twarz wiejskiej nauczycielki, więc chodziło o szaleństwo czystości cielesnej...

- O bakteriach piszę - odpowiedziała w końcu Joanna, patrząc jej prosto w oczy. - Chcesz przeczytać?

Miała nadzieję, że kobieta odejdzie, ale ta cofnęła się tylko o krok. Stała jak zahipnotyzowana i czekała. Jak masochista na pejcz.

- A więc proszę... - Joanna westchnęła pod nosem. - Tu jest napisane, że najwięcej bakterii mieszka na brwiach... Łażą po nich w tę i we w tę... Wiją się, przebierają odnóżami. Czasami spadają, bo się już nie mieszczą... Tyle ich - dodała, gdy kobieta krok po kroku zaczęła się wycofywać w kierunku drzwi, skubiąc brwi paznokciami.

No i ma pomysł na wieczór - pomyślała Joanna i spokojnie wpatrzyła się w ekran. Po chwili znowu przebierała palcami. Nie zwracając już uwagi na nikogo, kto wchodził bądź wychodził. Było wiele do opisanie.

Naiwny chłopiec pojawił się po raz drugi. Znacznie wcześniej, niż się tego spodziewała. Zdziwiła ją ta wizyta, miała nadzieję kolejny raz spotkać go już w innych okolicznościach. Na pewno, gdy będzie lepiej wyglądała. Ale po chwili nawet się ucieszyła z jego odwiedzin. Szybciej czegoś się dowie.

Tym razem zwróciła na niego uwagę. I rozpoznała go od razu, choć teraz miał dziwny zarost na brodzie i przylizane jasne

włosy. Ściągnięte gumką nad karkiem. Może dlatego, że na dworze było gorąco, a może dlatego, że były przetłuszczone. Kiwnęła głową na powitanie, ale nie zamierzała ułatwiać mu konwersacji. Pocił się - pod pachami spranego, wyblakłego czarnego podkoszulka były plamy. A miała nadzieję, że spoci się jeszcze bardziej... Sam podkoszulek miał logo jakiejś firmy i bez dwóch zdań musiał być rozdawany bezpłatnie, bo z własnej woli nikt by go nie kupił. Nawet chłopiec, który zdawał się nie dbać o to, w czym chodzi. Miał przetarte, ze starości, a nie specjalnie, dżinsy. Stare trampki. Na ramieniu uszytą z banera reklamowego torbę, która była najciekawsza z całego zestawu, choć już się rwała. Na dodatek ktoś próbował zdrapać z niej plamy złotej farby, robiąc dziurę - zaciekawilo ją to, choć nie wiedziała z jakiego powodu.

Zastanawiała się też, co jest w wypchanej torbie. W końcu usiadła, położyła łokcie na stole i oparła brodę na nadgarstkach. Z daleka wyglądało, jakby głowa jej ciążyła. I tak miało być. Oprócz tego objęła twarz dłońmi, żeby przysłonić oczy i usta.

- Kim jesteś, chłopczyku? - zapytała samą siebie, nim ten zdążył cokolwiek wybąkać.

- Nazywam się Marek Rybik i jestem dziennikarzem... - odezwał się w końcu nieśmiało, jakby nie do końca pewny, czy go słucha.

O, dział kulturalny? - pomyślała Joanna i lekko wysunęła pierś do przodu.

- Z działu kulturalnego - dokończył nieco drżącym głosem i przetrął ręką czoło, na którym pojawiły się kolejne krople potu.

Joanna westchnęła cicho. Tego nie musiał mówić. Na ekonomiczny nie wyglądał. I nie chodziło tylko o stare ubranie. Ale przede wszystkim o szeroko otwarte, zalęknione piwne oczy, drobną twarz, fatalną kocią bródkę, która tylko podkreślała rzadki zarost i brak fryzury. Dwadzieścia parę lat i naiwny wyraz twarzy. A teraz jeszcze - wystraszony. Przyszło jej na myśl, że w ogóle boi się ludzi, ale skoro próbuje być dziennikarzem, to może boi się tylko tych tutaj...

- Marku... - odezwała się Joanna i na chwilę zawiesiła głos, z

zadowoleniem obserwując, jak duże oczy robią się jeszcze większe. - Nie zjem cię. - Zerknęła spomiędzy palców, by sprawdzić, czy nikt oprócz niego nie zauważył jej uśmiechu.

W sali spotkań była tylko rodzina z kilkuletnim chłopcem, czekająca na matkę. Nie zwracali na nich uwagi. Joanna miała nadzieję, że zdąży porozmawiać ze swoim gościem, zanim rozegrają się dantejskie sceny.

- Nie bój się - dodała łagodnie. Ciągłe zasłaniała twarz dłońmi, ale teraz opuszkami palców masowała jeszcze skronie.

Chłopak rozpogadzał się coraz bardziej. Poczul wyraźną ulgę, odetchnął i rozluźniając napięte mięśnie, próbował wygodniej ułożyć się na krześle.

Cóż, wystarczy pogłaskać i od razu się nie boi... a powinien - pomyślała Joanna.

- Ja już tu byłem... i przyniosłem pani książkę... - zaczął i wyprostował się, jakby zaraz miał rozpocząć recytację.

- Tylko w jakim celu? - przerwała mu Joanna, widząc przez palce korytarz, którym powoli zbliżała się matka chłopca.

- Ukazała się ostatnio... i... nie wiem, czy mogę... - wydukał Marek Rybik.

- Możesz...

Obserwowała dziecko, które na widok matki zaczęło wtulać się w ramię ojca, chowając głowę.

- Chciałbym przeprowadzić z panią wywiad - wypluł z siebie w końcu. - W mojej redakcji są zainteresowani...

- Dobrze - odpowiedziała z zadowoleniem w głosie. Liczyła na to od momentu, w którym oświadczył, że jest dziennikarzem. - Powiedz tylko, co cię bardziej ciekawi: ja tutaj, czyli w szpitalu wariatów... - Pokazała palcem na siebie, a potem na salę widzeń.

Dziecko, tak jak przypuszczała, nie zamierzało podbiec do matki, tylko zaczęło się chować za plecami ojca, skąd próbowała je wyciągnąć babka, zapewne matka pacjentki.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziała sama sobie Joanna, widząc coraz bardziej przestraszoną minę Marka.

Chłopczyk zaparł się o krzesło i krzyczał, że nie chce. A matka, w niechlujnie zawiązanym szlafroku, patrzyła na to z

beznamiętną rozpaczą, stojąc w progu.

- Czy może książka?

Marek Rybik zapatrzył się, jakby zapomniał, po co przyszedł.

- A... tak, książka... - odpowiedział, szybko odwracając głowę w jej kierunku. - Oczywiście książka... Sprawą zaginięcia Justyny Lenart interesowałem się... już wcześniej... a w pani książce...

- Jak miałaś szesnaście lat, to się nią interesowałaś? - zapytała Joanna. - Przecież to było prawie dziesięć lat temu! - dodała trochę głośniej, bo dziecko, ciągnięte przez babcię już za obie ręce, zaczęło wrzeszczeć wniebogłosy. Ojciec zakrył oczy rękami, a matka dalej stała nieruchomo w drzwiach, z bezwładnie opuszczonymi rękami.

- Tak... - wybąkał Marek Rybik, znowu rozglądając się na boki.

- Marku, czy mógłbyś mi przynieść wodę? - Rzuciła okiem na jego torbę. - Na korytarzu jest automat. Przepraszam, ale od tych leków zaschło mi w gardle... Skutek uboczny.

- Tak... Oczywiście.

Wstał, a Joanna z przyjemnością odnotowała jego przerażoną minę, gdy spojrzął na drzwi, w których ciągle stała pacjentka.

- W prawo, do końca korytarza, a potem w prawo i znowu w prawo...

- Dobrze, pójdę - powiedział do niej i do samego siebie.

Szybko przecisnął się w drzwiach, mijając obojętną kobietę, i zniknął za szybą.

Joanna miała trochę czasu. Tylko pierwsze „w prawo” się zgadzało. Rozejrzała się i przysunęła swoje krzesło bliżej torby. Otworzyła ją... Wyjęła świstki. Kilka rachunków: za prąd, wodę i internet... wszystkie przeterminowane i na jeden adres. Majowa 5/8. O, przynajmniej wiem, gdzie mieszkasz... - pogratulowała sobie i wyciągnęła gruby brulion. Otworzył się na ostatniej stronie.

*Co panią zainspirowało do napisania... Ile jest prawdy w losach Justyny Lenart... A na czym się pani wzorowała... Czy zbieranie materiałów... Ile ustaliła policja, a ile pani... Dlaczego takie zakończenie... Czy samobójcza śmierć córki... - i*

jeszcze ze dwadzieścia takich pytań. Obok dopisek: *Wszystko o Justynie, koniecznie się dowiedzieć!*

- Jaka szkoda - jęknęła znudzona.

Przekartkowała zeszyt. Pierwsze strony okazały się puste, ale za to ze dwadzieścia środkowych kartek było zapisanych. Drobnymi literami, kratka w kratkę. Odszukała początek. I zakryła ręką usta, żeby mimo wszystko nie roześmiać się głośno... Nad tekstem był tytuł: *Przygody gwiazdowego detektywa*.

Naiwny chłopczyk, a do tego literat! Rozbawiło ją to. Rozejrzała się jeszcze raz - nikt na nią nie patrzył. Wyrwała wszystkie zapisane kartki i schowała brulion razem z rachunkami do torby. *Przygody gwiazdowego detektywa* wcisnęła pod koszulę. Nie zamierzała teraz ich czytać.

Gdy wrócił z plastikowym kubkiem w dłoni, siedziała na swoim miejscu, z głową opartą na rękach, i patrzyła w jeden punkt. Przejście miało już wolne. Chłopczyk znalazł się w ramionach ojca i cicho chlipał, a babka już prawie zaciągnęła córkę do stolika i próbowała zmusić, żeby usiadła.

- Dziękuję - powiedziała Joanna, biorąc kubek i odstawiając go na bok.

- Przepraszam, chwilę to trwało...

- Coś źle wytłumaczyłam? - zapytała.

- Nie. - Pokręcił głową.

- To wróćmy do twojego pytania. Dlaczego zainteresowała cię ta historia?

- Moja ciocia mieszkała kilka ulic dalej i stąd wiedziałem...

- I tylko dlatego chcesz przeprowadzić ze mną wywiad? Bo twoja ciocia tam mieszkała? - podsumowała Joanna lekko rozczarowanym tonem.

- Tak - odparł szybko, kiwając jednocześnie głową. I jakby na potwierdzenie wziął torbę na kolana i zaczął ją otwierać.

Kłamiesz - pomyślała Joanna.

- Odpowiem na twoje pytania innym razem - oznajmiła, a chłopiec zastygł z na wpół wyciągniętym brulionem w ręce. - Dzisiaj nie da się tu rozmawiać - wyjaśniła, kierując wzrok na rodzinę.



Dziecko, które babka próbowała usadzić na kolanach córki, rozwrzeszczało się tym razem na dobre. Joanna przypuszczała, że cała ta scenka jeszcze trochę potrwa, ale nie to jej przeszkadzało. Nie chciała już rozmawiać z naiwnym chłopcem. Wiedziała, że kłamie i coś przed nią ukrywa. Nie miała ochoty odpowiadać na banalne, przygotowane pytania. Na pewno nie teraz. Poza tym on nie przyszedł pogadać o książce. On ją przyniósł, i to z jakiegoś powodu. I na pewno nie chodziło mu o autograf, bo ją zostawił, zamiast zabrać. A szkoda - pomyślała, bo chłopiec był mimo wszystko ładny, do tego nieśmiały. Nieśmiałych zaś lubiła najbardziej.

I miał takie długie, smukłe palce...

Wiedziała też, że jeszcze na to nie czas. Dzisiaj ani nie wygląda dobrze, ani się nie dowie, o co tak naprawdę mu chodzi. Przeciąganie tego spotkania nie miało sensu. Dziecko obok histeryzowało, a chłopiec otworzyłby brulion i zupełnie niepotrzebnie dostrzegł brak kartek. Żeby wyciągnąć od niego informacje, potrzebowała odpowiednich okoliczności.

A takie będą wkrótce - pomyślała z zadowoleniem.

- Możemy wyjść na zewnątrz... pytałem o to. Mogę panią wyprowadzić...

- Czy ja wyglądam na psa... a raczej na sukę?

- Przepraszam... ja nie... - zaczął się jąkać.

- Nie szkodzi - przerwała mu. - Dziś jestem zmęczona. Dwa dni cię nie zbawią. Daj mi swoją wizytówkę-poprosiła, wstając.

- Nie mam przy sobie... - wyjąkał po chwili, mocno się czerwieniąc.

Dziennikarzem też nie jesteś... Szkoda - pożałowała w duchu.

- Nie martw się - powiedziała już na głos. - Zrobimy ten wywiad. - Oparła się rękami o blat stołu, jakby rzeczywiście była zbyt słaba na rozmowę. - Podaj mi numer telefonu, Marku - poprosiła.

Chłopak znowu zaczął wyciągać zeszyt.

- Nie masz jakiejś mniejszej kartki? - zapytała szybko.

- A... mam. - Wyjął z torby mały notes i zaczął zapisywać.

- I adres cioci też - dodała dla zabawy bardzo poważnym głosem.

Chłopak osłupiał. Przez chwilę miał tak szeroko otwarte oczy, że Joanna się przestraszyła: Jezu, zaraz mu wypłyną!

- Żartowałam - skwitowała równie poważnie.

Zerknęła na zapisany numer, ale nie wzięła kartki. I nic więcej nie powiedziała. Wyszła, kierując się wprost do łazienki. Tam wyciągnęła kartki spod koszuli i zaczęła czytać:

*Kapitan Hikikomori po raz kolejny przeniósł się z hipertotalną prędkością na planetę oznaczoną symbolem XZK 20098/384 - była dokładnie osiem lat świetlnych od Ziemi. Znowu mógł uruchomić betateleskop; bez przeszkód patrzeć, co się wtedy wydarzyło na rodzimej planecie... i rozwiązać kolejną sprawę.*

- Sam jesteś hikikomori, naiwny chłopaku - westchnęła z uśmiechem.

\*\*\*

Zabawna historyjka. Miły chłopak... ale nie, nie było sensu teraz z nim rozmawiać.

Matka w stanie totalnej anhedonii nie jest dobrym tłem do rozmowy. Babcia zaczęłaby wpychać wyrywające się dziecko na kolana córki w nadziei, że ta w końcu się obudzi i coś poczuje. A ona teraz czuje tylko totalnie bolesne zubożenie. Boli ją człowiek w niej samej, boli ją matka w niej samej, boli strasznie, ale nie będzie płakać. Bo depresja nie ma łez.

Ale dosyć o niej. Zastosują leki trójpierścieniowe i leki nowej generacji, które będą selektywnie hamować wychwyt zwrotny serotoniny, noradrenaliny i dopaminy z przestrzeni synaptycznej. Może zdecydują się na wenlafaksynę, może na milnacipran albo cokolwiek innego. Dojdzie do aktywacji receptorów 5-HT<sub>1A</sub> i osłabienia 5-HT<sub>2A</sub>. I jakoś to będzie.

Wiem coś o tym.

I wiem, że mnie czeka coś znacznie lepszego, i to nadchodzi. Czuję już powoli tę jaskrawość myślenia. Brak skrępowania. Kreatywność czuję, czujność czuję. I wszystko, co tylko zechcę. Nadchodzi.

Nie. Nie było sensu rozmawiać.

Nawet jakbym poszła do pokoju z jednym stolikiem, to i tak

nie byłabym sama. Za szybą stanąłby babochłop i znowu na nas patrzył. Wychodzić z budynku też nie było po co. Muszę zostać z naiwnym chłopcem sam na sam.

I nie w takim stanie, w jakim jestem.

Nie wystarczy, że mam umyte włosy. Szampon do dupy. Rozdwojone końcówki sterczą we wszystkich kierunkach niczym ptasi puch. Muszę ściąć te siepy. Nadać włosom kolor, lśnienie, formę. Muszą falami spływać po głowie. Muszą się unosić sprężyste i opadać, gdy tylko nimi potrząsnę. Dawać się odgarniać jednym gestem, jednym poruszeniem szyi, jednym przechylem. Muszą mi pomóc owinąć tego chłopca wokół palca, na przykład! To da się zrobić.

Muszę jeszcze więcej jeść i pić. Już czuję, jak moja zwiotczała skóra się napręża. Jak wszystkie zaschnięte komórki wypełniają się życiem, wodą, tłuszczem, i puchną z dumy. Wygłodniały organizm przyjmuje wszystko i magazynuje ze strachu przed kolejną suszą. No cóż, to się może zdarzyć. Ale nie teraz. Nie bez mojej zgody.

Jeszcze tylko krem na strupy po już prawie wygojonych pryszczach. Kostiumy i stylizacja... I nadam zdarzeniom kierunku.

Mam moc.

...więc naiwny chłopiec ma sprawę do sprawy w mojej książce...

Ciocie od razu możemy pochować... nie zaszkodzi jej, nie zmartwi się tym, bo nigdy nie istniała... Boże, co to za cud nieistnienia!... Ale chłopiec ma dręczący go problem... I interesuje go Justyna Lenart... Nie należy do jej rodziny, bo całą rodzinę poznałam... Ktoś go wysłał... Ale kto?... W godzinę nie powie, zbyt się szykował... Zadawałby naiwne pytania, licząc, że coś ode mnie wyciągnie.

Ma być odwrotnie, chłopczyku z fantazją.

W dwie godziny ty mi wszystko opowiesz. Ze szczegółami...

I będziesz na mnie patrzył jak na boginię wybawienia. Co przyszła ci z pomocą.

Tak będzie. Jak tylko postaram się o prostownicę do włosów, szminkę i dobry biustonosz. I o odpowiednio naiwną minę...

Ale przygotujmy się do tego... Na razie koniec z pisaniem. Czas poczytać...

Ostatnia sprawa prokurator Michaliny Donaj - Zaginiona: Justyna Lenart...

\*\*\*

Strona 46

Duże niebieskie oczy Justyny Lenart patrzyły ze ślubnego zdjęcia na przeszukujących mieszkanie policjantów. Śmiała się szeroko, przekręcając głowę na bok. Delikatne jasne włosy spływały po smukłych ramionach, a pasmo nad czołem zaplecione było w cienki warkocz z powtykanymi kwiatkami konwalii i drobnymi białymi storczykami. Prosta koronkowa suknia, raczej w kolorze starego złota niż biała, spływała do samej ziemi. Mąż obejmował ją w talii. Przystojny, wysoki, wyprostowany, w jasnym garniturze. Przed nimi na trawie stała kilkuletnia córka Justyny. Też wystrojona w koronkową sukienkę, wyglądała jak putto bawiące się bukietem z białych orchidei i piwonii.

Justyna zaginęła przed trzema tygodniami. A rodzina, właściwie matka, zgłosiła to zaginięcie zaledwie kilka dni temu. I od tego momentu ani ona, ani mąż Justyny nie zadzwonili na policję z pytaniem, czy są jakieś nowe informacje. Mąż ani razu nie przyszedł do komisariatu. I jak ustalono, nie próbował jej szukać również w miejscowych szpitalach. Między innymi z tego powodu prokurator Michalina Donaj wszczęła śledztwo, zlecając szczególną obserwację rodziny...

\*\*\*

Pamiętam to „między innymi”, zaraz wszystko wyjaśnię. Przede wszystkim - jak doszło do tego, że przeszukiwano mieszkanie Lenartów.

Byłam bardzo zdziwiona, kiedy się dowiedziałam, jak wielki wpływ na śledztwo mają wzajemne animozje i sympatie. Jak potrafią przyspieszyć wydarzenia albo je spowolnić. A nawet całkiem zamknąć dochodzenie...

Oczywiście nie u mnie w książce! Choć w rzeczywistości tak

się stało!

Wtedy takim czynnikiem był rudy młody policjant.

On był spiritus movens wszystkiego, co się działo, choć sam pewnie nie do końca zdawał sobie z tego sprawę.

To on przyjął zgłoszenie o zaginięciu. To on rozmawiał z matką Justyny - Zofią Lenart. On nadał bieg sprawie.

Wyobrażam sobie, jak musiała go przytłoczyć rzutka pięćdziesięciokilkulatka. Chuda, rozhisteryzowana. Szkoda, że tylko na swoim punkcie - dodam od siebie.

Słuchał jej, gdy mówiła dużo i chaotycznie. I wymijająco, jeśli nie pasowało jej pytanie policjanta.

Zapewne dopiero po jej wyjściu młody policjant był w stanie zebrać myśli i patrząc na zdjęcie dziewczyny w ślubnej sukni, uporządkować dostarczone mu informacje.

Opisałam to tak...

\*\*\*

Strona 47

Błażej Białas drapał się po rudym języku i wypełniał formularz zgłoszenia zaginięcia. Ponadtrzytygodniowa nieobecność młodej żony, matki kilkuletniej dziewczynki, sama w sobie wydawała się podejrzana. Kiedy jednak zapytał, czy zdarzało się to już wcześniej, w odpowiedzi usłyszał brzęk bransoletek na ręce kobiety, która zaczęła nerwowo przegarniać krótkie włosy i wiercić się na krześle. W końcu, stukając paznokciami w stół, oświadczyła kategorycznie:

- Tak. Ale nigdy na tak długo!

Kolejne pytanie z puli standardowych: czy Justyna Lenart kontaktowała się w tym czasie z kimkolwiek? Przed oczami Błażeja Białasa znowu zamigotał pęk złotych ozdób na nadgarstku, kiedy kobieta, machając ręką, mówiła: niby tak... ale ona nie wie... do niej nie dzwoniła... ani do córki... jej się to nie podoba... sama jest matką i ma intuicję...

Po dłuższej chwili dowiedział się, że podobno dzwoniła dwa tygodnie temu do męża, informując go, że jest na waka- cjach. Zofia Lenart, stukając palcem wskazującym w wypisywany przez policjanta formularz, jeszcze kilka razy powtórzyła, że

mąż Justyny nazywa się Paweł Cis, a córka została przy rodowym nazwisku, bo przecież ładniejsze.

Zapisał to. Wystąpił zgodnie z procedurą o „zwolnienie z tajemnicy służbowej” operatora telefonicznego i sprawdzenie billingów. Z sekretariatu prokuratury wróciła teczka z nadanym numerem sprawy i odpowiednim postanowieniem uprawniającym do przejrzenia połączeń wykonywanych przez Pawła Cisa, męża potencjalnej zaginionej. Akta leżały na biurku, gdy inny policjant zerknął na nie i widząc numer przydzielonego prokuratora, uśmiechnął się od ucha do ucha, poklepał Błażeja po ramieniu i pogratulował mu szczęścia.

Błażej Białas był nie tylko młodym policjantem, ale i nowym na komendzie, więc z początku nie bardzo wiedział, z czego ma się cieszyć. Dopiero po kilku rozmowach, które z reguły zaczynały się westchnieniem bądź gwizdem w stylu „fiu-fiu!”, dowiedział się, że numer 14 należy do Michaliny Donaj. Pani prokurator była zdecydowanie w typie niektórych policjantów, inni zaś się zarzekali, że to zdecydowanie ich antytyp. Nikt jednak nie był wobec niej obojętny. Błażej Białas chciwie słuchał wszystkich tych opinii, zwłaszcza odkąd się dowiedział, że jest wyjątkowo wysoka jak na kobietę. Uruchomiło to jego wyobraźnię i bardzo chciał mieć powód, by porozmawiać z nią osobiście.

Z wypiekami na piegowatych policzkach zaczął przeglądać spis połączeń wykonanych w ostatnim miesiącu przez Pawła Cisa. Ale już po krótkiej chwili zrzędała mu mina. Paweł Cis dzwonił do żony dziesięć razy, regularnie co kilka dni. Za każdym razem były to połączenia nieodebrane. Za to ona dzwoniła trzy razy. Dwa razy w nocy, raz o czwartej nad ranem. On dla odmiany odbierał zawsze, a zapisane rozmowy trwały ponad godzinę. Było też kilka esemesów wysyłanych w obie strony, ostatni sprzed kilku dni.

Błażej Białas miał skwaszoną minę. Sprawa wydawała się ewidentna. Mąż utrzymywał kontakt z żoną, która wyjechała, uciekła, odeszła... czy cokolwiek innego. Do matki mogła nie dzwonić z różnych powodów. Skontaktował się z Zofią Lenart i powiadomił ją o tych połączeniach. Odburknęła mu tylko, że i

tak ma swoje zdanie na ten temat, i rzuciła słuchawkę.

Zaginiecie zgłoszono, należało więc przeprowadzić dochodzenie i zamknąć sprawę lub zostawić Justynę Lenart na liście poszukiwanych i nie zamartwiać się tym zbytnio. Ale to nie wymagało już osobistego spotkania z panią prokurator.

Dopiero nazajutrz sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Błażej Białas odebrał anonimowy telefon, wykonany, jak się później okazało, z budki telefonicznej. Starsza kobieta nie przedstawiła się i mówiła, przykładając do ust chusteczkę czy coś innego, co zniekształcało jej głos. Policjant podejrzewał, że znowu może mieć do czynienia z matką dziewczyny, bo kobieta po drugiej stronie linii wyraźnie sugerowała, żeby przeszukać dom zaginionej, bo ktoś już próbował to zrobić, ale nieudolnie! - taki mniej więcej był sens nerwowej, trochę niezrozumiałej rozmowy.

Błażej Białas odłożył słuchawkę, popatrzył na zdjęcie Justyny Lenart i z zadowoleniem klasnął w dłonie. Była podstawa...

\*\*\*

Pamiętam tego młodego policjanta. Drobny, z rudym językiem i piegowatą twarzą.

Właściwie rozpoczął to śledztwo przypadkiem. Może ja też przypadkiem odkryłam coś, o czym nie miałam pojęcia.

Rudemu Białasowi chodziło o spotkanie z interesującą panią, dlatego pojechał do Lenartów, a potem umówił się z Michaliną Donaj, żeby omówić możliwość wszczęcia śledztwa w sprawie zabójstwa, bo według jego wiedzy operacyjnej były ku temu przesłanki.

Jak się później dowiedziałam, ponaciągał trochę fakty. Stwierdził, że matka Justyny wyraźnie coś ukrywa, mąż odpowiada pokrętnie, a córka jest zastraszona. Wyolbrzymił znaczenie anonimowego telefonu, sugerując, że Justyna Lenart mogła być zamordowana i jeśli się pospieszą, może uda im się znaleźć na to dowody. Michalina Donaj wysłuchiwała go dość pobieżnie, bo tego dnia miała niewiele czasu, i podpisała zgodę na przeszukanie. Młodziak nie zdążył się napatrzeć, ale usłyszał, że ma ją poinformować, jeśli cokolwiek znajdzie.

Bardzo chciał coś znaleźć. Cokolwiek. Coś, czego będzie można się chwycić.

Tak samo jak ja teraz.

Wspominam go, siedząc po turecku na parapecie okna w szpitalnym pokoju. I mam nadzieję, że to moja ostatnia noc tutaj.

Może i ostatnia, ale i tak nie odważę się zasnąć.

Tabletkę, tę na sen, oczywiście wzięłam do ust. I ku zadowoleniu babochłopa popiłam całą szklanką wody. To coś wie, że teraz samo będzie mogło się zdrzemnąć.

Ale ja nie śpię. -

Nie połknęłam pigułki. Taką maleńką potrafię schować. Robię to językiem. Wpycham ją za dziąsło zęba mądrości w górnej szczęce. A potem tak przygniatam policzkiem, żeby nie mogła wraz z wodą spłynąć do żołądka. I uspić mnie tak skutecznie, że co najwyżej mogłabym się obudzić na chwilę przed śmiercią. Przez uduszenie na przykład...

Wrzuciłam ją koleżance modelce. Niech śpi za dwie.

Ja ze skrzyżowanymi nogami siedzę na parapecie. Dłońmi masuję stopy. Na kolanach mam rozłożoną książkę.

Czytam trochę. Jest pełnia. Jak tylko chmury odsłaniają księżyc, mam wystarczająco dużo światła. I wspominam rudego policjanta.

To było jedno z jego pierwszych samodzielnych działań. Interesowała go ta sprawa, tak samo jak przydzielona do niej pani prokurator.

Mnie natomiast zainteresowało zdjęcie zaginionej. To, które przyniosła jej matka. Michalina Donaj pokazała mi je tego samego dnia, w którym rozmawiała z policjantem. Nie pamiętam już, pod jakim pretekstem zjawiłam się wtedy u niej w pracy. Wymyślałam dużo różnych powodów, więc nie pamiętam już, który to był.

Nikt oprócz mnie się nie zastanawiał, dlaczego matka przyniosła właśnie takie - ze ślubnej sesji. Po prostu dała je, mówiąc, że tu najlepiej widać jej córkę. I że to jest najlepsze.

I rzeczywiście było. Obiegło pół komendy, zanim jeszcze znalazło się w bazie danych. Oglądali je wszyscy. Przekazując



sobie nawzajem. Miało wymięte rogi od przechodzenia z rąk do rąk.

Skopiowałam tę fotografię w formacie A4 i powiesiłam sobie nad biurkiem.

Justyna Lenart. W koronkowej sukni ślubnej, z fryzurą imitującą wianek, z bosymi stopami na usianej białymi stokrotkami trawie.

Fotograf się postarał. Nie zepsuł stylizowanej prostoty, a nawet ją wzmocnił, każąc pannie młodej zdjąć buty i kręcić się w kółko. Chwytał ją dokładnie w momencie, gdy się zatrzymywała z rozbawioną twarzą. Suknia jeszcze lekko wirowała, a włosy falowały w powietrzu. Większość zdjęć była do siebie podobna, tylko trawę zastępowała ławka w parku, postument przy fontannie i inne elementy scenerii powszechnie uważanej za romantyczną.

Cierpię, gdy jacykolwiek nowo poślubieni każą mi coś takiego oglądać! I jeszcze się zachwycać! Na przykład spontaniczną scenką rodzajową w stogu siana, gdzie pan młody w muszce uchyla w finezyjny sposób rąbek ślubnej sukni... Przaśny romantyzm. Po co to robią - nie wiem. Gdyby ją w ten stóg wepchnął głową, byłoby na co popatrzeć... Ale dosyć o tym.

Cały album ślubny Pawła Cisa i Justyny Lenart obejrzałam z wielkim zaciekawieniem. Była to książka w twardej okładce, z datą ślubu wydrukowaną złotymi literami pełnymi zakrętasów. Przeglądałam to wszystko bardzo uważnie. Kartka po kartce.

Na większości zdjęć Justyna była sama. I nie zdziwiło mnie to, bo wdzięcznie pozowała. I te wyszły najlepiej. Mała Marietta też się pojawiała gdzieniegdzie w tle, obrywając płatki stokrotek czy brodząc w fontannie. Wyglądała jak puciołowaty aniołek. Zapewne nawet fotograf był dumny z tych zdjęć.

Ale jak sobie myślę, ile musiał się napocić, by wybrać jakiegokolwiek dobre ujęcia z panem młodym... to aż mi go żal.

Paweł Cis tam, gdzie mógł tylko stać - to stał. I wyglądał dobrze.

Ale tam, gdzie fotograf kazał mu brać żonę na kolana, klękać u jej stóp, kłaść się obok na trawie, zrywać polne kwiaty... czy odgrywać cokolwiek, na jego twarzy pojawiał się sztucznie

maskowany grymas niechęci.

I pomyśleć, że te zdjęcia, które widziałam, i tak musiały zostać wybrane z setek jeszcze gorszych, jeszcze bardziej sztywnych ujęć.

Jak mało kto umiem to dostrzec.

Jedno jest pewne: Paweł Cis nie potrafił pozować.

Ale ten album widziałam ja! A nie policja!

Policjanci przez dłuższy czas znali tylko to zdjęcie, na którym Justyna Lenart wygląda jak świtezianka. I takiemu zdjęciu się przyglądali, podziwiając zwiewne dziewczę z całkiem fajnymi cyckami i zgrabną pupą.

Wszyscy wzdychali, z rudym policjantem włącznie, z tym że ten dla odmiany przez cały czas przypatrywał się trawie, na której były bose stopy Justyny Lenart.

Niedługo później dowiedziałam się dlaczego.

Opowiem o tym, ale nie teraz...

Teraz z przerażeniem patrzę, jak po cichu otwierają się drzwi do mojego pokoju.

Najpierw poruszyła się klamka. Zastygłam w bezruchu. Po chwili wpadł cienki promień z korytarza, na którym zawsze pali się światło.

Na centymetr, potem na dwa, na pięć. Nie widzę nic więcej. Drzwi otwierają się w kierunku okna. Ja nie zobaczę, kto zagląda, ale ten ktoś za chwilę zobaczy moje łóżko. Ze zwiniętą kołdrą, puste...

Jeszcze chwila.

Szpara w drzwiach ma już dziesięć centymetrów. Snop światła pada na zmiędloną poduszkę...

Rozchylą się bardziej?

Nie!

Zamykają się pospiesznie, szybki tupot nóg...

To nie była pielęgniara... To pewne! Ta natychmiast by włązła, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje...

Ktoś zobaczył, że nie śpię. I uciekł...

Miałam szczęście... Jak długo jeszcze?

Dopóki jestem czujna, nic mi nie grozi.

Czytam dalej...

Strona 56

Podczas przeszukania wszyscy byli obecni.

Paweł Cis, obecny mąż Justyny Lenart. Trzydziestosześcioletek, o którym spokojnie można było powiedzieć, że wygląda dziesięć lat starzej. Posiwałe skronie, kamienna twarz, zaciśnięte wąskie usta. Siedział nieruchomo na kanapie w salonie, obojętny na tłoczących się wokół ludzi. W przeciwległy koniec kanapy wtulała się jedenastoletnia Marietta Lenart. Otyła, wystraszona dziewczynka - córka Justyny. Ojciec, zaledwie osiemnastoletni, zginął w wypadku samochodowym jeszcze przed jej narodzinami i przed planowanym ślubem. Justyna również uczestniczyła w tym wypadku, ale jakoś zdołała wyjść z niego cało. Za plecami Marietty stał Waław Lenart, od czasu do czasu głaszcząc wnuczkę po głowie. Wąsaty sześćdziesięcioletek, w stroju myśliwskim i jeszcze zabłoconych butach, z przerażeniem w oczach obserwował zarówno policjantów zwijających dywan z podłogi, jak i żonę, Zofię Lenart, która jako jedyna reagowała na rozgrywające się wokół wydarzenia.

Energiczna pięćdziesięciokilkuletnia kobieta obwieszona biżuterią biegła za policjantami, próbując wchodzić za nimi do przeszukiwanych pomieszczeń i krzyczeć, by niczego nie dotykali. Wielokrotne prośby o nieprzeszkadzanie w czynnościach służbowych nie skutkowały.

- Nie dotykajcie tego! - krzyknęła po raz kolejny, gdy lechnik, zamierzając odsunąć od ściany komodę, zaczął zdejmować z niej porcelanowe psy, koszyczki, pary tańczące menueta. - To było drogie! Kto za to zapłaci, jak stłuczesz?! Policja mi zapłaci?!

- Proszę stąd odejść - poprosił technik.

- Dlaczego ty nic nie mówisz?! - wrzasnęła tym razem w kierunku męża. - Potłuką, zniszczą! Dom demolują a ty nic.

Waław Lenart opuścił głowę.

- Sama tego chciałaś. Kto ich sprowadził? - wybąkał pod nosem i dalej, już w milczeniu, głąskał włosy wnuczki.

Zofia Lenart prychnęła i odwróciła się na pięcie.

- To proszę też zostawić! - krzyknęła.

- A dlaczego szukacie w domu, skoro właśnie tutaj jej nie ma?  
- odezwał się milczący dotąd dwudziestotrzylatek, który stał oparty o wielkie akwarium i stukał palcem w szybę, odstrasząc podpływającą dużą złotą rybkę.

Maciej Lenart, młodszy brat Justyny, znudzonym wzrokiem obserwował rozgrywające się wokół zamieszanie. Nie mógł iść na górę do swojego pokoju, bo udał się tam jeden z policjantów, więc oparł ukochaną deskorolkę o szafkę, na której stało akwarium, i czekał.

W drzwiach pojawił się nadzorujący przeszukanie Błażej Białas.

- Proszę państwa - powiedział spokojnie. - Mamy nakaz... To standardowa procedura. Prowadzimy czynności i proszę ich nie utrudniać. To znacznie przyspieszy...

- A wy mi dom rozniesiecie! - wrzasnęła Zofia, ale policjant nie zareagował, bo technik, który właśnie zszedł z góry, zaczął mówić mu coś na ucho.

Białas podrapał się po rudym języku i nie patrząc na gestykulującą kobietę, podszedł do jej męża. Odciągnął go na bok, w kąt salonu, gdzie znajdowało się otwarte wejście do kuchni.

- W pokoju pana syna... - Przerwał, słysząc za sobą stukot butów i brzęk złotych bransoletek. - Proszę powiedzieć żonie, żeby nas na chwilę zostawiła.

- Gdzie ty w tych butach leziesz mi do kuchni?!

- Zofio, proszę cię, odejdz - powiedział cicho Waław Lenart, z niepokojem patrząc na młokosa, który miał minę dostatecznie poważną, by jej nie lekceważyć.

- Pewnie! A ty nie wiadomo co zrobisz... Zawsze... - zaczęła. - Do tego nabłoci!

- Wyjdz stąd! - Tym razem on krzyknął, i to tak głośno, że wszyscy obecni odwrócili się w ich kierunku. Kobieta zamarła na chwilę z otwartymi ustami i już zamierzała coś powiedzieć, gdy krzyknął po raz drugi: - Wyjdz!

- W pokoju pana syna - powtórzył policjant, gdy już zostali sami - znaleźliśmy marihuanę.

Wacław Lenart zbladł i zaczął nerwowo szarpać wąsy.

- Proszę się nie martwić. Nie są to duże ilości, powiedzmy, że paprochy. To nie jest nalot narkotykowy i w tej trudnej sytuacji nie zamierzam przysparzać państwu dodatkowych problemów. Ale proszę nie utrudniać nam pracy... To potrwa nie dłużej niż godzinę...

- Dobrze. - Wacław Lenart bez chwili zwłoki podszedł do żony i chwycił ją za ramię.

- Co ty w ogóle robisz?! - zachnęła się kobieta, nadymając policzki. - Rozkazują nam we własnym mieszkaniu. Jak zwykle nikt mnie nie słucha... Zostaw pan ten dywan!

Ale mąż pociągnął ją za rękę i zaczął coś szeptać do ucha.

- Maciej, wychodzimy! - krzyknęła natychmiast w stronę syna, tym razem z przerażeniem w głosie.

Policjant uśmiechnął się pod nosem, patrząc, jak chłopak w szerokich spodniach z krokiem do kolan powłóczy z ociąganiem nogami.

- Zabierz Mariettę - powiedział Wacław Lenart do żony gdy byli już prawie przy drzwiach.

Dziewczynka wstała z kanapy.

- Zawsze się chwali, że ma ojca. To niech on się teraz nią zajmie! - prychnęła kobieta w stronę wciąż siedzącego na kanapie zięcia.

Ten ani drgnął.

Dziewczynka opuściła głowę i stojąc w miejscu, zaczęła płakać. Przykrótki różowy podkoszulek podciągnął się jej do góry, odsłaniając fałdę tłuszczu, która wylewała się spod cisnącej gumki różowych legginsów.

Do Marietty podszedł Maciej Lenart. Właśnie wracał po pozostawioną deskorolkę.

- Chodź - powiedział, chwytając siostrzenicę za chudą rękę. - Nie bec... Ona się znajdzie... Moja siostra zawsze się znajduje - westchnął, gdy byli już za progiem.

Wacław Lenart zamknął za nimi drzwi i zwrócił się do siedzącego na kanapie zięcia.

- Paweł... - zaczął stanowczym tonem, ale tylko przeciągnął palcami po krzaczastych wąsach i nic już nie powiedział.

Paweł Cis wstał niechętnie i ruszył za nim w kierunku drzwi. Przystanął jednak w momencie, gdy rozległ się odgłos przesuwania kanapy po podłodze. Okazało się, że frędzle dywanu uwieźły pod jedną z nóg kanapy. Technik podniósł ją, wkładając w to znacznie więcej siły, niż było trzeba, i przesunął na dość dużą odległość. Chwilę patrzył w dół, po czym przesunął ją jeszcze dalej.

Wszyscy obecni wpatrywali się w kawałek odkrytej podłogi. Były na nim wyraźne ślady kolistych ruchów szmaty. Niedokładnie wytarte. Czerwonawe.

Technik pokiwał głową w kierunku policjanta, który z wrażenia przestał oddychać.

- Okłamałem pana - powiedział Błażej Białas, starając się ukryć radość na twarzy

Wacław Lenart patrzył to na stojącego bez ruchu Pawła Cisa, to na rozmazaną brunatną plamę.

- To potrwa znacznie dłużej - usłyszał tryumfujący głos młodego policjanta.

\*\*\*

Pamiętam tę małą Mariettę.

Jak ona żałośnie wyglądała! Małe piersi, razem z tłuszczem przebijające się przez za krótki podkoszulek z nadrukowaną jakąś sexy nastoletnią gwiazdą... Pulchne pośladki w za małych legginsach. Wrzynających się w opasłe półdupki. Z przodu jeszcze gorzej. Dramat!

Kto jej to kupował? Kto ją tak ubierał? Kto nie chciał uwierzyć, ile ma już lat i jaki rozmiar nosi?

Ha. Ha. To akurat nietrudna zagadka.

Nie musiałam poznawać Justyny Lenart, by wiedzieć, że to jej dzieło.

Nie pierwsza matka zadziwiona potomstwem. Nieplanowana wczesna ciąża. Dziewczynka podrzucana dziadkom... Przekarmiana, odrzucona, nie wyglądała jak mała księżniczka. Justyna Lenart chyba nawet trochę się jej wstydziła.

Podobno dziewczynka niezbyt rozpacziała po zniknięciu matki, była przyzwyczajona do jej nieobecności. Płacz w trakcie

przeszukania był jedynym takim incydentem i podobno po rozmowie z ojczymem już się nigdy nie powtórzył.

Justyna często wyjeżdżała bez uprzedzenia. Na tydzień, dwa, z reguły do czasu, gdy skończyły jej się pieniądze. Wtedy wracała. Czasami skruszona, czasami nie. Awantury po powrocie wcześniej czy później cichły. Zawsze utrzymywała, że wyjeżdżała z koleżankami.

Prokurator Michalina Donaj pokazała mi notatkę z przesłuchań tych koleżanek. Niektóre może i z nią podróżowały ale znacznie częściej kryły jej kolejne romanse. Nie było to trudne, bo nikt ich nie sprawdzał. Nawet jak jedna z nich spotkała w sklepie męża Justyny, choć w tym czasie miała być z nią w Sopocie, to ten udał, że jej nie widzi.

Naśmiałyśmy się wtedy z Michaliną, która na bieżąco zdawała mi relację z postępów w sprawie, opowiadając o tym tak wspaniałomyślnym mężu, przecież głównym podejrzanym.

Właśnie się zastanawiam, jak Marietta może dzisiaj wyglądać... Może schudła jak ta modelka, która leży obok mnie i nic nie je, tylko tępo patrzy w sufit.

Nie szkodzi. Jem za nią. Ja muszę mieć siłę...

Właśnie wszedł babochłop ze szklanym pojemniczkiem. Grzecznie wyciągam rękę. I polykam cały swój przydział. Dziś tabletek jest nawet więcej - dwie białe, małe, jedna owalna żółta, dwie przezroczyste i dwie podłużne niebieskie... Doktor Bartłomiej się spisał... jakieś nowiutkie anti- depresanty... Gdybym tylko mogła, włożyłabym do tego pojemniczka małą palenkę... Taki drink...

Na zdrowie, Asiu!

I właściwie czuję się jaaakkk po driinnnnnnnnnnnnnnku. Konieeec nadzi ś, cooo się dziejee rjvwUG3 05N4T4 Ip 3tgjgsnfbmht.kjyhfgfjfhgmvtvfibn

Bubiuno hjklk, 76ty55555555557yu8y6t5

Jklijm

\*\*\*

- Ale nas pani wystraszyła... - powiedział psychiatra Bartłomiej, patrząc na ciągle półprzytomną Joannę... - Posta-

wiła pani na nogi cały szpital... - dodał, przecierając spocone czoło i trąc kciukiem podkrążone oczy.

- Co to było? - zapytała, ledwo otwierając usta.

- Jeszcze badamy, ale najprawdopodobniej wstrząs serotoninowy... Czy brała pani jakieś dodatkowe leki, o których nie wiem? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy

- Tylko te, które mi przyniesiono... Było ich więcej...

- Niczego nowego pani nie przepisałem... - oświadczył rzeczowym tonem.

- Ach, tak... - Joanna tylko potwierdziła swoje przypuszczenia, które pojawiły się, zaledwie otworzyła oczy. Ktoś znowu chciał ją zabić.

- Pani Joanno... - zaczął psychiatra, przysuwając do łóżka taboret. Usiadł na nim i chwycił ją za rękę. Chciała ją wyrwać, ale miała niewiele siły, a on przytrzymał ją jeszcze mocniej, udając, że palcami bada puls. Przynajmniej tak się Joannie wydawało. - Naprawdę chciałbym wiedzieć, co pani wzięła i skąd... - powtórzył łagodniejszym tonem. - Proszę mi wierzyć, to dla pani dobra.

- Jasne - bąknęła Joanna, patrząc na mankiety nie swojej koszuli. Ta nie była biała. Miała wzorki z paskudnych, spranych różyczek. - Dlaczego mam to na sobie? Gdzie moje ubranie? - Zauważyła głęboki, rozciągnięty dekolt i prawie widoczną spod niego pierś. Spojrzała na doktora, który w tym momencie się spłoszył, puścił jej rękę i odwrócił wzrok. Też musiał tam patrzeć.

- Pani Joanno, tak poważny atak mógł się skończyć śmiercią. Gdyby nie była pani w szpitalu...

- Gdybym nie była w szpitalu, toby się nie zaczął - przerwała mu podniesionym głosem. - Dlaczego jestem w tej szmacie? Co się ze mną działo? - zapytała po raz drugi, patrząc wyczekująco na psychiatrę.

Chciała to wiedzieć, przede wszystkim z obawy, że to może się znowu powtórzyć. Właściwie była przekonana, że się powtórzy, jeśli tylko tu zostanie. Tu, w szpitalu, nie wyłuskiwała sama tabletek. Nie wydłubywała ich z zalakowanych opakowań, na których była znana jej nazwa. Tu dostawała do ręki szklane



naparstki wypełnione różnobarwnymi pigułkami. Niektóre rozpoznawała po kolorze i kształcie, ale nie wszystkie. Nie miała też wpływu na to, co jej podają, po prostu przynoszono je i tyle...

I ktoś to wykorzystał!

Tego była pewna mimo ciągle jeszcze przymglonego umysłu, który znowu pracował na wolniejszych obrotach... Mogła to być pielęgniarka, która roznosiła leki. Ale równie dobrze mógł to być każdy, komu udało się odwrócić jej uwagę. Mógł przesypać tabletki, pomieszać pojemniki, dorzucić cokolwiek... To było oczywiste: robiło się coraz niebezpieczniej.

- To co się ze mną działo? - powtórzyła pytanie.

- Pani Joanno. Dostaje pani silne leki... Tego nie muszę tłumaczyć... i reakcja organizmu bywa nieprzewidywalna. Staramy się oczywiście uniknąć zagrażających życiu sytuacji, ale czasami to się nie udaje. Na szczęście, podkreślam, była pani tutaj, na miejscu, dlatego mogliśmy odpowiednio szybko interweniować. Miała pani szereg objawów zespołu serotoninowego. W pani mózgu zapanował chaos... Poszczególne komórki przestały ze sobą rozmawiać...

- Nie musi pan mówić do mnie jak do dziecka - weszła mu w słowo Joanna. Nie miała ochoty na wykład popularno-naukowy.

- Wiem, że pani dużo wie... - odezwał się po chwili psychiatra. - Tylko nie wiem, czy ta wiedza pomaga - dodał po chwili.

- To pytanie dla filozofów zajmujących się cywilizacją... - odpowiedziała Joanna. - Ja jestem tu i teraz. I pytam.

- Więc... - zaczął ponownie lekarz, głośno wzdychając. - Na skutek zbyt wysokiego poziomu serotoniny, spowodowanego interakcją różnych substancji blokujących wychwyty zwrotny neuroprzekazników, doszło do kilku reakcji. Między innymi zaczęła się pani nadmiernie pocić. Z podobną siłą, jakby weszła pod prysznic. To samo w sobie nie było szczególnie groźne, ale jednocześnie znacznie podniosło się pani ciśnienie i mocno przyspieszyło serce, stanowczo za mocno. Wystąpiły mioklonie, czyli nagłe skurcze różnych grup mięśni...

- Tego też nie musi mi pan tłumaczyć - przerwała mu Joanna, która właśnie w tym momencie przypomniała sobie pierwsze nagłe szarpnięcie głowy, a potem całego ciała, które wyprężyło się i wygięło w łuk. Przypomniała sobie coś jeszcze... Czyjaś głowę. Wisiała nad nią i śmiała się. Właściwie śmiały się tylko usta i te pamiętała dokładnie. Duże, spierzchnięte i wykrojone z twarzy, wisiały gdzieś obok głowy, bez reszty ciała. Poruszały się, krzywiły i chyba coś mówiły, same... bo bezkształtna twarz znajdowała się jakby gdzie indziej, dalej.

- Ktoś stał nade mną i się śmiał... - powiedziała do siebie, ale wystarczająco głośno.

Lekarz to usłyszał i po raz kolejny głęboko westchnął.

- Zapewniam panią. Nikt się nie śmiał...

- Ktoś tam jednak był... - powiedziała, patrząc w sufit i próbując znowu przywołać surrealistyczny obraz rozczłonkowanej twarzy i ust zawieszonych w powietrzu.

- Pani Joanno, halucynacje są nieczęstym, ale również występującym objawem zespołu serotoninowego. Mogła pani ich doświadczyć...

- Jasne - burknęła Joanna.

Psychiatra wstał, odstawiając taboret pod ścianę.

- Niech pani teraz odpoczywa... I proszę pamiętać, że eksperymentowanie z lekami bywa bardzo niebezpieczne - dodał, kilkakrotnie pociągając nosem.

- To wy na mnie eksperymentujecie... - odparowała i spróbowała podciągnąć się na łokciach, by usiąść na łóżku. Poczula coś i odruchowo zaczęła wciągać roznoszące się wokół niej powietrze. - Muszę stąd wyjść... Zresztą tu śmierdzi, chyba że mam omamy węchowe? Mam?

Lekarz podszedł do drzwi i krzyknął w kierunku korytarza:

- Siostro!

W tym momencie Joanna poczuła już nie tylko smród, ale i lepkość pod pośladkami. Jak porażona zrzuciła z siebie kołdrę i zadarła koszulę.

- Co to?! - jęknęła, patrząc na swoje ciało.

Zamiast majtek miała wielki pampers. Zatkąła ręką usta, jakby za chwilę miała zwymiotować. Czula, jak ją oblepia i się

pod nią rozmazuje.

- Ostra biegunka to też jeden z objawów - powiedział szybko psychiatra i wyszedł. Z korytarza słychać było, jak znowu woła:  
- Siostró!

Joanna tkwiła w bezruchu, w pozycji półleżącej, wsparta na łokciach, i patrzyła na wielką pieluchę coraz bardziej szklistymi oczami.

\*\*\*

Brzydzę się nawet to opisywać...

Pielęgniarka musiała mnie umyć.

Stoczyłam z nią wojnę, by mi nie zakładała tej pieluchy po raz drugi. Uciekłam się do łez, którymi teatralnie się zalałam, powtarzając cicho, ale za to kilkanaście razy:

- Nie chcę, nie chcę...

Pielęgniarka się wzruszyła - albo wiedziała, że i tak to ściągnę - i mimo polecenia odłożyła pampers na półkę.

Myślałam, że to najgorsze, co mogło mi się przydarzyć... ale podobno nie ma tego złego...

Odprowadzając mnie pod rękę do łóżka, paplała jak najęta. Większość rzeczy bez sensu. Oprócz jednej!

- Wiesz, Asiu, odwiedziła cię jedna pani. I dobrze, bo jak tylko przyszła, zobaczyła, że coś się z tobą dzieje, i zawiadomiła dyżurkę. Bardzo wysoka blondynka o bardzo czerwonych ustach, w dziwnej, ale takiej nawet ciekawej sukience... złotej...

Wystarczyło. Nie musiała mi mówić, że ta pani nazywa się Michalina jakoś tak...

Może to właśnie jej usta widziałam nad sobą?

Nie były podobne. Nie były tak czerwone... ale może mózg przestał reagować na kolory, bo wydaje mi się, że te nade mną w ogóle koloru nie miały. I wszystko inne też było blade.

Muszę to wziąć pod uwagę, bo podobno weszła do mojego pokoju dokładnie w momencie, gdy zaczął się atak.

Jak to się jej udało? Nie czekała, aż ktoś po mnie przyjdzie, nie poprosiła pielęgniarek, tylko po prostu weszła sama.

Potrafię to sobie wyobrazić. Potrafię ją sobie wyobrazić!

Mogła tłumaczyć, że jest z rodziny albo że jest moim ad-

wokatem, ale najpewniej tylko się przedstawiła, spytała kogoś, gdzie leżę, i nie czekając na zaproszenie, z wysoko zadartym podbródkiem i zaciśniętymi z wściekłości pięściami, ruszyła w kierunku mojego pokoju.

Chciała tam wparować i z miejsca mnie rozszarpać... i wcale jej się nie dziwię.

Na pewno mocnym ruchem otworzyła drzwi na oścież. I stanęła w nich wyprostowana. Na pewno nie zamierzała być łagodna, bo niby dlaczego miałyby być? Nie leżało to w jej naturze...

Ale miałam szczęście. Szczęście, że ktoś próbował mnie zabić... Śmieszne, ale tak!

Akurat w chwili gdy weszła, zaczęły się mioklonie.

Wiesz, o co chodzi, nawet jak nie wiesz, co to jest...

Może nawet teraz zasypiasz, czytając to, co ja tu piszę. Zaczynają ci się zlewać litery, mieszać słowa, ciągle ta sama linijka, ale próbujesz otwierać szerzej oczy. Choć tylko tak ci się wydaje. Zamykają się coraz bardziej. Ciężą. Pod powiekami zaczynają się snuć obrazy i te z naszego świata... i te ze światów, które podobno nie istnieją... Senna podróż się zaczyna...

I nagle... szarpnięcie całego ciała! Szybkie, gwałtowne, krótkie! Wybijające... Jak krzyk: „Powracaj!”. Otrząsas się... i po chwili zasypiasz, bo nie masz nad snem władzy.

Miałeś tak? Na pewno!

Więc teraz wyobraź sobie ten sam skurcz - tylko tysiąc razy mocniejszy! I taki, który nie trwa sekundę, tylko szarpie i rzuca twoim ciałem przez minutę, ciągnącą się w nieskończoność.

Widziałam człowieka, który upadł na chodniku i trząsł się w ataku padaczki, więc wiem... jak mogłam wyglądać.

Więc wiem... co zobaczyła Michalina Donaj.

Obijająca się głowa... Włosy tak spocone, że wyglądają jak mokre. Splątane na poduszce i potargane... Prężące się ciało, wygięte, unoszone przez drgawki... Rytmicznie kurczące się mięśnie... Zapadnięte, bezmyślne oczy... Wykrzywiona twarz... Spazm...

Ha! Musiała się przestraszyć. Nie dziwię się!

Narobiła krzyku? Być może... Równie dobrze mogła szybkim krokiem ruszyć w stronę dyżurki i zwyczajnie powiadomić pielęgniarki... A te wiedziały, że sobie nie poradzą. Ktoś pobiegł po lekarza. Ten też zjawił się biegiem. Może wypchnął wysoką blondynkę z przejścia w drzwiach. Może wrzasnął albo poprosił, żeby wyszła... A może sama uciekła - bo jak tu się nad kimś takim pastwić?

Zresztą nie lubiła wariatów!

Ale dobrze, że przyszła akurat w takim momencie... nie pokaże się szybko po raz drugi. To pewne. Będzie myśleć, że jestem już niegroźna. Nie będzie mnie żałować. Ale nie szkodzi. Zyskam na czasie... gdy już stąd wyjdę.

A wyjść muszę jak najszybciej!

Dziś jest już późno. Ledwo się trzymam na nogach. Mam zwiotczałe, wymęczone ciało. Wolniej myślę. Ale nie mogę spać. Bo wtedy nawet nie zauważę, jak komuś uda się mnie wykończyć... zanim się dowiem, kim ten ktoś jest. Zanim się dowiem, dlaczego dołożył dwie dodatkowe tabletki...

Jutro mnie tu nie będzie! Muszę mieć kontrolę nad tym, co się wokół mnie dzieje.

Piszę to, patrząc na swoją rękę i ślad po wkłuciu igłą. Strupek zaschniętej krwi... Niewielka kropka. Zdrapuję ją. Pocięła jeszcze odrobina krwi. Rozmazuję ją palcem.

Gdzie to było...?

Gdzie skończyłam?

Jest...

\*\*\*

Strona 115

- Ktoś próbował ją zmyć. Są ślady po środku czyszczącym. Ale robił to niedokładnie. Materiał będzie się nadawał.

- Proszę opuścić dom - powiedział poważnym tonem Błażej Białas, kończąc rozmowę z klęczącym technikiem, który z nosem przy podłodze oglądał rozmazaną plamę.

Paweł Cis wstał i patrzył nieruchomo na odnalezione ślady krwi. Miał kamienny wyraz twarzy. W dobrze skrojonych czarnych spodniach i w rozpiętej pod szyją cienkiej białej ko-

szuli wyglądał, jakby pozował do zdjęcia dla eleganckiego magazynu i nie wolno mu było nawet drgnąć.

- Paweł... - jęknął Waclaw Lenart, chwytając zięcia za ramiona. Cały się trząsał. - Paweł... Co się tutaj stało? Paweł, powiedz coś...

- Mam tego dosyć! - krzyknął Paweł Cis, stracił ręce teścia ze swoich ramion i nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju.

- To krew? Czyja to krew? - Waclaw Lenart szarpał za rękaw stojącego obok policjanta.

- Tego się właśnie dowiemy... - odparł funkcjonariusz i czym prędzej się od niego odsunął.

Ojciec Justyny opadł całym ciałem na kanapę. Pomarszczonymi rękami objął siwą głowę, jakby chciał zatkać sobie uszy, by ani teraz, ani później nie usłyszeć odpowiedzi.

- No i tak, jak przypuszczaliśmy - westchnęła Michalina Donaj, machając przed twarzą kartkami, które właśnie jej dostarczono. Chwilę jeszcze wachlowała się ekspertyzą, nim położyła ją na biurku. - Krew należy do Justyny Lenart... Ktoś próbował zatrzeć ślady. Stary... może ona zaginęła na stałe?

- To możliwe - odpowiedział policjant, z wyraźnym zaciekawieniem patrząc na dekolt pani prokurator. Bładoniebieskie falbanki szyfonowej bluzki falowały w powietrzu unoszone przez powiew stojącego na biurku elektrycznego wiatraka.

- Możesz się gapić i jednocześnie mówić? - zapytała Michalina, patrząc na policjanta.

Ten spłoszył się, przegarnął palcami po rudym języku, potarł ręką nos, ale już po chwili patrzył dalej.

- Nie będzie to łatwe, ale... spróbuję - oświadczył lekko bezczelnym głosem, wywołując uśmiech na twarzy pani prokurator.

Tego się po nim nie spodziewała, widziała go już wcześniej, ale wydał jej się co najwyżej nieopierzonym wypłochem. Wpadł, trząsał się i nie miał pojęcia, co powiedzieć, a nie cierpiała takich, którzy dukają, zamiast mówić. A teraz proszę...

proszę... jaki buńczuczny. Zaciekawiał ją!

- No to dawaj - powiedziała i zaczęła bawić się palcami, stukając paznokciem o paznokieć.

- Była co najmniej lekko niezrównoważona. Bogaci rodzice...

- I co z tego?!

Trochę się zachnęła, jej ojciec też należał do majątnych. Nieraz słyszała, że jest rozpieszczona, choć nikt jej nie rozpieszczał. Kupowanie drogich rzeczy nie miało nic wspólnego z rozpieszczaniem - jedynie mogło stwarzać takie wrażenie. Nie zamierzała mu tego tłumaczyć.

- Nic... - wycofał się szybko, widząc minę pani prokurator i mocno zmrużone powieki. - Zbyt wcześnie kupili jej za szybki samochód. Podobno prowadził jej osiemnastoletni chłopak, z którym była w ciąży... I on zginął.

- Podobno? - zapytała Michalina.

- Nie byli przypięci pasami, wypadli, samochód koziołkował. Według jakiegoś świadka to Justyna prowadziła. On nie miał nawet prawa jazdy. Ale zeznawała inaczej. Była w ciąży, chyba wczesnej, bo dziecku nic się nie stało. I jakoś się rozeszło...

- Bez prawa jazdy też mógł prowadzić... Za mało... - powiedziała do siebie, jakby była na miejscu prokuratora w tamtej sprawie. - A biegli?

- Jeden tak, drugi tak - oświadczył Błażej Białas.

- Dobra, stara sprawa. - Michalina machnęła ręką. - Mąż utrzymuje, że do niego dzwoniła, i billingi to potwierdzają?

- Tak. I nie pierwszy raz wyjeżdżała na tak długo. Właściwie znikwała z domu dosyć regularnie... Poświadczyło to kilka osób.

- A ten mąż co na to? - zaciekawiała się. - Zostawał z jej dzieckiem?

- Dzieckiem opiekował się wspólnie z dziadkami. Z nimi też pracuje w firmie. Chyba nawet nią kieruje. Ojciec dziewczyny dobrze się o nim wypowiada.

- O tej krwi też? Jak się z tego wytłumaczył?

- W ogóle się nie wytłumaczył. Powiedział, że nie wie, skąd się tam wzięła. I nie zamierza niczego wymyślać.

- O! Stanowczy taki! - Michalina się uśmiechnęła.

Jeśli coś ukrywa, to dobrze gra. Nieźle się zaczyna - po-

myślała, gryząc długopis. Lubiała twardych przeciwników.

- To się okaże! - Błażej Biały zareagował ostrzej, niż należało, a Michalina Donaj znowu się uśmiechnęła.

- A co? - zapytała, odchylając się na krześle.

Coraz bardziej jej się podobał. W młodości, trochę zabawny sposób starał się być waleczny. A skoro i tak zamierzała rozstać się z pracą, nic nie stało na przeszkodzie, by mu się przyjrzeć ze znacznie mniejszej odległości, na przykład kilkunastu centymetrów. Wzięła długopis do ręki i zaczęła przekładać go w palcach, chociaż najchętniej wyjęłaby szminkę i poprawiła usta.

- Wiadomo, że Waław Lenart jest po jego stronie - zaczął policjant niepewnie, jakby sam chciał siebie przekonać. - Według jednego z przesłuchanych pracowników od samego początku zobaczył w nim kogoś, kto mu pomoże w firmie. Czuł, że się starzeje, coraz mniej rozumie nowe czasy i nowe rynki, za to ten aż rwał się do pracy. No i stary Lenart postanowił wydać za niego lekkomyślną córkę.

- Rozczarował się? - zapytała, wkładając końcówkę długopisu do ust.

- Zięciem nie - oświadczył policjant. - Potroili obroty, więc mógł spać spokojnie i w kółko jeździć na polowanie. A córka znowu ruszyła w Polskę. Chyba nie odpowiadała jej praca biurowa...

- Się nie dziwię... - Michalina westchnęła, wzięła kartki i znowu zaczęła się nimi wachlować. Miała wrażenie, że robi się coraz goręcej. I coraz bardziej też miała ochotę położyć się tam, gdzie byłby chłód i jakiś drink z lodem.

- Ja też - odparł policjant.

- Co też? - zapytała, zastanawiając się, ile lat jest od niej młodszy... Kilka na pewno.

Potała stopą o stopę. Jedna z japoniek zsunęła się z nogi.

Nie zamierzała jej wkładać. Nogi zasłaniało biurko, więc zsunęła też drugą i rozprostowała palce.

- Się nie dziwię... - odparł policjant z szerokim uśmiechem i wzruszył ramionami.

- Dobra, wracajmy. - Wyprostowała się na krześle, przy-



wołując się do porządku. - Teściowa mu nie ufa.

- Niby tak, ale też nic sensownego nie jest w stanie powiedzieć. Myślałem, że to ona zadzwoniła anonimowo... ale rozmawiałem z nią i wydaje mi się, że sama była zdziwiona odkryciem... Zaczęła nawet coś mówić, że jej córka kiedyś się skaleczyła...

- Co? Pod dywanem? Pod kanapą się skaleczyła? - Wyciągnęła z szuflady zadrukowaną kartkę i zaczęła ją wypełniać.

- I to właśnie nie pasuje. - Zdezorientowany policjant przybrał równie zasadniczy ton. - Na dywanie nie ma śladów krwi ani czyszczenia...

- Zapytaj sprzątaczkę.

- Co?

- Będzie więcej wiedziała...

- Aha... - bąknął policjant i szybko się poprawił: - Nie było jej w domu. - Zaczął się drapać po głowie, zastanawiając się, czy w ogóle mają sprzątaczkę, a potem przypomniał sobie paznokcie i bransoletki Zofii Lenart. Nie kojarzyły mu się ze sprzątaniami.

- No to ją przesłuchaj. I sprawdźcie, skąd logował się telefon Justyny - dodała i wręczyła mu zapisany druk.

- Sprawdźmy - obiecał, biorąc kartkę.

- To do zobaczenia. - Uśmiechnęła się szeroko i udała, że coś zapisuje.

Na pierwszy raz wystarczy - pomyślała.

Błażej Białas wstał, ale oparł się przy tym o biurko tak niezgrabnie, że zrzucił na podłogę leżącą na nim ekspertyzę. Szybko się schylił.

- Nie trzeba... - zdążyła powiedzieć Michalina, ale zobaczyła już tylko jego wygięte plecy. Parę sekund później policjant wciąż szukał czegoś na podłodze. - Stało się coś? - zapytała.

- Ma pani najpiękniejsze stopy, jakie w życiu widziałem...

Jeszcze tej nocy wszystkie palce u nóg Michaliny Donaj znalazły się w ustach młodego policjanta. Każdy po kilkanaście razy obwiedziony językiem. Od największego do najmniejszego. Po kolei w jedną lub drugą stronę. Ssał je po-

jedynczo lub po dwa, trzy naraz. Przytulał jej pięty do policzków, obejmował ręką i gładził nimi głowę. Scałowywał kostki, masując i oglądając każdy paznokieć z osobna. I mówił do nich.

Z początku było to dosyć przyjemne i Michalina Donaj z zaciekawieniem patrzyła na własne nogi, bo nie miała dotąd pojęcia, że mogą być obiektem takiego uwielbienia. Widząc błogostan na twarzy chłopaka, nie chciała mu przerywać, choć dosyć poważnie się zastanawiała, czy nie wziąć gazety i trochę nie poczytać. Ale uznała, że nie będzie to zbyt grzeczne, szczególnie za pierwszym razem. Zamknęła więc oczy, ułożyła wygodnie głowę na poduszce i pozwałała na pieszczenie swoich nóg. Dopóki nie poczuła czegoś zupełnie innego niż język bądź palce. Otworzyła oczy. W szczelinie między swoimi złączonymi stopami, które chłopak trzymał w obu rękach, zobaczyła przeciskający się różowy napletek...

Tej upalnej nocy nie spała też Marietta Lenart. W kwaciastej piżamie wyszła z domu. Mocno unosząc klamkę, prawie bezgłośnie otworzyła skrzypiącą furtkę. I przeszła do magazynu po drugiej stronie ulicy. W jednej małej dłoni ścisnęła pęk kluczy na żelaznym kółeczku i zmiętolone chusteczki higieniczne, w drugiej - latarkę. Otworzyła stary magazyn i przecisnęła się między stosami bombek choinkowych. Po chwili znalazła to, czego szukała. Usiadła po turecku na podłodze i zaczęła mozolnie, dokładnie wycierać myśliwską broń dziadka...

\*\*\*

Joanna odłożyła książkę. Nie patrzyła też na ekran stojącego przed nią laptopa. Od dłuższego czasu siedziała przy stoliku, czekając na swojego adwokata, który miał się niebawem pojawić. Teraz uwagę jej przykuła starsza kobieta, wprowadzona przez pielęgniarkę. Posadzona na krześle, usiadła i siedziała. Wyglądała jak żywy trup. Wychudzona, z wystającymi kośćmi policzkowymi, wylupiastymi oczami,

sterczącą brodą. Od rana budziła ciekawość Joanny, która udawała, że śpi, kiedy udało jej się podsłuchać rozmowę pielęgniarek. Kobiętę przywieziono w nocy prosto z cmentarza. Od dłuższego czasu nie jadła i nie piła, bo uważała, że nie żyje. Nie dziwiło jej, że chodzi i widzi wokół różne rzeczy. Była przekonana, że już nie istnieje, nie ma jej... tylko nie może umrzeć i błąka się po świecie. W pewnym sensie Joanna ją rozumiała.

- Zespół Cotarda - powiedziała, gdy Artur File zbliżał się do jej stolika, ale kątem oka cały czas obserwowała kobietę, która siedziała tuż przy drzwiach i mamrotała, poruszając suchymi jak wiór ustami.

- Co? - zapytał, przystawiając krzesło do stolika.

- Ta kobieta, na którą patrzyłeś. Myśli, że nie żyje i jest potępioną duszą.

- Aha... - Wzruszył ramionami, jakby już zapomniał, że mało co nie wpadł na szklane drzwi, tak się zagapił na staruszkę.

- Wydaje się jej, że cały świat nie istnieje...

- Aha... - Znowu przytaknął i położył teczkę na kolanach. - Wygodnie - dodał, wyciągając papiery.

- Wyrok na niej się dokonał i została skazana na przebywanie tutaj, w martwym ciele - ciągnęła Joanna, obserwując jego reakcję.

Artur File pokiwał głową, jakby to, co mówiła, było naturalne i już nieraz słyszał w sądzie takie uzasadnienie. Albo w ogóle był rozkojarzony...

Pomyślała, że nie spał w nocy i przed chwilą gdzieś dosy- piał. Na światłach w korku? W sądzie? Gdzieś, gdzie mógł przyłożyć głowę. Musiało to być niedawno, bo nie zdążył spojrzeć w lusterko. Kilka skołtunionych włosów nad uchem sterczało w różne strony. I nie był to efekt upojnej nocy. Wyglądał starzej i gorzej niż zwykle. Choć tym razem ubrany był świetnie. Granatowa lniana marynarka, biały podkoszulek... Wszystko idealnie wyprasowane. Musiał więc być w nocy w domu...

- Za chwilę i mnie będzie się tak wydawać - powiedziała Joanna.

- Co? - zapytał Artur, rozpinając guzik marynarki.

- Że świat nie istnieje...

- Rozumiem, że w dalszym ciągu chcesz stąd wyjść? - Popatrzył na Joannę, jakby postanowił tym razem od początku kontrolować rozmowę.

- Powiem tak... Nie mogę tu zostać - oświadczyła.

- Słyszałem, że wczoraj nie było z tobą dobrze. Więc może lepiej...

- To było wczoraj - poinformowała go, nachylając się w jego kierunku. Nie zamierzała już nikomu mówić o swoich podejrzeniach.

- Nie będzie z tym problemu - odparł Artur pewnym głosem, odsuwając krzesło od stolika. - Po twojej ostatniej ucieczce ze szpitala prokurator chciał cię przesłuchać i wystąpił o wydanie opinii lekarskiej. Co naturalne – dodał, rozkładając ręce. - Zapewne nie pamiętasz, ale dzięki mnie kilka tych opinii wyglądało podobnie. Czyli... - rzucił okiem na jedną z wyciągniętych kartek - na tym etapie leczenia powracanie do traumatycznych wydarzeń jest poważnym zagrożeniem dla twojego zdrowia i może spowodować kolejne próby targnięcia się na życie, bla, bla, bla... - Ziewnął, składając kartkę na czworo. - Zadowolona? - Najwyraźniej czekał na pochwałę.

- Jak mogłabym nie być? - odparła z przekąsem. - Jesteś doskonała. I co dalej?

- Byłaś w innym szpitalu. Pamiętasz?

Joanna przytaknęła.

- Tam prokurator zobowiązał szpital do informowania o poprawie stanu twojego zdrowia... a szczególnie o ewentualnym wypisie... - zawiesił głos. - Kiedy przeniesiono cię tutaj, również poprosił o opinię na twój temat. Była podobna... więc machnął ręką, a już na pewno zapomniał zażądać zgłoszenia twojego wyjścia również stąd.

- A zatem mogę iść... jak gdyby nigdy nic? - Joanna wyprostowała się na krześle i uniosła podbródek, nie martwiąc się tym, że za szybko widzi wielką, męską pielęgniarę, która ciągle jej się przygląda.

- Wyjdiesz, jeśli chcesz, jak każdy. Nikt nie może cię tu zatrzymać ani nie ma powodu informować o tym policji. W

twoich papierach niczego takiego nie umieszczono. Sprawdziłem.

- Masz dla mnie prochy? - Założyła ręce za głowę i z zadowoleniem przeciągnęła się na krześle.

- Nie - oświadczył kategorycznym tonem. - Masz tu kartę. - Podsunął jej świecący plastik. - Sama sobie kupisz. Podpiszesz tylko te umowy.

- Do aktu notarialnego potrzebny jest notariusz.

- To tylko zobowiązanie. - Wskazał na zadrukowane kartki.

- Ile mam pieniędzy?

- Pięćdziesiąt tysięcy

- Na razie wystarczy - oświadczyła, przejeżdżając dłonią po policzkach, na których ciągle roilo się od mniejszych lub większych gojących się pryszczu

Artur Filc odwrócił głowę i ostentacyjnie spojrział w sufit.

- Więc je wyjmiesz... - kontynuowała Joanna - i przyje- dziesz tu po mnie za dwie godziny. A ja ci to podpiszę...

Popatrzył na nią z rosnącym niepokojem.

- Ale najpierw poczytam. Lubię czytać - wyjaśniła z uśmiechem, widząc jego minę. Miała nawet ochotę puścić do niego oko, ale się powstrzymała. Na razie jego mina musiała jej wystarczyć. - Więc ten prokurator nie będzie mnie zaczepiał?

- Jeśli nie spotka cię na ulicy i nie zdziwi się na twój widok... to nie - odpowiedział po chwili, marszcząc czoło, i nerwowym gestem zaczął zgarniać papiery ze stołu.

- To dobrze. Dowiedziałeś się czegoś o tym nowym wydawnictwie? Tym, które wydało moją książkę? I nie smuć się tak. Będiesz miał na wyprawkę dla dziecka. Obiecuję. - Z zadowoleniem odnotowała, jak nerwowo zareagował na wzmiankę o dziecku. Trafiała. Tu czaił się problem nieprze- spanej nocy.

- To jacyś selfpublisherzy - oświadczył szybko. Wstał i na stojąco wyrównał plik kartek, głośno stukając nimi o blat stołu.

- Mają stronę w internecie i naciągają ludzi. Wysyłasz im tekst, a oni robią korektę albo i nie. Łamią za pomocą pierwszego lepszego programu do składania. Biorą zdjęcie, sami

projektują okładkę i drukują grafomanom marzenia. Wystarczy, że im zapłacisz. I masz efekt.

- Dlatego taka paskudna. - Joanna znowu wzięła książkę do ręki i potarła wierzch okładki. - To nie ma jej w księgarniach? - dodała ze smutkiem w głosie. Znała te praktyki i ludzi, którym wydrukowano sto książek, żeby mieli czym obdarowywać przyjaciół, a reszta nakładu albo lądowała w koszu, albo w ogóle nie istniała. Zrobiło się jej przykro.

- Akurat w tym przypadku nie - niespodziewanie oznajmił Artur, zapinając teczkę. - Nie wiem jakim cudem, ale jest jeszcze we wszystkich księgarniach.

- Ach, tak! - Ucieszyła się i z dumą wyprężyła pierś. Spróbowała zamaszystym gestem przegarnąć włosy z czoła, ale te wciąż lepiły się do rąk i opadały ciężko na twarz. - No, świetnie - dodała już do siebie. - Powiedziałeś „jest jeszcze”... to znaczy, że tak się dobrze sprzedaje?

- Tego nie wiem. Wiem za to, że wpłynął pozew o zaprzestanie rozprowadzania... - Zaczął zapinać guziki marynarki.

- Ach, ta Michalina! - westchnęła, krzywiąc nos.

- Z tego, co przeczytałem, to nie ona pozwała wydawnictwo.

- A kto? - zapytała z ciekawością Joanna, patrząc to na wycofującego się w kierunku drzwi adwokata, to na kobietę kościotrupa, która właśnie zeszła z krzesła i położyła się na podłodze, składając ręce na piersi.

- Paweł Cis - odparł Artur Filc i też odwrócił głowę, podążając za jej wzrokiem. Kobieta tarasowała mu wyjście. Znieruchomiał z teczką w ręce.

Do pomieszczenia weszły pielęgniarki i zaczęły podnosić leżącą. Ta zachowywała się, jakby była sztywna, utrudniając im pracę. Gdy była w półsiedzącej pozycji, zaczęła mówić donośnym głosem:

- *Saecula saeculorum... Saecula saeculorum... Saecula saeculorum...*

- Amen! - dokończyła Joanna jeszcze głośniejszym głosem, zmuszając Artura do odwrócenia głowy. - Powiedz mi... po jakim czasie w Polsce osobę zaginioną uznaje się za zmarłą?

- W naszym prawie dziesięć lat... Artykuł dwadzieścia

dziewięć trzydzieści dwa kodeksu cywilnego - dodał szybko.

- Dokładnie dziesięć lat? - zapytała, licząc w głowie czas od zaginięcia Justyny Lenart. Wychodziło dziewięć lat i kilka miesięcy... Wszystko zaczęło się zgadzać.

- Oczywiście z pewnymi wyjątkami, katastrofa powietrzna, morska...

- Daruj sobie - przerwała mu, wiedząc, że za chwilę zacznie cytować całe paragrafy. Zawsze fascynowało ją, jak Artur zmienia postawę, nadyma się i wygłasza kwestie niczym aktor na scenie, ale w tej chwili nie miała na to ochoty. Poza tym teraz robił to tylko po to, żeby uniknąć innych tematów. - Kto występuje z takim wnioskiem?

- Wniosek taki może złożyć do sądu każdy, kto ma w tym interes prawny...

- Czyli?

- Interesem jest na przykład spadkobranie albo ustalenie zakończenia związku małżeńskiego.

- Paweł Cis, powiadasz... - Westchnęła głośno.

- Nie wiem, czy to on złożył taki wniosek, ale miał do tego prawo. - Znowu patrzył na zeszywniałą staruszkę ciągniętą pod rękę przez pielęgniarki.

- Paweł Cis - powtórzyła Joanna, wskazując palcem na stolik.

- Chce wycofać moją książkę... Ciekawe...

\*\*\*

Nie, tak nie wolno!

Obrazić się na książkę?! Niepojęte. Przecież nie musi jej czytać.

To tylko słowa...

W mojej książce nie jest nawet winny. Choć nigdy go nie wykluczyłam z grona głównych podejrzanych. Nigdy!

Spakowałam swoje rzeczy. Czekam jeszcze tylko na wypis. I siedzę sobie pod drzwiami gabinetu, z laptopem na kolanach i swoją książką w ręce.

Gdzie ja o nim pisałam?

Paweł Cis... Osobowość anankastyczna...

Ciekawe, jak teraz wygląda. Dziesięć lat temu wyglądał tak...

## Strona 68

Mąż Justyny Lenart był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Wysoki. Brązowe bystre oczy. Dobrze zarysowana szczęka. Wyraźnie wykrojone wąskie usta. Nienagannie przycięte ciemne włosy. Zawsze formalnie ubrany, w dobrze dopasowanych garniturach. Nawet piżamę nosił dwurzędową. Gdyby nie majątek teścia, wszyscy zachodziliby w głowę, dlaczego związał się z Justyną, z którą tworzył przecież bardzo niedobraną parę. Ale pieniądze z reguły wiele tłumaczą i tak było także w tym przypadku.

Za to dla Waclawa Lenarta taki zięć był idealnym zrządzeniem losu. Po całej plejadzie długowłosych niedoszłych artystów, muzyków i takich, którzy jeszcze nawet nie wiedzieli, kim chcą być, córka przyprowadziła chłopaka, którego nie interesowały kluczyki od samochodu potencjalnego teścia, lecz jedynie to, czym on się zajmuje. Od pierwszego dnia w gruncie rzeczy rozmawiał nie z Justyną, tylko z właścicielem niewielkiej fabryki bombek choinkowych. Waclaw Lenart był zachwycony, mogąc podczas kolacji mówić wyłącznie o szklanych tubach rozgrzewanych nad palnikiem, o dmuchalni, o formowaniu kul i innych kształtów, srebrzeniu w azotanie srebra, zdobieniu, malowaniu ręcznie, nakładaniu brokatu... o tym, że każda sztuka jest inna... o pakowaniu...

Matka z córką, myśląc, że chłopak tylko udaje zainteresowanie, próbowały zmienić temat. Same miały po uszy świętecznej atmosfery na co dzień. Ale Paweł Cis niczego nie udawał. Słuchał jak zakłęty o trudnościach Waclawa z pracownikami, o tym, że nikt nie pomaga mu w interesie, że on sam nie nadąża za nowymi modami, że w zeszłym roku narobił dużo bombek malowanych w bałwany i sanie z reniferami, a sprzedawały się zupełnie inne, takie, które udają jajka Faberge, że miał zamówienia ze Stanów i Japonii, ale bał się zaryzykować... O tym, że interes mógłby się rozwinąć, gdyby... Paweł Cis słuchał tego wszystkiego bardzo uważnie. I ciągle był zainteresowany. Jeszcze tego samego wieczoru poszli oglądać



niewielką manufakturę i obaj wrócili bardzo zadowoleni. Waclaw Lenart co chwila klepał po ramieniu najbardziej rozgarniętego chłopaka, z ubrania Pawła Cisa sypały się na podłogę różne rodzaje brokatu, który pokazywał mu przyszyły teść, a przyszłej teściowej jeszcze nie wypadało się wściekać i złorzeczyć na roznoszone śmieci.

Justyna Lenart z początku była zachwycona Pawłem, który wkrótce się oświadczył, lecz przede wszystkim tym, że ojciec zaczął być dla niej wyjątkowo przymilny i szczodry. Matka od początku zajęła się planowaniem ślubu, wesela i typowaniem zaproszonych osób. Dopiero później miała zacząć mówić, że przyszedł do nich w jednych spodniach.

Kilkuletnia Marietta też była zafascynowana nowym człowiekiem w domu. Nie rozumiała, co się wokół niej dzieje, ale i jej udzielił się radosny nastrój. Wszyscy oczekiwali, że właśnie od teraz wszystko zacznie się prawidłowo układać. Wprawdzie nowy chłopak mamy nie był zbyt wylewny, a już na pewno mniej niż inni wujkowie, którzy od czasu do czasu pojawiali się w pobliżu i potrafili dłużej się z nią bawić... za to miał jedną ważną cechę, która bardzo jej się spodobała. Jeśli coś powiedział, to dokładnie tak właśnie się działo. Jeśli coś obiecał, to dotrzymywał słowa, bez względu na to, czy były to lody, czy bujanie na huśtawce. A to była dla niej nowość. Matka bowiem z reguły ją zbywała i rzadko kiedy spełniała obietnice.

Justyna Lenart cieszyła się swoim narzeczonym, nowym samochodem i tym, że będzie panną młodą. Seks z przyszłym mężem może nie był tak zabawny jak z kilkoma wcześniejszymi chłopakami, ale przynajmniej regularny, poza tym chwilowo podobała jej się wizja zrównoważonego męża, z którego ojciec był taki zadowolony. Wtedy ciągle jeszcze była względnie szczupła i koniecznie chciała wystąpić w pięknej sukience, zanim przytyje, czego w głębi duszy obawiała się najbardziej, bo znowu, gdy wszyscy spali, schodziła w nocy do kuchni i wyjadała z lodówki co popadnie. Pocieszała ją myśl, że jako żona nie musi być już taka chuda i dodatkowe kilogramy jej nie zaszkodzą. A zresztą już raz schudła dzięki cudownym tabletkom, więc uda jej się to ponownie.

Dwadzieścia kilo później już tak nie myślała.

Mąż się z nią nie kochał. Z początku płakała, złorzeczyła, wściekała się, ostentacyjnie wychodziła z domu, potem wyjeżdżała. Groziła rozwodem, ale pozycja Pawła w rodzinie była już wtedy niezagrożona. Rozwinął firmę. Potroił obroty. Założył kolejną firmę i zdobywał nowe rynki zbytu. Podziwiał go teść, który przy wszystkich kłótniach zawsze był po jego stronie, klepał go po ramieniu, a Justynie co najwyżej mówił, żeby się wzięła za siebie. A gdy było zbyt głośno, brał strzelbę i jechał do lasu. Nawet Zofia, która traktowała zięcia z góry, bo „i tak wszystko im zawdzięczał”, dostrzegała profity płynące z coraz większych dochodów. Zatrudniła kolejną panią do sprzątania i przystojnego ogrodnika, który miał się zajmować także nowym basenem, a na przybierającą na wadze córkę patrzyła z wyrzutem, rozkładała ręce i wdychała, powtarzając w kółko: „No, i czemu ty się dziwisz? Weź schudnij, popatrz na mnie”.

Tylko jedna osoba ciągle jej powtarzała, że pięknie wygląda...

\*\*\*

No, ja pięknie nie wyglądam.

Musiała być jakaś zimna wiosna, skoro w paczce z moimi ubraniami są grube czarne rajstopy, wełniana sukienka i trzewiki na grubej podeszwie. Rajstop nie włożyłam. Wyrzuciłam je do kosza. Na dworze jest upał. Teraz, siedząc na korytarzu i czekając na lekarza, patrzę na swoje gołe łydki.

Blade jak ściana. Może nie jak ta za mną, bo tu wszystko jest w wesołych kolorach i na tle radosnej zieleni wyglądają, jakby były sine. Do tego są owłosione. Dobrze, że mam słabe owłosienie, bo musiałabym prosić o żyłetki, a o nie tutaj nie lak łatwo. Paznokcie też mam jakieś takie połamane. Ale ich nie widać. Upakowałam je do wielkich, czarnych, sznurowanych trzewików. Wywaliłam im na wierzch języki i obwiązałam sznurówki wokół kostki. Na chudych gołych nogach wyglądają jak...

Cóż, w ogóle wyglądam, jakbym opuszczała dziewiętnastowieczny sierociniec.

Jeszcze ta szara sukienka, której odprułam rękawy. Ha! Bez

nich wygląda nawet lepiej.

Włosy spięłam niedbale w potargany kucyk. Przynajmniej pasują do całości.

Właściwie wszystko do siebie pasuje... Tak, że siedzący obok mnie ludzie nie wiedzą o co chodzi.

Bo siedzę tutaj jak potencjalnie normalny człowiek. Może jak rozkapryszona, buntująca się panna, choć już trochę postarzała. Może była pacjentka... Ale może jak ktoś, kto przyjechał w odwiedziny, a teraz sterczy w kolejce do lekarza prowadzącego, by się dowiedzieć co i jak...

No, łykać te groszki!

Mam ochotę poinformować czekającą wraz ze mną parę. Na co chcecie jeszcze czekać? Się pytam!

Ale nie zamierzam z nimi gadać, jeszcze się rozgadam... Aż tak nie chcę się odsłaniać... Tyle rozmów przede mną.

Tyle będzie się działo... Tyle muszę zmienić. Tylu muszę oczarować... Tylu zdeptać...

Zaraz świat będzie się kręcił wokół mnie! Będę jego epicentrum, a nie kosmicznym gruzem!

I nikt mnie tutaj nie zabije, zanim nie dowiem się, o co chodzi!

Rozpoznaję tych przyglądających mi się ukradkiem smutnych ludzi. To matka matki w depresji i zięć, który nic nie rozumie.

Chciałabym im zacytować Słowackiego. Kawałek z poematu *Anhelli*, kiedy Szaman powiada:

A chorobą zgubną, mówię, jest melancholia i zamyślenie się zbytne o rzeczach duszy.

A gdy już zaczną wpatrywać się we mnie jak sroka w gnat, pociągnąć to dalej. Już na stojąco.

Dwie są bowiem melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich...

Wtedy unieść ręce do góry, pod sam sufit. Może wejść na krzesło i recytować dalej:

...druga kamieniem ludzi topiących się.

I zejść z krzesła. Rozłożyć ramiona przed osłupiałymi twarzami i powiedzieć prosto w nos:

- Was dotyczy ten drugi przypadek, uważajcie na kamienie!

Ja jestem ten pierwszy. I pierwszą rzeczą, którą kupię, będą szpilki!

Ale nie urządzę im przedstawienia, nie przywołam wieszczą, wolę poczytać.

Otwieram na chybił trafił...

O, przesłuchanie koleżanki...

\*\*\*

Strona 127

Błażej Białas z niechęcią przyglądał się siedzącej naprzeciwko dziewczynie. Była duża, gruba, z ufarbowanymi na rudo krótkimi włosami i zdecydowanie brzydkimi stopami. Zauważył je, jak tylko weszła do kawiarni usytuowanej na parterze nowoczesnego biurowca. Miała na nogach męskie sportowe sandały. Spod pasków wystawały krogulcowate paluchy i jeszcze to wysokie podbicie... o piętach wolał nawet nie myśleć.

Nie to co stopy pani prokurator. Rozmiar czterdzieści jeden, który uważał za doskonały. Długie, proste palce, nawet ten najmniejszy, i całość taka płaska... tak dająca się objąć dłońmi... Rozmarzył się, wierząc się na krześle. Dopiero głośne chrząknięcie przesłuchiwanej Bernadetty Okoń wyrwało go z zamyślenia, i to w samą porę.

- Wysłałam z pracy! Nie mogę tu wiecznie siedzieć - oświadczyła, nadymając policzki.

- Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas - powiedział potulnie i zauważył, że wygodniej rozparła się na krześle. Wcale nie miał ochoty na tę rozmowę. Ale sprzątaczką Lenartów miała dopiero jutro wrócić z wakacji, więc zajął się innymi.

- Spoko. I tak dziś nie za wiele się dzieje. Sezon ogórkowy w wiadomościach.

- Jak już uprzedziłem, chciałem zapytać o Justynę Lenart. Rodzina zgłosiła zaginięcie. Próbuje ustalić...

- Znajdzie się! - przerwała mu Bernadetta, zakładając ręce na piersi.

- Według matki nie ma jej w domu od miesiąca, trochę długo.

- Akurat to mnie nie dziwi. Justyna nigdy się do niej nie

odzywa.

- A dlaczego? - zapytał.

- Bo jak się urodziło kolejne dziecko, to ją złała po całości. Synek się urodził. Synek mamusi... - Prychnęła głośno i wzięła się pod boki. - Takie te pindy są! Jak tylko...

- A z panią się kontaktowała? - zapytał szybko Błażej Białas, bo przeczuwał, że zaraz usłyszy długi wykład, a że sam był jedynakiem, więc nie bardzo mu się to uśmiechało.

- Ze mną nie! I za to się na nią obrażę - oświadczyła, nadympając policzki. - Ale ona tak ma. Nie odzywa się przez miesiąc, dwa, bo zakochana w jakimś frajerze, a potem z płaczem do mnie. No i wtedy to już jest codziennie. Nocuje... i tak dalej - dodała, zerkając na duży męski zegarek.

- A co panią z nią łączyło? - zapytał nieśmiało policjant i odruchowo odchylił się na krzesło, jakby ze strachu przed atakiem.

- Uczucie mnie z nią łączyło - oświadczyła dumnie Bernadetta, prostując się i preżąc duże piersi. - Ale ja już wybiłam ją sobie z głowy, bo ona i tak w końcu szuka jakiegoś fiuta. Ja się o nią bić nie będę - dokończyła.

- A czy domyśla się pani, gdzie może teraz przebywać? - zapytał, patrząc na butną minę Bernadetty Okoń, która zacisnęła usta, ale chyba tylko dlatego, żeby nie zaczęły drżeć.

- Tego nie wiem, szukać jej nie zamierzam! Sama do mnie przyjdzie, łajza jedna... - I jakby rozpogodziła się na samą myśl o tym.

- Spotykała się ostatnio z kimś konkretnym?

- Ona się ze wszystkimi spotyka! Jest Justyna, jest impreza. Zawsze ma wokół siebie wianuszek. Jak akurat dobrze wygląda, to napalonych gości nie brakuje, a ona ich tylko podjudza... Zawsze jej mówiłam: na chuj ci oni... A ta w śmiech, że dwór musi być... I ci do rana za nią łażą jak psy za suką... - Zachnęła się ostentacyjnie.

- Naraża się na niebezpieczne kontakty?

- No raczej - oświadczyła Bernadetta z uśmiechem, a w jej głosie słychać było nutę podziwu. - Ale ona sobie radzi. Jakoś ich odgania, a potem zagada, napisze, rozplacze się i znowu

przyłożą. A i przyłożyć potrafi, jak jej coś nie pasuje - dodała, tym razem z dumą, jakby była jej osobistym trenerem.

- Słucham? - szczerze zdziwił się policjant.

- Jak pacnęła chłopaka z zaskoczenia pięścią w nos, to się krwią zalał. Podobno coś brzydkiego jej powiedział, tylko potem nie pamiętała co. Chciał jej oddać, taki był zaskoczony. - Uśmiechnęła się. - No, ale wkroczyłam. - Znowu dumnie rozparła się na krześle. - Myśli pan, że mogło jej się coś stać? - zapytała nagle i jakby sama przestraszyła się tego pytania.

- Próbujemy to ustalić - odpowiedział spokojnie. - Podobno dzwoniła do męża...

- No tak, do Wokulskiego to dzwoni! - przerwała mu prawie z krzykiem. - To dla niej normalne. A przecież ożenił się z nią dla pieniędzy.

- Tak pani uważa?

Zaśmiała się szczerze.

- Kasę trzepie na tych bombkach i wyłącznie to go interesuje... Eksport na Bliski Wschód... bo tam jeszcze tylko choinek im do szczęścia brakuje. E tam! Nie mam już czasu o niej gadać. Znajdzie się... Jak do mnie zadzwoni, to dam panu znać, dobra? - Z impetem wstała od stolika.

- Ale... - Policjant również się podniósł.

- A może... - Bernadetta Okoń zadumała się na chwilę. - Może to sadysta. Chciał złowić motyla, przebić szpilką i wsadzić za szybę... Ale złapał ćmę, co w płomień leci... Idę, bo Irzeba jakąś aferę nadmuchać do jutra. Gazeta wzywa - rzuciła, odwracając się na pięcie, i z rękami w kieszeniach ruszyła w kierunku wyjścia.

- Uważa pani, że on z nią był tylko dla korzyści finansowych?

Bernadetta zamyśliła się na chwilę.

- Może nie tylko... może to sadysta? Chciał złowić motyla, przebić szpilą i wsadzić za szybę... Ale złapał ćmę, co w płomień leci... Ja też już muszę uciekać. Znajdzie się. Do widzenia - oświadczyła, wstała i wyszła.

Błażej Białas usiadł przy stoliku i spróbował zebrać myśli. Kolejna osoba, która utrzymywała, że Justyna Lenart znajdzie się sama... Ale dowiedział się też czegoś innego... Nie tylko

tego, że zaginiona utrzymywała kontakty seksualne również z kobietami - choć nie rozumiał, dlaczego akurat z tą - ale przede wszystkim tego, że wyjaśnienia Pawła Cisa mogły być prawdą...

\*\*\*

Zamknęłam książkę.

Ciągle siedzę pod gabinetem, ale za chwilę moja kolej. Słyszę szum za drzwiami. Będą wychodzić.

Cóż. Justyna Lenart... Klasyczny borderline. Moje ulubione zaburzenie osobowości. Można się dobrze zabawić...

Szkoda, że jej nie poznałam. W swoim czasie mogłam jej dorównać. Imprezy do rana. Szaleństwo. Chłopaki, no... i dziewczyny. Wszystko do pełna. Do cna... Koszty się nie liczą.

Grunt, żeby mnie kochali na zabój!

To jedno rzeczywiście udało się jej w stopniu doskonałym.

Za to poznałam wtedy Bernadettę. I później też ją spotkałam, udzielając jakiegoś wywiadu. Szkoda mi jej.

Wielka, szorstka, butna... A w środku płacząca dziewczynka, która chce kogoś utulić.

Boże! Jak ona tę Justynę kochała... Pewnie jeszcze ciągle na nią czeka, licząc, że jednak zadzwoni... A ona zwrzeszczy ją totalnie... i przytuli, gdy ta będzie ją przeproszać... Potem zatopi się cała w jej uda, będzie ją pieścić, lizać i całować, nie zostawi centymetra na jej skórze. Będą się kąpać w jednej wannie... i będzie patrzeć na wystające z piany sutki... najpiękniejsze, jakie miała w ustach...

Ale może to ona ją właśnie zabiła?

Brałam już to kiedyś pod uwagę...

Będę się musiała z nią spotkać. Przyjrzeć się raz jeszcze. Po latach... Poza tym chętnie znowu udzielę wywiadu... Promocja jeszcze nigdy książki nie zaszkodziła.

O, moja kolej... Para wyszła z gabinetu... Uśmiechają się nawet.

Ach, ten pucołowaty Bartłomiej psychiatra...

Potrafi ludzi pocieszyć.

\*\*\*

- Fajna sukienka.

- A, dziękuję.

- Czyli uważasz, że czujesz się już na siłach, aby stąd wyjść? - zapytał psychiatra, trzymając długopis nad kartką papieru.

- A nie wyglądam?

Joanna przekreśliła na bok głowę i z przyjemnością patrzyła na lekarza. Był jak zwykle pucołowaty, dobrotliwy.

- Na kogo masz wyglądać? - zapytał.

- Na kogoś, kto może iść o własnych siłach - odpowiedziała, skubiąc kosmyk włosów z grzywki.

- Chodzić możesz. I nikt cię tutaj nie zatrzyma. Tylko czy to dla ciebie bezpieczne? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, zaczął wypisywać druk.

- Nie mam myśli samobójczych. Jeśli o to chodzi. - Uniosła wysoko podbródek.

- Teraz nie masz? Czy w ogóle nie masz?

- W ogóle to każdy inteligentny człowiek ma. A teraz nie mam. Groszki dobrze działają.

- To widzę. - Psychiatra odłożył na bok podpisany druk i przysunął bliżej bloczek z receptami. - Przepiszę ci leki. Obiecuj, że będziesz je brać. I monitorować ich działanie.

- Jeśli tylko pan doktor przepisze mi jakiś lek na niechęć do brania tych leków... to oczywiście – powiedziała z uśmiechem, a psychiatra utknął z długopisem nad bloczkiem. - Żartowałam. Nie chcę wracać do szpitala. Chcę być normalna.

Popatrzył na nią wesoło i zaczął wypełniać receptę.

- Co dla ciebie znaczy być normalną - zapytał po chwili, przystawiając pieczętkę.

- Regularnie spać. Regularnie jeść. Nie cierpieć swojej pracy - zaczęła wyliczać na palcach. - Nie myśleć zbyt wiele. Męczyć się fizycznie. Mieć niewiele energii. Trzymać się od ludzi na dystans. Unikać kontaktów seksualnych... bo dziesięć razy może być fajnie, a raz nie... Co tam jeszcze...? - zastanowiła się, patrząc w sufit.

- Asiu - spojrzał na nią smutnym wzrokiem - dlaczego przestałaś udawać, że leki na ciebie nie działają?

Opuściła rękę z rozczapierzonymi palcami.



- Bo chciałam w spokoju przemyśleć kilka spraw - odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili. Była ciekawa, od jak dawna wiedział, ale nie zamierzała go o to zapytać.

- Co chciałaś przemyśleć?

- Ktoś wydał moją książkę bez mojej zgody... - Postanowiła skupić się na tej kwestii, nie dać się sprowokować i nie powiedzieć ani słowa o grożącym jej niebezpieczeństwie. - Chcę się dowiedzieć dlaczego teraz. I kto.

Z reklamówki po ciuchach wyciągnęła książkę i podała psychiatrze. Ten zaczął ją obracać w rękach, oglądać okładkę, po czym otworzył.

- Wydawnictwo Libras - przeczytał na stronie tytułowej. - Tego chyba nietrudno się dowiedzieć - dodał zdziwiony.

- To jakiś internetowy twór z wyszukaną nazwą i siedzibą przy jednym biurku - żachnęła się Joanna.

- Ale tu jest nazwisko redaktora. Może on coś wie... K. Rybczyński.

- Jakiś nikt, co się redaktorem nazywa... - odpowiedziała, ale już po chwili jej myśli zaczęły się porządkować.

Zauważyła to nazwisko, ale nic jej ono nie mówiło. Dopiero gdy usłyszała je wymówione na głos, przypomniała sobie, że zna chłopaka, który pisze kiepskie opowiadania. Może Rybik zna Rybczyńskiego - zaśmiała się w duchu /. własnej grafomańskiej dedukcji. Wiedziała nawet, gdzie mieszka.

- Od niego zacznę - zdecydowała, chwytając leżące już przed nią recepty.

Wstała.

- Będziesz je brać? - zapytał lekarz.

Rzuciła okiem na nazwy przepisanych leków.

- O! Świetne. Lit tu. Lit tam. Marzę o zlitowaniu umysłu.

- Asiu... - Zaczął się podnosić. - Dużo wiesz. Więc wiesz również, że w twoim przypadku bardzo łatwo jest rozpędzić mózg, ale znacznie trudniej go wyhamować.

Popatrzyła na niego. Gdyby nie był psychiatrą, powiedziałyby: „Jeśli nie przyspieszę, to zginę”, ale dla niego ta informacja oznaczałaby jedynie, że pacjent ma nowe urojenia. Więc postanowiła nic nie mówić.

- Masz tu moją wizytówkę. - Wyjął z kieszeni mały kartonik. - To mój prywatny numer telefonu. Dzwonź o każdej porze, jeśli będziesz potrzebowała pomocy.

- Dobrze. - Włożyła wizytówkę do książki.

- Na pewno czujesz, że musisz wyjść właśnie teraz? Ze nie jest za wcześnie? - zapytał takim głosem, jakby sam się zastanawiał, po co znowu pyta.

- Jak powiedział Szaman do Anhellego: „Nie śpij, ale chodź za mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni” - zacytowała i popatrzyła na zaniepokojoną minę Bartłomieja psychiatry. - Słowacki - wyjaśniła z uśmiechem.

- Trzymaj się. - Też próbował się uśmiechnąć, ale wyszło to trochę krzywo, więc tylko smutno pokiwał głową.

- Szkoda, że nie jest pan rozwiedziony... Ach... - westchnęła głośno.

Psychiatra nic nie powiedział, tylko wlepił w nią szeroko otwarte oczy.

- Zadzwoń, jak już będzie pan wolny, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnęła rękę. Ścisnęła mocno jego dłoń i jeszcze nią potrząsnęła, jakby na znak dobitego targu.

Przez chwilę myślała, żeby pocałować go w policzek, ale szybko z tego zrezygnowała.

Jego mina już jej wystarczyła.

\*\*\*

Teraz siedzę sobie na ławce przed szpitalem.

Dokładnie naprzeciwko okien gabinetu psychiatry Bartłomieja. Nie patrzę w tamtą stronę.

Mam zamknięte oczy, odchyłam głowę i wygrzewam się na słońcu.

Jak jaszczurka. Chwytam ciepło całą sobą. Akumuluję je.

Wełniana sukienka jest krótka, tkana rzadkim ścięciem. Duże oczka zapewniają przewiew, a i otwory po rękawach są niemałe. Jakbym odpowiednio podniosła ręce, można by dostrzec przez nie piersi. Nie mam stanika.

Podnoszę je więc. Zakładam za głowę. Ze splecionych palców

robię podpórkę dla wygiętej szyi. Opalam twarz. Będzie ładniejsza. Na bladej skórze pojawi się zdrowy rumieniec.

Wyglądam, jakbym odpłynęła, odpoczywała i nie myślała wcale...

Ale ja myślę, i to szybko. O wielu rzeczach naraz. Nie kończę wypowiedzianych w duchu zdań, bo pojawiają się następne i następne.

Na przykład takie:

Wiem, że psychiatra Bartłomiej teraz na mnie patrzy. Więc co chwila zmieniam pozycję, od czasu do czasu wyciągając ręce do góry i prostując palce. Nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, że teraz gapi się na mnie przez okno.

O tej porze je. Sam. W swoim gabinecie. Nie lubi, żeby mu przeszkadzano. Siada przy biurku. Pod oknem. I je. Tym razem nie gapi się w sufit. Bo ja jestem po drugiej stronie.

Tak, po drugiej już stronie.

Zawsze mogłam tu przyjść. Pod szpitalem są ławki. Ładny skwer. Stare lipy, krzewy różane... piękna dawna odmiana. Pachną obłędnie... Takie kocham najbardziej. Drobne różowe płatki. Szeroko rozchylone. Z żółtym środkiem na wierzchu. Gotowym do zapylenia. Nęcą owady upojną wonią. Przyciągają do siebie... Zapraszają zdobiącym wiotkie, giętkie gałązki kwieciami.

Przyleć... gruby bąku, cienka oso, waleczny szerszeniu, gąsienico włochata z bajecznymi skrzydłami...

Tylko przyleć, a dam ci, co zechcesz, i obdaruję tym, czego chcę ja....

Uwielbiam patrzeć na róże...

Ale miałam to w dupie, będąc częścią tego szpitala.

Nie tylko ja byłam jego częścią, ten skwer, ta ławka również. I wszystko tutaj. Wcześniej byłabym tu tylko więźniem na spacerunku. Otoczona niewidzialnymi zasięgami. Odgradzona od świata.

Albo świat odgradzony ode mnie...

Teraz jestem w tym miejscu. Ale należę już do innego zbioru. Innej rzeczywistości. Nie jestem wariatką... A jeśli nawet... to wariatką na wolności. Jak i reszta mniej lub bardziej

ukrywających się przed zdemaskowaniem szaleńców.

Też założę maskę z normalności.

Słońce przysłoniła chmura. Piękny, wielki cumulus. Przez długą chwilę będzie się nade mną kłębił. Nie mam więc już po co odchyłać głowy. Choć dobrze mi tak. Mogłabym tak dalej siedzieć.

Ale ktoś mógłby pomyśleć, że to głupie.

Artur przyjedzie po mnie lada chwila.

Teraz więc ładnie wyciągnę książkę i czytaniem będę sobie umilać czas oczekiwania. To jest w pełni akceptowalne społecznie. Nawet gdyby w tak pięknych okolicznościach przyrody czytać o wyczynach Czerwonych Khmerów w Kambodży.

Wydaję więc swoją powieść, szukam odpowiedniego fragmentu. I układam otwartą książkę w dłoni.

W taki dzień, gdy światło jest rozlane przez upał, rozproszone cieniem, mogłabym pozować do jakiegoś impresjonistycznego obrazu... Czytająca dziewczyna...

- Dobrze, panie Bartłomieju, psychiatro z okna? - pytam, widząc kątem oka, jak odchyła się firanka w jego gabinecie. - Ładnie wyglądam? Sielsko? Romantycznie? Zwyczajnie?

Patrz sobie do znudzenia...

\*\*\*

Strona 146

Błażej Białas siedział naprzeciwko młodej sprzątaczkii. Niska i chuda. Mysia. A do tego małe stopy spakowane w adidasy, które miały za dużo pasków, by być prawdziwe. Ale to mu nie przeszkadzało, bo i tak nie chciał tych stóp oglądać.

Dziewczyna już od progu mówiła, że nic nie wie, ona tylko pracuje i chce tę pracę mieć... Trzęsła się na samą myśl, że mogłaby się wygadać z czymkolwiek, co zaszkodziłoby jej pracodawcom.. Nie zapowiadało się zatem na jakikolwiek przełom w śledztwie. I to nie ona dzwoniła. Tego był pewien. Miała cienki, piskliwy głos, który nawet przez chusteczkę nie brzmiałby jak ten, który słyszał w słuchawce.

Wizja szybkiego spotkania z panią prokurator oddalała się z

każdą minutą. A szansę miał tylko na służbową rozmowę. Każdą propozycję umówienia się po pracy Michalina odrzucała pod byle jakim pretekstem. Ale też nie powiedziała mu wprost, że nie chce go widzieć - i tego się trzymał. Miała przecież takie ładne paluszki...

Wzdychał, ze znużeniem słuchając mysiej dziewczyny.

- Ja nic nie wiem - powtórzyła po raz kolejny. - Pani Zofia jest wymagająca, wszystko musi być posprzątane. Naczynia pomyte. Ubrania wyprasowane. Porcelana odkurzona... - wymieniała, zadowolona, że może mówić o czymś, co należy do jej obowiązków, a nie odpowiadać na pytania.

Policjant czekał tylko na koniec tej litanii, by się pożegnać.

- Wodę do mycia podłogi zmieniam kilka razy... bo pani, która była przede mną, robiła to niedokładnie... - urwała w pół słowa.

- Jaka pani? - ożywił się nagle policjant.

Dziewczyna przytknęła rękę do ust.

- No ta, co przede mną pracowała... Miałam o niej nie mówić, bo to nie moja sprawa... - Jęknęła głośno, zła na siebie.

- Od kiedy pani tam pracuje? - zapytał Błażej Białas z nadzieją i ledwo się powstrzymał, by nie stuknąć się w głowę.

- Od trzech tygodni - oświadczyła niepewnie. - Właśnie miałam podpisać... - Znowu jęknęła.

- Nie była pani na wakacjach? - Zdał sobie sprawę, że jeśli pracownik ma wakacje, to znaczy, że nie pracuje tam od dziś.

- Byłam na pogrzebie ciotki i pani Zofia powiedziała, że mogę sobie zrobić kilka dni wolnego.

- I nie poznała pani Justyny Lenart?! - dopytał, kręcąc głową.

- Jeszcze nie. Podobno wyjechała... - W jej głosie słychać już było rezygnację. Niby nic takiego nie powiedziała, ale czuła, że uśmiech na twarzy policjanta niczego dobrego nie wróży.

Za to Błażej Białas przejechał dłonią po rudym języku, starając się nie klasnąć w dłonie z radości. Kiedy Zofia Lenart niechętnie podawała mu adres dziewczyny wyjaśniała, że jest ona lekko opóźniona, ale zatrudniają ją od dłuższego czasu, bo się z nią zżyli.

- Akurat - burknął do siebie pod nosem. - Wie pani, gdzie ona

mieszka?

- Kto?

- Poprzednia sprzątaczką?

Pokręciła głową.

- W takim razie do widzenia - powiedział, szybko wstając.

Godzinę później pukał do kolejnych drzwi.

Adres Antoniny Gołąb również otrzymał od Zofii Lenart, która z wściekłością oświadczyła, że zapomniała o niej powiedzieć. A poza tym nie ma co rozmawiać z tą starą plotkarą... Błażej Białas był odmiennego zdania. Wścibski świadek to świadek wymarzony.

Jak tylko zapukał, w drzwiach pojawiła się korpulentna starsza kobieta w gumowcach, kwiciastej chustce na głowie i z ogrodniczą haczką z trzema szpikulcami. Popatrzyła na legitymację.

- Guzdrzecie się - oznajmiła. - Już dawno do pana telefonowałam.

- Byłoby prościej, gdyby się pani przedstawiła.

- Jeszcze czego! - prychnęła głośno, po czym szeroko otworzyła drzwi i przesunęła się z zapraszającym gestem, haczką wskazując kierunek.

\*\*\*

Czekam na Artura i sobie ją wyobrażam.

Musiała wyglądać jak pirat. Z hardą miną, chustą na głowie i kopaczką w ręce.

Nie ma to jak rozżalony pracownik... Młody rudzielec dowiedział się, że dokładnie miesiąc wcześniej na podłodze w mieszkaniu Lenartów była krew, którą ktoś nieudolnie próbował zetrzeć. I jedynie tę nieudolność odnotowała Zofia Lenart, widząc pod światło brunatne smugi na podłodze. Zarzuciła sprzątaczkę, że myje podłogę brudną ścierą.

Antonina Gołąb była tym zbulwersowana. Zresztą od dawna miała z szefową na pieńku. Więc od słowa do słowa... aż rzuciła ścierką, którą akurat miała w ręce. I opuściła stanowisko pracy. Grożąc im wszystkim palcem.

Że jak sami sprzątać nie potrafią, to niech się do tego nie

biorą!

Potem, gdy pojechała odebrać zaległą wypłatę, dowiedziała się, że Justyna Lenart coś długo nie wraca. I połączyła jej nieobecność z faktem, że ktoś z tej rodziny próbował cokolwiek posprzątać... Sam! To wydało jej się niepojęte i złożyło w całość, o której zapragnęła po chrześcijańsku powiadomić policję.

Taka była jej wersja wydarzeń.

Paweł Cis nie wytrzymał w tym domu wariatów i pozbył się żony.

Ona osobiście nic do niego nie miała... ale ogólnie do wszystkich - owszem. Zresztą mógł się przyznać, że coś mu się rozlało albo że poszarpał się z żoną... a on to zataił. Poza tym - według Antoniny Gołąb - Paweł Cis już się dostatecznie obłowił... i te Lenarty nie były mu do niczego potrzebne.

\*\*\*

Niegłupia kobita. A wyjaśnienie, trzeba przyznać, dosyć składne.

Szczególnie w kwestii majątkowej...

Ale o tym doczytam później. Właśnie podjechał samochód.

Artur dziwnie mi się przygląda. Jeszcze nie wiem, co to znaczy. Ale muszę być czujna.

- Cześć - mówię i wsiadam. - Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli wyjmę laptop i będę sobie pisać? - pytam grzecznie.

- Nie. Tylko zapnij pasy - mówi i patrzy na moje kolana.

Masz rację - myślę - te nogi nie pasują do tych butów.

I nie podoba ci się ta sukienka.

Cóż, masz gorszy gust od mojego psychiatry. I mniejsze poczucie humoru...

Miło się uśmiecham. Palce mnie świerzbią.

\*\*\*

Jadąc złotym audi, Joanna postanowiła na bieżąco spisywać, co się wokół niej dzieje. I dla siebie, i dla całej reszty, która, jak miała nadzieję, kiedyś to przeczyta.

Artur File spoglądał na nią od czasu do czasu, ale sam był w

nie najlepszej formie, więc zagadywał z rzadka. Miała nieodparte wrażenie, że chce jej coś oznajmić, tylko nie wie jak. Wciągał nosem powietrze, krzywił się, jakby gimnastykował usta, i drapał po głowie. Wystarczyło.

- Co piszesz? - zapytał w końcu, gdy stanęli na światłach.

- Pamiętnik. - Joanna wzruszyła ramionami.

- Możesz o mnie nie wspominać?

- Mogę - odpowiedziała i wystukała to zdanie na klawiaturze.

- Słucham cię. Mam podzielną uwagę - oznajmiła, gdy przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

- Na pewno zawieźć cię do centrum?

- Tak. Zaplanowałam zakupy - odparła, klaskając radośnie w dłonie.

- Masz pieniądze. Podpiszesz mi tylko...

- Podpiszę - zapewniła. Odchyliła klapkę z samochodowym lusterkiem i zaczęła się w nim przeglądać. - Tylko to, że udzieliłeś mi pożyczki - oświadczyła, przeglądając się. - Resztę podpiszę, jak będziesz miał w tej teczce cztery razy więcej. I to w umowie przedwstępnej.

Artur Filc spojrział na nią i zaraz musiał zahamować z piskiem, by nie uderzyć w jadący przed nim samochód.

- Asiu, to dużo pieniędzy...

- Masz na myśli te tutaj? - Wskazała palcem na reklamówkę, która leżała u jej stóp i do której wpakowała przed chwilą pięćdziesiąt tysięcy w banderolowanych banknotach. Nachyliła się, wzięła jedną paczkę, wygięła mocno i kciukiem zaczęła uwalniać pojedyncze sztywne papierki, robiąc z nich wiatraczek.

- Tak, te! - warknął Artur, już zaczerwieniony z wściekłości.

- Na zakupy wystarczy - zaświergotała. - Chociaż przy dzisiejszych cenach... Zwykle okulary kosztują z tysiąc... a gdzie reszta? - Patrzyła na Artura i zastanawiała się, jak bardzo trzeba go zirytować, by wreszcie wykrzyczał z siebie to, co zamierza jej powiedzieć.

- Chyba nie myślisz... - Uderzył dłońmi o kierownicę.

Wystarczy - uznała w duchu. A teraz mała huśtawka.

- Uspokój się - powiedziała już głośno, i to zupełnie po-



ważnym tonem. - To w naszym wspólnym interesie.

Spojrzał na nią. Słowa „wspólny interes” zadziałały jak zaklęcie, każąc mu natychmiast zmienić taktykę.

- Artur, żartuję sobie. Już zapomniałeś, że potrafię? - Ciągnęła przymilnym głosem. - Przecież wiem, że jeśli się nie dogadamy, moja sytuacja będzie opłakana. - Westchnęła. - Taka głupia nie jestem... Kto mnie obroni, jak nie ty? - Popatrzyła w jego kierunku.

Znowu były światła. Nie spuszczał jej z oczu. Wytrzymała to. Jak najszerzej rozchylone powieki, lekko ściągnięte w dzióbek usta, rozłożone palce przyciśnięte do policzków. Wystarczy. Działa...

- Zatrzymaj się, proszę. Tam. - Pokazała na parking przed blokiem, w którym na parterze mieścił się ciąg sklepów z apteką pośrodku.

- Po co?

- Muszę wykupić leki. - Zaczęła wyjmować z reklamówki recepty. - Nie mogę o tym zapominać - dodała, wymachując mu przed nosem karteczkami, by wyraźnie zobaczył łacińskie słowa i szpitalne pieczętki.

- Jasne - oświadczył i odetchnął z ulgą.

Gdy zaparkowali, Joanna zobaczyła przez szybę kilka stojących w środku postaci i z piątkę małych dzieci przed apteką.

- Oj-westchnęła.-Jest kolejka...

- Nie szkodzi. Mam czas. Poczekam. Iść z tobą? - zaproponował i szybko zgasił silnik.

- Nie. Dzięki. To prosta czynność. Poza tym muszę się oswajać z normalnymi ludźmi. - Uśmiechnęła się szeroko.

Artur Filc również się uśmiechnął.

Wiedziała, że się ucieszy. Kupowanie leków przepisanych przez psychiatrę było dla niego wyraźnym znakiem, że sytuacja będzie stabilna, przynajmniej przez najbliższy okres, może nawet dłużej, a czas był mu potrzebny. Nie zamierzała wyprowadzać go z błędu.

Kolejka posuwała się powoli, więc Joanna przyglądała się ludziom. Przed nią stała gimnazjalistka, która mimo upału miała zawiązaną na szyi apaszkę i głośno smarkała w jed-

norazową chusteczkę higieniczną. Ciągłe tę samą. Śliczna dziewczyna z długim końskim ogonem przestępowała z nogi na nogę, co chwila spoglądając w okno, na którego parapecie siedzieli, czekając na nią, koledzy ze szkoły. Za Joanną stał jakiś dziadek i trzymał receptę w trzęsącej się ręce, potem weszła matka z dzieckiem w wózku, które usilnie chciała napić. Tymczasem opuściła aptekę obsłużona starsza pani, mijając w wejściu jeszcze jednego dzieciaka.

Gdy Joanna była już prawie przy okienku, zaczęła obserwować sprawnie obsługującą klientów farmaceutkę. Pięćdziesięcioletnia zadbana pani to ściągała, to zakładała okulary w złotych oprawkach z brylancikami po bokach. Okulary wisiały na złotym łańcuszku, gdy szła na zaplecze po leki, i wracały na nos, gdy musiała odczytać receptę.

Smarcząca dziewczyna, kaszląc, poprosiła o tabletki na kaszel, cztery opakowania, i jeszcze syrop, dwie duże butelki.

Pani magister spojrzała na nią. Przyjęła piętnaście złotych, dała paragon. Dziewczyna wyszła.

- Czas się rozgrzać - powiedziała Joanna, gdy nadeszła jej kolej.

- Słucham? - zapytała uprzejmie aptekarka, zdejmując okulary z nosa.

- Dla mnie to samo.

- To znaczy?

- Też poproszę tabletki z dekstrometorfanem.

- Które?

- Te same, tylko trzy opakowania. Nie jestem dzieckiem - oświadczyła Joanna z uśmiechem.

Farmaceutka przyglądała jej się chwilę, gdy zaczął wibrować telefon leżący przy kasie. Poza tym znowu ktoś wszedł do apteki. Joanna zdążyła dojrzeć na wyświetlaczu pięcioletnią dziewczynkę, nim kobieta kliknięciem odrzuciła połączenie, po czym wyjęła trzy opakowania z szuflady i nabiła kwotę.

- Coś jeszcze? - zapytała z lekką ironią w głosie.

- No... tak. Efedrynę... Na kaszel, oczywiście - oświadczyła Joanna gapiącej się na nią kobiecie. - Ten sam syrop. Nie szkodzi młodzieży, to mnie tym bardziej, prawda? Trzy butelki

- dodała i uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła.

- Coś jeszcze? - warknęła przez zęby farmaceutka, stawiając butelki na ladzie.

- Reklamówkę - powiedziała Joanna i zobaczyła, jak kobieta, już wściekła, walczy ze zlepionymi rogami foliówki ozdobionej ładnym logo kolejnego miłego specyfiku.

- Wszystko?

- Tak.

Farmaceutka, mocno stukając w klawisze kasy, nabiła rachunek. Joanna podała jej nowiutką stówę i kiedy tamta zaczęła szukać reszty chwyciła torebkę.

- A, nie... Właśnie coś mi się przypomniało... - Westchnęła głośno, widząc, jak zaciskają się usta kobiety.

Znowu zadzwonił jej telefon. Znowu zdjęcie wnuczki. Znowu odrzuciła połączenie.

- Tak? - burknęła.

- Tak... Patrzę na tę reklamę i mi się przypomniało. Ależ ja jestem durna! Ach, zapomniałabym... - Popukała się palcami w czoło. - Jeszcze kodeina, może być ta proponowana przez aptekę. - Wskazała nazwę leku widniejącą na foliowej torebce. - Dziesięć opakowań... Nie, dwa wystarczą... - powiedziała z namysłem. - Tak, dwa - potwierdziła w końcu, a stojący za nią dziadek uśmiechnął się wyrozumiale, jakby też się zastanawiał, ile swoich leków ma wykupić.

Farmaceutka prawie rzuciła w nią dwoma opakowaniami. Nabila na kasę. Wydała resztę i głośno prychnęła.

Joanna na to właśnie czekała.

- Wie pani, nie jestem pewna, czy dobry skład wybrałam... - zaczęła znowu się zastanawiać, tym razem już bardzo głośno.

- Jest pani dorosła! Wie, co robi! - Farmaceutka ściągnęła złote okulary z nosa i groźnie zmarszczyła czoło.

- No właśnie, jestem dorosła... Ale ta dziewczyna przede mną miała całkiem dobre rozeznanie... wybrała największe dostępne dawki bez recepty. A w przypadku tego ostatniego leku... Akurat go nie kupowała... Mimo że jest reklamowany. Co pani myśli? Może by zapytać tego młodego kinder- ćpunka?

- Wskazała na stojącego w kolejce gimnazjalistę z plecakiem.

Chłopaka sparaliżowało. Dosłyszał słowo „ćpun”, widział palec skierowany w swoją stronę, ale stał, jakby nie wierzył, że o nim mowa.

- Od młodzieży tyle się można nauczyć...

- Do widzenia pani - powiedziała głośno farmaceutka. - Słucham pana - zwróciła się do kolejnego klienta.

- Chwileczkę. - Joanna posłała dziadkowi serdeczny uśmiech.

- Może spytam tych pod apteką. Poczekali na dziewczynę, a teraz zaglądam tu przez okno, czekając na tego chłopaczka...

Znowu popatrzyła w kierunku gimnazjalisty, który pojął, w czym rzecz, i niemal potykając się w drzwiach, wybiegł z apteki. Przykuł uwagę wszystkich stojących w kolejce, tak samo jak grupka młodzieży, która naraz zerwała się z parapetu i uciekła.

- Proszę się nie martwić. Za jakiś czas wrócą - zapewniła Joanna skrzywioną aptekarkę.

Ta ostentacyjnie ją zignorowała.

- No, słucham pana! - powtórzyła.

Staruszek chciał wsunąć przez okienko recepty, ale Joanna przytrzymała go za rękę.

- Proszę mi jeszcze powiedzieć... Co pani z tego ma? Gif- ty od producentów za dobrą sprzedaż? Bo jaką ma pani marżę? Jakie grosze od tych piętnastu złotych? Chociaż... jak mówią, grosz do grosza, a będzie kokoszą. Przecież ci gówniarze są tu prawie codziennie. Kaszlą, prychają po kilka razy w tygodniu, a pani im sprzedaje, co chcą... Co pani sobie wtedy myśli? Jak nie ja, to przecież pójdą gdzie indziej? Może nawet, że sami są sobie winni... Że to przez rodziców... Że ta śliczna dziewczyna, na którą dzisiaj wypadła kolej, za chwilę zje pół opakowania z kimś na spółkę, położy się do łóżka, a rodzice nic nie zauważą, bo już przecież umie udawać chorą. Jak się nie przekreśli... to jutro w czapce z daszkiem przyjdzie znowu. A pani będzie udawać, że jej nie rozpoznaje... Cóż... Grosz do grosza...

- Proszę stąd... - chciała krzyknąć kobieta, ale Joanna już zrobiła krok w tył.

- Ile lat ma pani wnuczka? Cztery, pięć? Urocze dziecko. Po babci? Ile ma jeszcze czasu, żeby stanąć w aptece za rogiem, u konkurencji? Sześć lat... Nie, może nawet pięć. Te dzieci teraz

tak szybko się uczą. - Westchnęła. - O, znowu dzwoni! - Wskazała palcem na wibrujący telefon. - Do widzenia. Dobrego dnia życzę - powiedziała uprzejmie farmaceutce, która stała z otwartymi ustami, patrząc na wyświetlacz ze zdjęciem.

Joanna wyszła z apteki, mijając uśmiechniętego dziadka, który nie za wiele słyszał, i przerażoną matkę, zastygłą nad wózkiem z butelką soku w ręce.

- Dostałaś to, czego chciałaś? - zapytał Artur Filc, gdy zapięła pasy.

- Tak - odpowiedziała mu, pokazując wypchaną reklamówkę.

- Podjadę do biura... po umowę. Poczekasz?

- Jasne - odparła, kładąc laptop na kolanach.

\*\*\*

Długa ta scenka rodzajowa, ale jakaż przyjemna!

Zbytnej przenikliwości to nie wymagało ani w niczym mi nie pomogło. Ale taki mały trening na relacje interpersonalne - to i owszem. Przyda się.

Poza tym mina aptekary... bezcenna.

Mogłam to wszystko opisać ze szczegółami, bo czekam przed biurem Artura.

Chwilę to już trwa... i dobrze, bo nie lubię się z tym spieszyć.

Zresztą słabo liczę, a mam już pełną garść wyłuskanych tabletek.

Efedryna - trochę tych groszków, niestety nie więcej, bo się porzygam. Odrobina bromowodorków, nie za wiele, bo odlecę poza siebie... To dobre dla dzieciaków z podstawówki. Ja muszę mieć siłę i trochę pobyć ze sobą. Zaznać trochę euforii, ale się nie drapać. Swędzenie to dosyć przykry skutek uboczny. Tak samo jak gadatliwość.

Ładne te opakowania. Wszędzie zakatarzone noski i zaczerwienione gardelka... Jakby tylko o to chodziło.

Na początek będzie okej!

Urocza garstka pigułek w mojej dłoni... Jeszcze to wszystko popić.

A w samochodzie adwokata, który uprawia sport i dba o

linię... tylko butla z niebieskim płynem i wielkim spisem witamin na etykiecie. Jedynie cztery kalorie... a ileż kofeiny i tauryny, i guarany! Nic, tylko pić i pić... Pół litra - siedem kaw! Ilez to energii w błękitnym źródelku!

Chlup!

Dosyć... Bo zaczynam się upajać sobą, a muszę się skupić.

Trzeba będzie zagrać w pokera.

Artur ma jakiegoś asa w rękawie. Jest miły, a jednocześnie zbyt pewny siebie... Poszedł po papiery, choć wie, że nie zamierzam tak łatwo ich podpisać... Myśli, że nakupiłam litu, a ja co najwyżej mruczę pod nosem swój ukochany kawałek Nirvany, który ma „lit” w tytule. Ale muszę być ostrożna. Coś mu dać, zanim wyłoży karty...

Idzie... różnym krokiem...

- Musiałam popić. - Pokazuję mu pustą butelkę.

- Nie ma sprawy. - Uśmiecha się przymilnie, ściskając w rękach papiery. - A nie zaszkodzi ci? - pyta chyba zupełnie szczerze.

- No co ty...? - Śmieję się. - Dawka śmiertelna kofeiny to co najmniej siedemdziesiąt cztery takie butelki. Nie dam rady...

Też się zaśmiał.

- Umowa pożyczki? - pytam.

Wyciąga tylko jedną kartkę z pliku.

- Dawaj długopis - mówię wesoło.

I składam zamaszysty podpis. Och! Już dawno nie rozda-  
wałam autografów...

- To też podpisz... - Podsuwa mi umowę z zastrzeżeniem  
prawa pierwokupu.

No, tak się nie umawialiśmy...

- Arturze... - zaczynam i widzę, jak się szykuje, żeby wypluć z siebie to, co chce powiedzieć, odkąd wsiadłam do samochodu.

- Grajmy w otwarte karty. Nie czekaj. Wiem, że czekasz. Od razu mi powiedz, dlaczego mam to zrobić - proszę smutnym głosem. - Czego powinnam się bać? - dorzucam jeszcze smutniej.

- Twoją sprawę przejęła tutejsza prokuratura... - mówi powoli.

- Dlaczego? - pytam.

Wystraszona na pokaz. Bo w środku niczego się już nie boję.

- Tego naprawdę nie wiem.

O! Dla odmiany nie kłamie?

- A co wiesz, Arturze? - pytam, wprawiając głos w drzenie.

Dobrze wyszło.

- Twoją sprawę będzie prowadził prokurator Tomasz Przekora.

O kurwa! - myślę.

- I co z tego? - mówię.

- Jest w twojej książce.

- Wiem. - Wzruszam ramionami, choć chce mi się krzyżeć. - Czytałeś?

- Tak - odpowiada Artur.

- Ładnie opisałam zimę, przyznaj, jak w *Fargo*, co? - pytam.

Wie, że lubię mówić o swoich książkach.

- Bardzo podobnie. - Przytakuje z uśmiechem.

Akcja dzieje się latem! Ciągłe upały i słońce, jełopie! Tylko nazwisk poszukałeś! Nie chciało ci się przeczytać! Nigdy ci się nie chciało!

Staram się nie okazywać, jaką jestem wkurwiona.

Sprawa sama się przeniosła? Czy spowodowałaś, że ją przeniesiono? Chcesz, bym jadła ci z ręki? Zrobiłeś to!

- Wie, że wyszłam?

- Nie. Ma te same papiery. Z tą samą opinią...

Nie kłamie. Mówi pewnie, a poza tym sam by nic nie wskórał, gdyby mnie zamknęli.

- Arturze - mówię spokojnie i z uśmiechem. Najłagodniej, jak się da. - Ja nic nie mam do ukrycia. - Odpinam pasy.

- Asiu! - Chwyta mnie za rękę.

- Odezwę się, jak będę cię potrzebować. Przecież wiesz, że będę... Daj mi tylko chwilkę. Ogarnę się. Widzisz przecież, jak wyglądam. Mogę cię o to prosić?

Nie czekam na odpowiedź. Całuję go w policzek na pożegnanie. I uśmiecham się. Takim trochę smutnym uśmiechem. Kącikami w dół.

Trochę mu się przykro zrobiło.

Dobrze, niech ci będzie przykro.

Tak sobie myślę. I odchodzę spokojnym krokiem, powłócząc nogami, w wełnianej sukience, z reklamówką, w której jest czterdzieści dziewięć tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt złotych. I trochę bilonu.

Nie odwracam się. Wchodzę do oszklonej galerii. Wielkiej scenicznej garderoby. Ale jeszcze się nie przebieram do spektaklu. Siadam na ławce pod sztucznym kwiatem. Chwilę patrzę na manekiny w terrariach... I smutne twarze z reklam rzeczy drogich... Zawsze takie są... Ciekawe dlaczego? Może dlatego, że bogaci wiecznie są smutni... bo mają bogaty asortyment powodów filozoficznych, by się troskać.

O, skrzywiona, chuda dziewczyna z elegancką walizką...

Ciągnie za sobą bagaż problemów. Zapewne problemów całego świata. Tym się martwi.

Brawo! Odkryłam tajemnicę zatroskanych min, bez cienia uśmiechu. Bo z czego tu się śmiać? Z brylantowych kolczyków, zegarka za kilkadziesiąt tysięcy, perfum...?

Dziewczyna leży na plaży, piasek jak mąka biały, a jej oczy mówią: to wszystko marność nad marnościami... Ma to sens!

Ale dosyć! Co ja tam nawypisywałam o tym Przekorze?

Która to strona?

\*\*\*

Strona 225

Prokurator Tomasz Przekora nie kochał swojej żony. Od dawna. Albo od zawsze... Tego nie był pewien. Rozwiódłby się, ale nie miał na to odwagi albo zwyczajnie był na to zbyt leniwy.

Za to często wyobrażał sobie, że jest wdowcem...

\*\*\*

- Ożeż kurwa! - zakląła Joanna dosyć głośno.

Wystarczająco, by zasłużyć na zniesmaczone spojrzenie kobiety, która usiadła obok na ławce. Miała ze sobą niemowlę śpiące w kolorowej pasiastej chuście przewiązanej na szyi. Odruchowo wychyliła głowę, by sprawdzić, czy drugie dziecko, które bawiło się za drewnianym płotem w przestrzeni udającej



ogródek, nie dosłyszało aby przekleństwa. Na szczęście było daleko, więc poprawiła tylko tkaninę opasującą niemowlaka, jakby chciała przykryć mu uszy, i przesunęła się na brzeg ławki, ostentacyjnie odwracając głowę.

- Przepraszam panią - odezwała się Joanna, a pochwyciwszy jej spojrzenie, przyłożyła rękę do piersi i głęboko westchnęła. - Ale czytam tu o takim chuju, że szkoda gadać.

W pierwszej chwili nieznajoma chciała się oburzyć, ale słysząc głośny jęk Joanny i widząc, jak ta z niedowierzaniem kręci głową, spytała:

- A co takiego zrobił?

- No, niech sobie pani wyobrazi... Dzielna dziewczyna wychowuje dwójkę dzieci. Od rana do wieczora i oczywiście w nocy też... Bo ten przecież nie wstanie. Bo robi karierę w prokuraturze. I to z jego pensji spłaca się kredyt... A ten... - Joanna przyłożyła rękę do ust. - No, nie powiem już, jak powinno się go nazwać... A ten fantazjuje, że może zostanie wdowcem... i to dlatego, że wtedy nie będzie musiał czekać, aż się kredyt spłaci i dzieci dorosną...

- Chuj - potwierdziła kobieta i sama przeraziła się tym, co powiedziała. Przytuliła mocno dziecko, jakby chciała je obronić i jeszcze bardziej wcisnąć w siebie. Niemowlę otworzyło oczy.

- No tak... - kontynuowała Joanna z przekonaniem. - Bo kto posprząta, ugotuje, zaprowadzi dziecko do przedszkola, strój na bal karnawałowy przygotowuje nie wiadomo z czego...

Kobieta słuchała z coraz większymi oczami, a dziecko zaczęło kwękać. Kołysała je, sama kiwając się na boki.

- Mało tego... - dodała Joanna, przysuwając się do niej i pokazując na książkę. - On ją jeszcze zdradza z koleżanką z pracy, która zresztą często jest u nich w domu, taka przyjaciółka od zawsze, jeszcze ze szkoły... która niby wcale mu się nie podoba, no bo zbyt wulgarna... - Przymknęłam oko. - Bez dzieci ta koleżanka... więc ma czas na fryzjera, włos rozwiany, spa, makijaż... codziennie inaczej ubrana, paraduje przed nim w obcisłych, krótkich kieckach. A ten jak nie może się do niej dobrać, bo akurat... - Joanna uniosła palec wskazujący - dama

nie ma nastroju... - prychnęła głośno, podczas gdy kobieta coraz mocniej kołysała dziecko, które wypluwało wciskany mu w usta smoczek - to on... - Ściszyła głos i przybliżyła się do nieznajomej, która również pochyliła się w jej kierunku, bo płacz dziecka zaczął zagłuszać ich rozmowę. - To on idzie do kibla, opiera się o drzwi i tam ciągle się onanizuje, wyobrażając sobie, jak... tę koleżankę ciągnie za włosy i rżnie z całej siły... a ona mocniej krzyczy...

Dziecko płakało i kręciło się coraz bardziej. Kobieta, która dostała wypieków na twarzy, odchyliła chustę, odciągnęła skraj bluzki, wyłuskała pierś z biustonosza i włożyła dziecku sutek do ust. Niemowlę momentalnie ucichło, ssąc zapalczywie.

- No i wie pani... - powiedziała Joanna, zamykając książkę.

Wstała i spojrzała jeszcze na karmiącą, która odetchnęła z ulgą, jakby się ucieszyła, że za chwilę zostanie sama...

- W domu to już nie ma ochoty na seks... bo niby zmęczony, zestresowany w pracy... a czemu, bo... juchu, juchu. - Pomachała dłonią, jakby sama w tym momencie rytmicznie masowała męski członek.

Kobieta odwróciła wzrok.

Joanna wzięła leżącą przy ławce reklamówkę.

- Muszę powiedzieć coś szczerze od siebie...

Nieznajoma znowu na nią spojrzała, choć już bardzo niechętnie.

- To najbrzydsze cycki, jakie w życiu widziałam - oznajmiła Joanna, odwróciła się na pięcie i poszła w głąb galerii handlowej.

\*\*\*

Powiedziałam to na tyle głośno, że odwróciło się kilkoro przechodzących obok klientów.

- No co? Pokazuje, to chyba chce się dowiedzieć, jak wyglądają...

Ach! Jakie to cudowne mówić, co się myśli... Ach, gdyby wszyscy tak zaczęli... Zapanowałyby idealna anarchia... Społeczeństwa, małżeństwa przestałyby istnieć... Świat by oszalał... W końcu zaczęliby rządzić autystycy, bo dla nich to naturalne...

Do pomocy wzięliby wariatów... Bo kto inny by się odważył walić prawdą po oczach? Piękna wizja...

Tak czy inaczej zafundowałam Tomaszowi niezłą jazdę w domu.

Teraz zapewne grozi mu rozwodem... Zabrała dzieci i pojechała do matki... Wróciła, ale się nie odzywa, tylko warczy... Potrwa to...

Tomasz raczej mnie nie lubi... Szkoda. Fajny z niego facet.

Michalina nie miała w planie się ustatkować... więc rozsądnie wybrał żonę...

A że ciągle ją widzi... słucha, jak wróciła z Kilimandżaro... jak wlaźła na Mount Blanc... jak nurkowała w Sudanie, gdzie o mało jej nie zastrzelili...

Jak widzi tych kolejnych absztyfikantów, których z upodobaniem obśmiewa, zaciskając zęby na samą myśl, że ją bezkarnie pukają...

No cóż, życie...

Z młodego rudego policjanta też się śmiał, bo ten totalnie był zakochany. Tomasz zauważył, jak się czerwieni na jej widok, paci przy każdym spotkaniu, przylatuje do prokuratury pod byle pretekstem i spija słowa z ust pani prokurator...

Opowiedziała mu, jak połykał jej stopy, wszystko mu mówiła... Śmiała się z tego... ale całe lato chodziła w japonkach albo sandałach, co najwyżej dwa cienkie paski miały i jakieś świedelka wokół dużego palca.

Cóż... Kto nie lubi być podziwiany?

Ja na pewno lubię...

Też muszę dobrze wyglądać...

O, jest salon fryzjerski... Dla pań... Same chłopaki w środku...

Drogi...

Drogi = dobry?

Brzydki = zły?

Ładny = dobry?

\*\*\*

Joanna przez chwilę przyglądała się znakowi równości na klawiaturze laptopa. Chyba nigdy go nie używała. Nie wierzyła

w równość.

Tu, w salonie fryzjerskim, też. Fryzjerzy po kilku godzinach z rękami ciągle w górze, byli uśmiechnięci, a zmęczone siedzeniem panie - skrzywione. To niesprawiedliwe - myślała, czekając na wielkiej kanapie i pisząc. A kolejność musiała być zachowana. Najpierw fryzjer, a dopiero w zrobionych włosach - na zakupy. Potrzebowała pomocy przy wyborze ubrań, a z takim wyglądem potraktowano by ją... stosownie do jej wyglądu. Potem kosmetyczka. Lukier dla ciała.

Czekała już od jakiegoś czasu. Ale jej to nie przeszkadzało. Chłopak, który jej się spodobał, właśnie kończył suszyć cienkie jak ptasi puch włosy starszej pani. W spodniach zapinanych na ukos trzema wielkimi guzikami i w stylizowanym na sprany podkoszulku prezentował się ciekawie. Do tego opalenizna na kształtnej, łysej głowie, brwi, które wyglądały na starannie wykonane tatuaż, przymknięte oczy o czarnych źrenicach, kształtne kości, wyjątkowo pełne usta... Nefretete.

- Zapraszam - powiedział do Joanny, gdy uśmiechnięta staruszka poszła regulować rachunek.

- Jak masz na imię? - zapytała.

- Nikita. - Taksował ją wzrokiem z góry na dół, jakby nie mógł się zdecydować, czy poszarpane, prujące się otwory po rękawach są fajne czy nie.

- A więc, Nikita... Stówa napiwku - powiedziała, siadając przed jednym z luster. - Ale rozwiń skrzydła - dodała.

Popatrzyła na jego zadowoloną minę. Uspokoił się i wszystko jakby zaczęło mu się zgadzać. Sam miał niedosznuruwane do końca trampki.

- Gdzie one, biedactwa, tak się zapuściły? - zapytał, chwytając włosy w dłonie i oglądając porozdwajane końcówki.

- Daleko stąd - odpowiedziała.

- Daleko i dawno - skwitował i pokręcił głową.

- Miejsce i czas trwania misji nie zależą ode mnie. I tak musiałam chodzić w chuście - oznajmiła poważnym tonem. - Więcej nie mogę powiedzieć. To ci musi wystarczyć - dodała.

Osłupiały chłopak przyglądał się jej, niepewny, czy się przesłyszał, czy też klientka żartuje. Ale Joanna się nie uśmie-

chała.

- Więc że podcinamy, to jasne. Poważniejszy problem to koloryzacja. Ma to wyglądać tak. Jeśli upnę je w mocny kucyk - odciągnęła włosy znad czoła - to mają wyglądać na znacznie ciemniejsze niż wtedy, gdy je rozpuszczę i zrobię jakieś fale-srale - oznajmiła, rozrzucając palcami włosy na boki. - Wtedy mają wyglądać na jasne.

Nikita przez chwilę patrzył z wydętymi ustami.

- W takim razie proponuję dwa kolory. Ciemny i jasny blond. Nawet w trzech odcieniach. Z góry puścimy kilka jasnych pasemek, od spodu będą ciemniejsze. Nażelowane - odciągnął jej włosy z czoła - wydadzą się prawie czarne. A podcięte końcówki rozjaśnimy najbardziej. Uczesane na szczotki będą najjaśniejsze.

- Świetnie. - Kiwnęła głową.

- Całość cieniujemy... Jakies podgolenia z boków.

- Nie - zaprzeczyła kategorycznie. - Zbyt łatwe do zapamiętania.

- Aha - westchnął chłopak. - Tylko cieniujemy?

- Tak, na aniołki Charliego. - Puściła do niego oko. - Będę mogła czytać w trakcie? - zapytała, chowając laptop.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Jak tylko umyjemy i nałożymy odżywkę.

- Włosy są bardzo ważne - powiedziała do lustra, patrząc na łysego fryzjera, który przeglądał paletę kolorów. - Decydują o tym, jak ludzie nas kwalifikują, jak postrzegają i czy są mili.

Fryzjer ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Szkoda, że Justyna Lenart tego nie wiedziała... - dorzuciła.

- Kto?

Machnęła ręką.

- Nieważne. Nie żyje...

\*\*\*

Strona 173

- Co tym mi tu przynosisz? - zachnęła się prokurator Michalina Donaj, rzucając na biurko zdjęcie Justyny Lenart.

Błażej Białas podrapał się po rudym języku. Cieszył się na

myśl, że się z nią zobaczy, ale już od wejścia zrzędała mu mina. Michalina wyglądała, jakby była koszmarnie zajęta. Przerzucała kartki na biurku i prawie na niego nie patrzyła.

- Matka takie przyniosła - odpowiedział ze spuszczonym wzrokiem.

- No i co? W sukni ślubnej i z kwiatami we włosach ganiała po ulicach, jak znikła? To dzwonić po psychiatrykach! Zaraz się znajdzie! Nie macie aktualnego zdjęcia? - pastwiła się nad policjantem.

Błażej Białas wstał. I tak nie chciał tu dłużej zostać. Nie dość, że była zła jak osa, to jeszcze usiadła tak, że nijak nie mógł na nią popatrzeć. A już na pewno nie na to, na czym mu zależało.

- To ja idę - powiedział pospiesznie.

- I niech nie będzie w piżamie ani w karnawałowej masce... - burknęła pod nosem, nie patrząc na niego, tylko dalej wypełniając leżące na biurku papiery.

Kiedy wyszedł, prychnęła głośno, ale po chwili się zamyśliła. W sumie ten podofil, wielbiciel stóp, choć jedyny w zestawie, i tak był prawie najnormalniejszym z jej kochanków...

Błażej Białas jeszcze tego samego dnia zjawił się przed domem Lenartów. Postanowił jednak do niego nie wchodzić. Nie chciał spotkać matki Justyny, więc udał się prosto do firmy, która mieściła się po drugiej stronie ulicy.

Czekał w biurze Pawła Cisa, który go tam zostawił, a sam wyszedł poszukać jakiejś w miarę aktualnej fotografii. Policjant ocierał pot z czoła, bo żar kapał z nieba, i podziwiał porostawiane na półkach wzory bombek. Sanie, śnieg, śnieżynki, bałwany, renifery, srebrzone sopte lodu i pełno tego wszystkiego, na co dziwnie patrzyło się latem... Zastanawiał się, jak to jest mieć święta przez cały rok, ale nie myślał o tym zbyt długo, bo mąż Justyny wrócił po chwili, przynosząc kilka zdjęć.

- Tych teściowa nie pokazała? - zapytał, a policjant był w stanie tylko pokręcić głową, patrząc na postać, która, zdawało się, z Justyną Lenart nie miała nic wspólnego.

Wpatrywał się w te zdjęcia również na komendzie, pokazując je wszystkim policjantom.

- Ty, ona chyba ją połknęła.

- Ale czupiradło!

- Uciekła z chaty. Wróci, jak zrobi się zimno.

- Weź tu się ożeń.

Takie były najczęstsze komentarze.

I jak dziewczyna z kwiatkami we włosach wzruszała, budziła kłiwość, napędzała do działania, bo aż żal było pomyśleć, że mogłoby się jej stać coś niedobrego... tak na Justynę z nowszych zdjęć co drugi machnął ręką. Nie bardzo przypominała siebie z dawnych lat. Jakies dwadzieścia kilo cięższa. Długie włosy ścięte na postrzępionego jeża, uniesione na żel i do tego w rudoczerwonym kolorze. Zblazowana mina. W ustach kolczyk. Oczy wymalowane na czarno. Tatuaz w kształcie smoka na szyi. Łacińskie sentencje na przedramieniu. Przykrótki czarny podkoszulek, spod którego wyłaniała się gruba fałda brzucha. Opinające tyłek džinsy z dziurami i wielkie glany na nogach.

Kogoś takiego wszystkim odechciało się szukać, bo ktoś taki sam się znajduje. Zapał znikł. A mężowi zaczęto współczuć. Jakich pieniędzy trzeba, żeby... się z czymś takim pogodzić? - to było najłagodniejsze określenie.

Jedynie Michalina Donaj dobre dziesięć minut przyglądała się nowym zdjęciom i uśmiechała pod nosem. A ponieważ przy tym odchyliła się na krześle i tak rozprostowała nogi, że stopy wystawały za biurko, Błażej Białas patrzył jak zakłęty i nawet nie oddychał, żeby jej nie rozpraszać i nie zmuszać niechcący do zmiany pozycji. Chciał się napatrzeć.

- Przestań się gapić - odezwała się w końcu, odkładając zdjęcia na biurko. - Przychodzisz do mnie wieczorem. I zaczynasz... tradycyjnie od góry. Potem zatrzymujesz się gdzieś pośrodku... Okej?

Oslupiały policjant nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową.

- No to wiemy, co robić dalej... - oświadczyła z uśmiechem.

- Dalej się nie posunę - zapewnił, wstając.

- Do wieczora - ucieła rozbawiona.

Oblizując się tak, jakby zaschło mu w gardle, zrobił krok w kierunku wyjścia. Nagle przystanął i zaczął wodzić wzrokiem po podłodze. Przykląkł.

Michalina zastanawiała się, co upuścił, gdy poczuła usta na swojej kostce.

No, fajny jest - pomyślała.

Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanął Tomasz Przekora. Skrzywił się na widok policjanta podnoszącego się z klęczek.

- O, znalazłem - burknął chłopak pod nosem i zacerwienił się po same uszy.

Michalina ze śmiechem puściła oko do kolegi.

- Całe szczęście - warknął prokurator i ostentacyjnie odsunął się od drzwi, by policjant mógł wyjść.

- A, jeszcze jedno! - krzyknęła roześmiana Michalina do Błażeja Białasa. - Lenartom zakładamy podsłuch.

\*\*\*

„To ważne, jak się wygląda” - wystukała Joanna na klawiaturze, siedząc pod lampą i grzejąc włosy, by utrwalić kolor.

Fryzjer podszedł do niej, zajrzał pod plastikowy klosz i odwinął jedno z pasm, by sprawdzić, jak przebiega proces farbowania.

- Jeszcze piętnaście minut - powiedział, nachylając się nad nią, i wcisnął jej do ręki świstek z numerem telefonu.

- To nie ode mnie - szepnął do ucha.

- Jasne.

Godzinę wcześniej, gdy zostali sami w pomieszczeniu z wanienkami do mycia głowy, Joanna, poprawiając ręcznik owijający mokre włosy, spojrzała na chłopaka i powiedziała:

- Masz piękne oczy. Prawie czarne...

Fryzjer uśmiechnął się.

- ...od tych cudownych źrenic.

Kiedy to usłyszał, przestał się uśmiechać.

- Potrzebuję recept, nie żadnych niewiadomych prochów, tylko recept. Masz tu stówę napiwku z góry, bo wiem, że



będzie dobrze... - Zanurzyła rękę w reklamówce. - I jeszcze pięć stów za pomoc - dodała, wkładając mu banknoty do ręki. - Wiesz... stres pourazowy - wyjaśniła.

Wystraszony chłopak rozglądał się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi ani nie słyszy. Chwilę się zastanawiał, po czym schował pieniądze do kieszeni.

- Dziękuję, jesteś bardzo miły.

Powtórzyła to samo, gdy powiedział: „Gotowe” - i wyłączył suszarkę.

Joanna po raz kolejny spojrzała w lustro i potrzęsła głową. Było doskonale. Wiatr we włosach... tak jak chciała. Wywijają się, idealnie odsłaniały czoło i spływały po ramionach jaśniejszym odcieniem blondu. A gdy palcami odciągnęła je znad czoła, wyglądała prawie jak brunetka.

- Świetnie. Poproszę wszystkie kosmetyki, których użył mój fryzjer. Jest doskonały i zna się... na wielu sprawach - zaświergotała w kierunku recepcji, gdzie pojawiła się kobieta wyglądająca na szefową.

- Które? - zapytała rzeczowo, taksując Joannę wzrokiem z góry na dół.

- Może być cała półka, zaraz kupię walizkę... Zgubiono mój bagaż... Wie pani, te lotniska...

Szefowa nie posiadała się z radości, gdy nabijała kolejne produkty do rachunku. Cały czas kiwając z zadowoleniem głową, spoglądała w kierunku pracownika. Polecała też sklepy i salon kosmetyczny za rogiem... Trzeba wyjść z galerii, ale naprawdę warto... Mają fantastyczny zabieg na skórę... Zaraz tam zadzwoni.

Joanna kupiła wiele butelek, buteleczek i małych pojemniczków, a do tego dwa grzebienie fryzjerskie do tapirowania włosów - płaskie, gęste, z metalowym uchwytem w kształcie cienkiego, długiego, ostrego szpikulca.

Lekko przestraszony chłopak uspokoił się. Policjantka nie kupowała by jedwabnej mgły w płynie i ultralekkiego musu do układania włosów za dwieście siedemdziesiąt złotych.

Te grzebienie to na razie moja jedyna broń...

Słaba? Być może... Ale jedenaście centymetrów szpikulca... No... przy sprzyjających okolicznościach da się tym przebić.

Śmieszne? Też się śmieję, pakując go razem z lakierem do włosów do pięknej turkusowej torebeczki, a tę torebeczkę do czarnego plecaczka. Sporo kosztował. Cały ze skóry. Na oko niepozorny. Dwa mocne paski do noszenia na plecach, przyczepione oksydowanymi karabińczykami. Można je odpiąć, złączyć i owinać wokół czegoś. Wnętrze plecaka też pakowne, z piękną podszewką w kolorowe tureckie wzorki. Można go zasnurować, na przykład na czyjejs głowie...

Fantazjuję...

Najlepiej mieć broń bardziej dosłowną... jak nóż myśliwski... sztucer, dubeltówkę... Czyli wszystko, co było w domu Lenartów... i czym bawiła się mała Marietta. Znajdę ten kawałek, bo był wyjątkowo dowcipny...

Kupiłam też dużą walizkę na kółkach. Chciałam wściekle zieloną, ale nie powinnam tak rzucać się w oczy, jeszcze nie teraz. Nabyłam więc szarą - jakby ją położyć na chodniku, to można by się o nią potknąć... Nie podoba mi się, choć ma ładne suwaki.

Mam także już pięć sukienek. Jedną na sobie. Na ramiączkach, obcisłą na górze, z rozkloszowanym dołem. Przed kolana. W gęste niebieskie esy-floresy na białym tle. Wyglądam w niej uroczo. Jak miśnieńska filiżanka.

Do tego beżowe sandały ze szklanymi koralikami na kostce, takie lubię najbardziej.

W walizce mam też doskonałe szpilki. Obcas dziewięć centymetrów, na centymetrowej platformie. Lakierowane, w trzech kolorach. Czarnym, czerwonym i złotym. Nie mogłam się zdecydować, wzięłam jeszcze dwie pary bez palców. I trampki - czarne i czarne w kwiatki. Dwie pary czarnych dżinsów i pięć czarnych podkoszulków, piętnaście par majtek... Każde inne, brałam jak leciało - nie zamierzam prac.

Zgarnęłam z półki kilka flakonów perfum... Na noc, na dzień, na różne okoliczności. Ich odpowiedniki w postaci balsamów do ciała. Balsam z drobinkami złota. Balsam koloryzujący.

Balsam brązujący do twarzy, i nie tylko. Paletę cieni do oczu - trzydzieści dwa kolory. Podkład i bazę pod podkład, puder w kamieniu, puder sypki, puder transparency, róż do policzków, kredkę rozjaśniającą pod oczy, kredki do oczu - pięć, kredkę do brwi, trzy konturówki do ust, cztery szminki, dwa błyszczki, tusze do rzęs - zagęszczający, wydłużający, wodoodporny, i taki wszystko w jednym. Za- lotkę do ich podkreślenia. Dziesięć pędzli - do pudru, do podkładu, do cieni, do ust, do różu, do brwi. I masę innych rzeczy.

Skupiłam wokół siebie wszystkie sprzedawczynie... Dwie powiedziały, jak strasznie mi zazdroszczą.

- Musiałam zabić męża... żeby sobie na to pozwolić... - odparłam.

Wszystkie się śmiały.

Ja też. Bo bardzo sobie cenię czarny humor.

To wszystko, nie wliczając fryzjera, zajęło mi parę godzin, a to jeszcze nie koniec...

Po drugiej stronie ulicy jest salon kosmetyczny. Muszę drobnoziarnistym peelingiem złuszczyć naskórek, potem nawilżyć. Nałożyć maskę na twarz... odżywcza... Innych mam pod dostatkiem.

Wydepilować nogi... i resztę przede wszystkim...

To w sumie masa roboty. Ale warto...

Piękny = dobry...

Każdy oglądał bajki, każdy wrył to sobie w mózg, zanim zaczął mówić... a może jeszcze wcześniej...

Przynajmniej teraz, na początek. To wiele ułatwia.

Czekam więc, aż zmieni się światło na pasach. Nie będę przecież na zielonym przepychać się z tą walizką.

Miga żółte... Wchodzę. Nie przyspieszam kroku. Sprawdzam.

Zwalniają, zatrzymują się, nie trąbią...

Na kogo mają trąbić? Na uroczą filizankę w falującej sukience? Z długimi nogami, z rozwianym włosom... która słodko przeprasza, machając ręką... I ciągnie walizkę na kółkach...

Chodząca reklama podróży w marzenia...

Kilka uśmiechów... Rozczulam... to dobrze...

Salon piękny, tak samo jak fryzjerski.

Patrzę chwilę przez szybę.  
O, śliczna dziewczyna pod ścianą.  
Też patrzy na mnie... Spuszcza oczy... Chyba się nie mylę...  
Wchodzę... Może nawet fajnie będzie.

\*\*\*

Joanna stanęła w progu salonu kosmetycznego. Szefowa fryzjerów nie przesadzała. To było prawdziwe miejskie spa. Nie dochodziły odgłosy z ulicy. Szczelne okna i piękne bambusowe żaluzje. Z głośników sączyła się muzyka relaksacyjna - jakieś połączenie dzwonek z szumem wodospadu. Światło rozproszone jak o zachodzie słońca, choć na zewnątrz było jeszcze jasno, zapach magnolii w powietrzu. I śliczna dziewczyna przy dębowym kontuarze, która przywitała się skinieniem głowy i patrzyła z zaciekawieniem, jak Joanna wpycha walizkę do salonu, próbując ustawić ją pod ścianą.

- Mogę pomóc?

- A niech tu stoi - powiedziała Joanna, siadając na pluszowej amarantowej kanapie.

- Czy jest pani umówiona?

- Nie wiem. - Wyciągnęła z torby laptop i książkę. I tak nie zamierzała wyjść. - Jak masz na imię, śliczna dziewczyno? - zapytała, patrząc na jej firmowy uniform. Zobaczyła jedynie dziurki w miejscu, w którym powinien być identyfikator.

- E...la - wybąkała dziewczyna, spłoszona komplementem. - Pójdę po koleżankę - dodała pośpiesznie.

Po chwili wróciła w towarzystwie ładnej, naburmuszonej tlenionej blond panny, która doskonale udawała przemiałą.

- Dzień dobry pani. Jakie zabiegi panią interesują? Niestety, teraz wszystko jest zarezerwowane - powiedziała, nim zdążyła rozłożyć kalendarz, co zrobiła z niekłamaną przyjemnością. Widać było, jak uwielbia z wystudiowaną wyższością w głosie przekazywać złe nowiny. - Mogę panią zapisać... No, nie wiem na kiedy...

- Dlaczego się zająknęłaś, gdy się przedstawiałaś? - weszła jej w słowo Joanna, zwracając się do czarującej dziewczyny, której cały urok polegał na tym, że jeszcze ani ona sama, ani

reszta świata nie wiedziała, jaka jest piękna. Miała za jasne włosy zlewające się z twarzą. Za długą grzywkę. Spięte rysy. Częściej patrzyła na boki niż prosto w oczy rozmówcy.

Tleniona blondyna wyrwała się do odpowiedzi:

- Bo ona się wstydzi. - W jej głosie oprócz rozbawienia była też drwina.

- A więc... - zapytała jeszcze raz Joanna, lekko krzywiąc nos.

- Emanuela - znowu odpowiedziała niepytana dziewczyna.

- Wiedziałam - westchnęła Joanna. - Też ci zazdroszczę... wszystkiego - powiedziała, przenosząc wzrok z tandetnej blondynki na Emanuela, która zaczęła się czerwienić. - Możesz poprosić właścicielkę? - zwróciła się do dziewczyny, której wąskie usta ułożyły się w podkówkę.

Po chwili z zaplecza wyszła dystyngowana pani, która już słyszała od szefowej salonu fryzjerskiego, ile to nowa klientka potrafi wydać pieniędzy poza tym sama potrafiła oszacować wartość walizki, sukienki, butów.

- Ależ oczywiście - powiedziała. - Agnieszka zaraz się panią zajmie...

- Mogę prosić... - Joanna chwyciła właścicielkę za ramię, odciągając ją na bok. Nachyliła się nad jej głową i zaczęła szeptać do ucha: - Proszę mnie źle nie zrozumieć... Czekam już od dłuższego czasu. Obserwowałam dziewczyny... Nie zamierzam robić ambarasu, nie dziś. Ale ta Agnieszka, gdy myślała, że nikt nie patrzy, zaczęła dłużyć w nosie... Już nie chcę mówić co dalej... bo się trochę jednak brzydzę... To dziecinne, wiem... i głupio mi tak mówić - tłumaczyła osłupiałej kobiecie, która z wrazenia przestała oddychać. - Może mi się tylko wydawało, ale... rozumie pani, to trochę niehigieniczne... Może ta druga dziewczyna...

- Ale ona jest tu od niedawna... - właścicielka ledwo wypluła z siebie kilka słów.

- Nie jestem wymagająca. Przepraszam, Emanuło, czy potrafisz depilować woskiem?

Śliczna dziewczyna tylko kiwnęła głową.

- Więc natarcie ciała tymi niesamowitymi specyfikami, które tu widzę, pójdzie już z górki. Proszę się nie martwić - zwróciła

się Joanna do właścicielki. - Najpierw pocierpię... a potem zasnę. Ile trwa ten zabieg... relaks?

- Dziewięćdziesiąt minut.

- Idealnie. Byle nikt nam nie przeszkadzał...

- Dobrze. Proszę dać nam dziesięć minut. Elu...

- Ale ja nie wiedziałam, że ta pani jest umówiona... - próbowała się tłumaczyć zdezorientowana blondynka.

- Oczywiście, że nie wiedziałaś. Nie ma problemu - odpowiedziała jej uprzejmie Joanna, siadając wygodnie na pluszowej kanapie.

Z początku poczuła satysfakcję, ale już po chwili była zła na siebie i zażenowana całym tym zajściem. To było słabe, zbyt banalne i za proste, stać ją na więcej niż na taki przedszkolny żart. Skarciła siebie w duchu.

Poza tym ciągle jeszcze nie wiedziała, co powinna teraz zrobić i w jakiej kolejności. Przecież w końcu stąd wyjdzie... Plan to ważna rzecz. Improwizacja bywa dobra, ale tylko wtedy, gdy jest solidnie przygotowana. Poczuła złość na samą siebie. Miała ochotę kopnąć walizkę, ale w końcu postanowiła już o tym nie myśleć. O niczym już nie myśleć. Teraz, a tym bardziej za chwilę.

Wzdychając głęboko, wzięła książkę do ręki.

Muzyka znad wodospadu popłynęła gdzieś w stronę lasów tropikalnych.

Słysząc było głosy ptaków.

Idealnie - pomyślała Joanna i poszukała w książce fragmentu, który zaczynał się od słów: „Nafaszerowany śrutem bażant rozłożył w powietrzu skrzydła i runął na ziemię”.

\*\*\*

Strona 201

Rdzawozłote pióra leżały w trawie. Połyskiwała w słońcu metalicznozielonkawa głowa, którą kilka kulek śrutu prawie oderwało od szyi. Waclaw Lenart patrzył na martwego ptaka z przerażeniem, raz po raz rozglądając się dookoła. Ustrzelił bażanta, pięknego samca, i to w okresie godowym! Na szczęście był sam, bo nikt by nie uwierzył, że myśliwy z takim do-

świadczaniem pomylił bażanta z kaczką. On sam nie mógł w to uwierzyć. Nigdy nie kłusował i nigdy coś takiego mu się nie przydarzyło. Nie miał pojęcia, czy oślepiło go słońce, czy też to wina nerwów, które nie pozwalały mu spać od kilku tygodni.

Teraz nie wiedział, co zrobić. Wpisał odstrzał i ktoś mógł go usłyszeć. Martwego ptaka mógł ktoś znaleźć. Chciał wrócić do samochodu po łopatę, lecz zaraz uznał, że zachowuje się jak dziecko...

W końcu usiadł na trawie i znowu zaczął się zastanawiać. Już nie nad bażantem, ale nad tym, o czym myślał od dwóch tygodni.

Gdzie się podziała dubeltówka?

Policja sprawdzała jego broń. Liczba zgadzała się z wykazem. Wszystko było prawidłowo zamknięte w szafie pancерnej, do której tylko on miał klucze. I tylko on, patrząc na równy rząddek w szafie, wiedział, że jednej brakuje - tej, którą przywiózł z polowania sześć tygodni wcześniej - i nie mógł zrozumieć, co się stało.

Był z kolegami, jeden z nich bardzo chciał sprzedać tę dubeltówkę, a on chciał ją kupić. Była piękna. Długo się wahał, ale zakrapiana impreza po polowaniu sprzyjała podejmowaniu takich decyzji. Sam pił rzadko, najwyżej raz, dwa razy do roku. Łowy się udały, wszyscy byli w świetnych nastrojach. Kolega, z którym znał się dwadzieścia lat, powiedział: „Weź, przestrzelisz sobie, sprawdzisz, czy ci pasuje"... Nie powinien był tego robić, broń jest przypisana do myśliwego, ale przecież znali się od lat... bez żadnych problemów dopełniliby formalności.

Odwieziony do domu, wysiadł z samochodu i na chwiejnych nogach poszedł do zięcia. Z dwóch powodów. Chciał się pochwalić, ale przede wszystkim nie zamierzał wracać do żony, która potem wygadywała przez miesiąc, jakby upijał się codziennie. A że był w dobrym nastroju, udał się prosto do mieszkania córki, mając cichą nadzieję, że jej nie będzie, co zdarzało się dosyć często. Ale była. I strasznie kłóciła się z mężem. To go przygniotło, jak zwykle zresztą, i już nie pamiętał, czy próbował ich pogodzić, czy po prostu usiadł na kanapie i obudził się tam następnego dnia. Ze strasznym bólem

głowy. Zięć poszedł już do pracy, Marietta do szkoły, córki nie było, a dubeltówka stała w przedpokoju oparta o ścianę. Tak jak ją pewnie zostawił. Nie było to zbyt rozsądne, wiedział. Ale broń była zabezpieczona, a i z czasem wszyscy się do tego przyzwyczaili. Do wieczora ogarnął sytuację. Nowy nabytek znalazł się w szafie, zamknięty na klucz. Gdy więc powtórnie ją otworzył na polecenie policji, nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

Nie zdążył jeszcze zarejestrować broni. Nikomu dotąd o niej nie powiedział, zwłaszcza że jej oficjalny właściciel miałby wówczas nie mniejsze problemy.

Nieobecność córki się przeciągała i choć Paweł oświadczył, że z nią rozmawiał, także Wacławowi zaczęła się udzielać ogólna nerwowość, potęgowana z każdym przesłuchaniem. Miał wrażenie, że policjanci wcale nie szukają jego córki, tylko urządzają polowanie na członków rodziny.

Postanowił porozmawiać o tym z Pawłem. Nie wiedział jak, ale teraz, patrząc na ustrzelonego bażanta, który nie powinien tam leżeć, uznał, że musi to zrobić natychmiast.

W tym czasie Błażej Białas robił wszystko, żeby wyprowadzić z równowagi Zofię Lenart, prosząc ją o pokazywanie różnych rzeczy w różnych miejscach. A drugi policjant, który udając leniwego i ociągając się, chodził za nimi - umieszczał małe mikrofony w wybranych, strategicznych miejscach. Najbardziej zadowolony był z tego w kuchni...

\*\*\*

Teraz już to wszystko mnie nie interesuje. Nie ma szpitala. Nie ma Lenartów. Nie ma książki. Nie ma planu. Nic mi nie grozi.

Wszystko jest jak film, który rozwija się poza mną. Gdzieś tam.

Później stoczę bój.

Teraz patrzę tylko na rękę Emanuela...

Cóż... wszechświat mi sprzyja.



Szum jakiejś wody, może deszczu... Ciepło. Zapach magnolii i rozgrzanego wosku.

Punktowe światło tylko tam, gdzie powinno być. Reszta przygaszona.

Emanuela ma piękne, drobne dłonie, smukłe palce i krótko przycięte blad różowe paznokcie. I śliczne oczy, które patrzą spod spuszczonej powiek. Zawstydzam ją. Prawię jej komplementy... są prawdziwe, a ona nie wie, czy w nie uwierzyć...

Ale uśmiecha się, nakładając szpatułką gęstniejący brązowy płyn i rozsmarowując go na moich nogach. Posuwistym ruchem. Przykłada pasek materiału i odrywa. Szybko, sprawnie.

Siedzę na łóżku, wsparta na rękach, owinięta krótkim ręcznikiem.

Uśmiecham się, tylko dla zabawy od czasu do czasu lekko posyrując. Mam cienkie, delikatne włosy, łatwo się lepia i jeszcze łatwiej odrywają od skóry. Nie czuję bólu, a jeśli nawet trochę... to mi się on podoba.

A i ona jest już trochę śmielsza, przestaje się bać... to dobrze.

Kładę się. Teraz pacham.

- Duszno tu - mówię i zrzucam ręcznik. Mam na sobie tylko papierowe majtki.

I wyciągam ręce nad głowę.

Zamykam oczy. Nie patrzę. Oswajam ze sobą.

Czuję gorący wosk. I dreszcz, gdy odrywa się od skóry.

A może to nie dreszcz, tylko deszcz. W muzyce... Spadają krople. Jest ich coraz więcej. Robi się parno. Zaraz będzie tropikalna ulewa... Mam nadzieję, że potrwa...

- Tak. Tam też - mówię Emanueli, gdy kończy z nogami i pachami. - Wszystkie, wszędzie. Chcę być idealnie gładka...

Nie patrzę jej w oczy. Wiem, że się zlekła.

- Nie przeszkadza ci? - pytam i nie czekając na odpowiedź, rozrywam papier udający koronkowe majtki. Po co mnie przysłania? Ja się nie wstydzę.

Jest ostrożna, trochę speszona.

Taka uwięziona między kropką a przecinkiem.

Zapisuję w głowie to zdanie. Widzę je... Zaczynam widzieć więcej...

I nagle!

Już wiem, od czego zacznę i dokąd pójdę. Wiem już, gdzie jest początek układanki. Cały czas był przed moimi oczami. Jak mogłam tego nie zauważyć? No jak?!

Tryumfuję. Teraz już nie odpuszczę.

Na co czekasz, Emanuelo? To przecinek i kropka razem.

Odchyłam swobodnie nogę. Tworząc przestrzeń dla ciepłego wosku i rąk Emanuela.

Leżę i snuję w głowie plan, czując kleistą maź i palce naciągające moją skórę.

Szarpnięcie.

Włosy łonowe są mocniejsze, dłuższe, wiją się i nie poddają tak łatwo... Tym przyjemniej.

Najpierw od góry. Tak, tędy droga. Granica podbrzusza, potem głębiej. Wzdycham, rozchylając szerzej uda. Z jednej strony, potem z drugiej...

Nie patrzę. Czuję nieśmiałość palców, ale też ich ciekawość...

Długo to trwa... I dobrze... Bawi się każdym zakamarkiem...

Prawie słyszę, jak sama siebie przekonuje... że chce być tylko dokładna i precyzyjna...

Dotrzeć wszędzie...

- Gotowe - mówi.

Podnoszę się i patrzę w dół. Widzę zaczerwienioną skórę... Podrażnioną... Nie wiadomo od czego bardziej.

Emanuela trzyma w dłoni kojący żel. Zapach aloesu i mięty. Ochłodzi rozgrzaną skórę.

- Daj, ja to zrobię - mówię i siadam naprzeciwko niej. Z nagimi piersiami.

Sterczą.

Patrzę na nią, gdy na moją rękę spływa aloes z miętą.

- Co byś zrobiła, gdybyś się nie bała? - pytam nagle.

I patrzę w jej szeroko otwarte oczy. Błyszczą.

A ona nie wie, co powiedzieć.

W dźwiękach tropikalnej burzy słyszę jej oddech.

Jest wystraszona i chce zrobić krok w tył.

Uprzedzam ją.

- Poczekaj - mówię jej do ucha. - Nie ruszaj się - rozkazuję cicho.

Ona ani drgnie.

Wsuwam rękę pod jej fartuch. Od dołu. Wślizguję się, niczym wąż, pod majtki.

- Jaka piękna ulewa... - szepczę, całując pomiędzy słowami jej szyję. - Jak tu wilgotno...

Zamyka oczy.

Wygina kark.

Rozchyła usta - podziwiam ten cudowny widok.

Już jej tu nie ma. Jest w środku siebie. Tam, gdzie moje palce.

Później usta.

Jest teraz uległa. Robi, co zechcę. Więc biorę jej dłoń...

Też tu jestem...

\*\*\*

- Na Majową, pod piątkę - powiedziała Joanna do taksówkarza, który stał przy samochodzie.

Kierowca wziął od niej walizkę i zapakował do bagażnika.

Wsiadła. Na siedzeniu obok położyła zapisane drobnym pismem kartki i swoją książkę, po czym uruchomiła laptop. Kątem oka widziała stojącą w drzwiach salonu Emanuellę.

Nie zamierzała się odwracać. Już się z nią pożegnała. Właścicielce salonu oznajmiła, że jest doskonale zrelaksowana i że o to dokładnie jej chodziło.

Odjeżdżając, widziała rękę dziewczyny przytkniętą do szyby w drzwiach. Piękną dłoń ze smukłymi palcami... Ale nie miała już czasu na żadne gesty.

Była na siebie wściekła. Jak mogła od razu tego nie zauważyć? Każdy zostawia po sobie ślady. A ona miała je cały czas przed oczami...

- Na Majową pięć? - zapytał jeszcze taksówkarz, z wyglądu pocieszny starszy pan.

Nie pozwolił kobiecie dźwigać i trochę się zziąjał, podnosząc ciężką walizkę, która znowu przytyła od balsamów do ciała z drobinkami złota i drobinkami różnych innych rzeczy. Joanna

nie miała pojęcia, co w nich jest, nie skupiła się na kupowaniu, potraktowała je hurtowo.

- Majowa pięć - potwierdziła, zła, że przerywa jej pisanie.

- To trochę potrwa, bo są korki. Jak dziś jechałem tą trasą... - zaczął, zerkając do lusterka.

- Czyli trafi pan - burknęła Joanna.

- Tak... ale nie wiem, jak długo będziemy jechać, bo...

- Mam nadzieję, że dojedzie pan, zanim przesiąknę smrodem tej tapicerki - oświadczyła, rozglądając się. - A mam doskonale pachnącą skórę! - warknęła na zakończenie i zaczęła pisać.

Jak ja mogłam tego nie zauważyć? Każdy, kto dotknął mojej powieści, zostawił coś po sobie lub próbował zostawić. Redaktor, korektor i ci wszyscy, którzy mieszaają w tekście, zamiast poprawiać błędy ortograficzne i interpunkcyjne i na tym się skupić...!

Zawsze tak mówiła, a teraz sama przeoczyła leżącą przed nią podpowiedź. Za bardzo szukała zmian - nazwisk na prawdziwe, faktów w rodzaju liczby pięter wieżowca i podobnych przypadków. Zastanawiała się, kto to zrobił i jak do niego dotrzeć. A podpowiedź była w *Przygodach gwiazdnego detektywa...* Prawie na każdej stronie, po kilka razy...

*Kapitan Hikikomori czuł potworne zmęczenie; bał się, że nie będzie miał siły patrzeć w betateleskop i dostrzec zabójcy wychodzącego ze szklanego biurowca w mrok. Musiał być na tej planecie, dokładnie tak oddalonej od Słońca, by odebrać obraz z Ziemi, który dotarł tu teraz. A powstał osiem lat temu. Ale na tej planecie nie było powietrza, odpowiedniej grawitacji; widzialność zakłócały pyły gwiazdne*

Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?

Wzięła swoją książkę do ręki i zaczęła czytać.

\*\*\*

Strona 207

Prokurator Michalina Donaj patrzyła na podkomisarza Błażeja Białasa, który wszedł do jej gabinetu. Nie pamiętała, by był tak radosny i uśmiechnięty. Zastanawiała się, czy to na jej widok, czy może ma coś ciekawego do powiedzenia.

- Nie wyobrażasz sobie, cośmy podsłuchali! - oświadczył, śmiejąc się od ucha do ucha.

A więc to nie o mnie chodzi - jęknęła w duchu.

- Lenartom zginęła jedna dubeltówka - oświadczył z dumą w głosie.

- Wcześniej nie sprawdziliście? - zapytała z naburmuszoną miną.

- Sprawdziliśmy. Te, które należały do Waclawa Lenarta, były zgodnie z prawem zamknięte w szafie pancерnej. Ale... - zawiesił głos, by nadać rangę temu, co powie za chwilę.

- Ale co? - zapytała znudzona Michalina.

- Ale tego wieczoru, gdy Justyna była widziana w domu ostatni raz... dziadek przywiózł z polowania broń należącą do kolegi.

- No to kolega ma kłopot - skwitowała, wzruszając ramionami.

- Ma. Tyle że ta broń zniknęła! I o nią właśnie Waclaw Lenart pytał zięcia. A ten powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie ona jest. No i zapanował rozłam w rodzinie... Już nie tylko my się zastanawiamy, skąd ta krew. Ojciec Justyny też o to pytał. Więc była krew i nie ma broni.

- I z czego ty się tak cieszysz? Ze dziewczyna nie żyje? - zapytała Michalina, zirytowana entuzjazmem policjanta, który ni słowem nie odniósł się do ich wcześniejszej nocy... A było do czego, przynajmniej tak myślała.

- No nie... - Błażej Białas nijak nie mógł zrozumieć, dlaczego nie jest dumna z postępów w śledztwie.

- Więc z czego?

- Ten mąż mógł ją zabić.

- To znajdź ciało.

- Może znajde...

- A jak znajdziesz ją nafaszerowaną śrutem, to i tak nigdy nie udowodnisz, że ten śrut pochodzi akurat z tej broni! Kulki to kulki, mogły być wystrzelone z czegokolwiek! Papierologia, ekspertyzy, sryzy... Myśliwego ukarzą grzywną... Poza tym tam były tylko śladowe ilości tej krwi, a gdyby strzelił w domu, to potrzebowałby wiadra na szczątki. Z przodu mała dziurka, a z

tyłu krater jak po meteorycie...

Błażej Białas drapał się po rudym języku, patrząc na Michalinę, która z coraz większą wściekłością wypluwała z siebie kolejne zdania, i nie rozumiał, do czego ta rozmowa może prowadzić. Zaczął się niepokoić.

- Zresztą co mnie to obchodzi! - Zamaszystym gestem odsunęła akta leżące przed nią na biurku. - I tak ja się tym zajmować już nie będę. Ktoś to po mnie weźmie. Nie moje mały, nie mój cyrk; ktoś inny ogarnie tę kuwetę... Ktoś inny...

\*\*\*

Joanna patrzyła na ostatnią linijkę.

- Pieprzony średnik! - zaklęła pod nosem kolejny raz z rzędu.

Taksówkarz, nie bacząc na zakaz, wjechał na chodnik, znowu zerknął ukradkiem w lusterko i lekko wystrasżonym głosem zakomunikował:

- Dojechaliśmy. Majowa. Tam jest piątka - dodał szybko, wskazując palcem, i odetchnął z ulgą, że to wreszcie koniec kursu i że już się rozstaje z tą szurniętą klientką.

Czym prędzej wysiadł, żeby otworzyć bagażnik. A Joanna dalej siedziała i pisała, z szaleńczą wściekłością uderzając palcami w klawiaturę. Miała zadowoloną minę.

\*\*\*

Wyobrażam sobie, że ma włosy związane gumką. I że złapię za ten kucyk, pociągnę i z radością skieruję na najbliższą ścianę.

A czuję, że mam siłę. I muszę ją gdzieś rozładować.

Jestem wściekła na siebie, więc padnie na niego!

I dobrze.

Jak ja mogłam nie zauważyć wcześniej!

Jak bardzo mnie zmulili, że nie zobaczyłam tego średnika!

No przecież wali po oczach! Kto tego używa?

Dzieciaki do wysyłania buziek w esemesach; informatycy do programowania; pedanci do przypisów, których nikt nie czyta - ale przecież nikt, kto pisze!

Toż trzeba myśleć, jak to wstawić! Gdzie? Kiedy? W jakim celu?

Ja żadnych średników nie używałam! Niby mocniejsze od przecinka, a słabsze od kropki.

To jakby grać w szachy, a nie pisać!

Ja lubię wykrzykniki, wielokropki, znaki zapytania, bo mocne są. Przecinków nie szanuję. Ja się zatrzymuję, gdzie chcę, zwalniam, kiedy chcę. W głębokim poważaniu mam zasady...

Ja tworzę nowe światy! Nowe historie! Daję życie ludziom i sens wydarzeniom.

A naiwny chłopiec średnikami ozdobił mój tekst! Bez pytania!

Pieprzony sługa kropek i przecinków.

Porozmawiamy... sobie.

Stoję przed blokiem z lat pięćdziesiątych. Policzyłam numery na domofonie. To drugie piętro.

Jest u siebie. Pali się światło. Małe. Nad jakimś biurkiem.

Idę do ciebie, kapitanie Hikikomori...

Hikikomori, też sobie wymyślił... Ukryty w zamku... jakoś tak. Japońska nazwa fobii społecznej. Zamknięty, wycofany, chowający się w domu z lęku przed ludźmi i światem...

Ale ty już dwa razy wyszedłeś... Coś ci kazało? Czy ktoś kazał?!

Porozmawiamy sobie.

Ale nie bój się. Utulę cię. Uczulę cię...

Tylko umaluję usta.

\*\*\*

Joanna z hukiem tarabaniła się po schodach. Wielka walizka obijała się o każdy stopień, zahaczając kółeczkami o progi. Już na półpiętrze usłyszała, jak otwierają się drzwi, zza których wygląda babcia w fartuchu i grubych skarpetach, a u jej nóg stoi mały piesek, z pyska przypominający szczura. Rozszczękał się ze strachu. Kobieta patrzyła ze zdziwieniem i z lekkim niepokojem, ale z ciekawości nie była w stanie zamknąć drzwi.

- Dzień dobry - przywitała się Joanna. - Nie bój się, piesku - powiedziała, gdy była już bardzo blisko uchylonych drzwi, a kobieta nie wydała z siebie żadnego dźwięku. - Nie do ciebie idę, tylko do kochanka. Piętro wyżej. - Wskazała palcem w górę i drzwi szybko się zamknęły. Pies ujadął wściekle i miała wrażenie, że ochrypl, nim dotarła na miejsce.

Sama też się zziąwała. Chwilę stała, nim nacisnęła dzwonek. Blok był zapuszczony, na pewno pełen starych ludzi, którym nie w głowie remonty, ale te drzwi, przed którymi się zatrzymała, były najbardziej odrapane ze wszystkich, a futryna odchodziła od ściany. Dzwonek też nie działał. Ustawiła się więc dokładnie naprzeciwko judasza i zaczęła pukać, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z wnętrza.

Dobrze, że się skupiła, bo dźwięk kroków był ledwo dosłyszalny. Ciężko w wizjerze - przez ułamek sekundy. Zapukała jeszcze raz. Cisza po drugiej stronie. Stał. Na wypadek gdyby nie chciał otworzyć, miała w głowie kilka wariantów. W grę wchodziło walenie pięścią, kopanie, wrzask na całą klatkę... ale ten repertuar zostawiła na koniec. Przysunęła się do drzwi i powiedziała:

- Świetne opowiadanie napisałeś! Naprawdę! Bardzo mi się podobało. Mam kilka uwag. Wsunę ci rękopis pod drzwi.

Kucnęła i w szczelinę nad podłogą zaczęła wpychać wyjęte z plecaka kartki. Wsunęła tylko kilka centymetrów, tak żeby było widać zapisane linijki, po czym szybko zabrała je z powrotem.

- A właściwie nie... - powiedziała głośno. - Skoro teraz nie chcesz ze mną rozmawiać... to idę. - Starła się mieć jak najbardziej urażony głos. Foch: dziesięć. - Trudno! - krzyknęła w stronę drzwi i zniknęła z pola widzenia judasza.

Zacząła szurać w miejscu walizką, tak żeby było słychać obracające się kółeczka. Sama nie zrobiła ani kroku. Byłoby to dosyć dziwne, gdyby nie chciał odzyskać dopiero co pochwalonego oryginału, zwłaszcza że pewnie nie miał kopii.

Nie myliła się. Po kilku sekundach rozległ się szcęk otwieranego zamka. Najpierw górnego, potem dolnego. Drzwi ledwie się uchyliły, na szerokość szpary, w którą można by wcisnąć kartki. Ale Joanna tylko na to czekała. Jednocześnie całym ciałem popchnęła drzwi i w powstałą lukę włożyła kolano. Dziesięć centymetrów wystarczyło jej, żeby barkiem znaleźć się w środku. Teraz Marek Rybik, w którego przestraszone oczy patrzyła, musiałby ją zmiażdżyć. Tyle jednak siły nie miał ani w mięśniach, ani w głowie. Poddał się szybko i wycofał w głąb ciemnego korytarza. Joanna otworzyła



drzwi na oścież i wjechała walizką do środka. Następnie przeciągnęła ją przez cały korytarz, mijając małą łazienkę.

Znalazła się w pokoju z wnęką kuchenną i rozejrzała dookoła. Innych drzwi nie było. Postawiła walizkę na samym środku.

- Lepiej się do mnie przyzwyczaj - oświadczyła chłopakowi, który ciągle stał w korytarzu, wybałuszając oczy.

Uśmiechnęła się szeroko. Podeszła do okna, które otworzyła na oścież, odgarniając grube, zakurzone zasłony. Potem do kwadratowego stolika przy kanapie. Zamaszystym gestem zrzuciła na podłogę kilkanaście puszek po napojach energetycznych i postawiła na nim wyjętą z plecaka butelkę wina.

- Bo szybko się mnie nie pozbędziesz - dodała, rozgarniając stertę gazet na stojącej obok kanapie.

Teraz już miała gdzie się rozsiaść.

\*\*\*

Nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie opisać.

Chłopiec o naiwnej urodzie siedzi teraz w wannie, więc mam czas.

A muszę poświęcić mu znacznie więcej uwagi, niż planowałam wcześniej.

Pojawił się przecież na początku tej historii. Jest teraz w jej środku (kąpie się, potwornie zdenerwowany). Przeczucie mi mówi, że wyląduje też na końcu... Czy miękko? To się okaże...

Przeczucie rzadko mnie myli.

Na pewno nie wtedy, gdy moje palce jak oszalałe biegają po klawiaturze. Nie wtedy, gdy mój mózg jest rozgrzany prawie do czerwoności. A będzie jeszcze lepiej... Wiem przecież, co mi służy.

Zadzwoiłam z telefonu Marka. Po recepty. Tak będzie bezpieczniej.

A teraz opiszę to, co widzę. Mieszkanie przecież świadczy o człowieku.

Ja mam dwa. Przaśny dom z bali nad Bugiem i sterylną nowoczesność w miejskim apartamencie. Ale tam nie zamierzam się teraz pojawić. Ani w jednym miejscu, ani w drugim.

Bo nie!

Jestem tu, w kawalerce po babci Marka. Sporo tu po niej. Stojak na gazety z plastikowych sznurków. Lampa z laminowaną na wysoki połysk półką - z tym że laminat prawie już odpadł, widać płytę wiórową. Zasłonki, wzór z minisukienki Brigitte Bardot. Szafki w kuchni oblepione okleiną - jasna sosna. Nawet ciekawie wyglądają: każde drzwiczki obwisły na swój sposób, tworząc interesującą, zygzakowaną linię. W wannie też chyba babcia się kąpała, sądząc po rurach pomalowanych sraczkową olejnica.

Do Marka należy reszta rzeczy. Są wszędzie. Stosy książek, na półce pod sufit. Zresztą interesująca półka. Dwie cegły, deska, po cztery cegły i znowu deska... i tak do samej góry... i roi się od kolorowych grzbietów. Od Karola Maya, przez Kerouaca, *Zwierzzenia kłowna*, *Album ptaków śpiewających*, *Album Wszechświata* do... *Topielicy* Grzegorzewskiej. Antykwariat.

Wszystko tu jest. Moje też. Chwali się! Choć skoro czytał, to powinien wiedzieć, że średników nie stawiam!

Pełno tu tych książek, są też na podłodze. Piętrzą się kupkami, niektóre stosy sięgają prawie pod sufit. Wszędzie walają się plastikowe butelki, puszki po energetykach, pudełka po pizzy i kubki po zapach...

Nie za dobrze się chłopak odżywia.

Zresztą tak samo, jak ubiera. Ma małą szafę. Już tam zajął. Dramat... Choć muszę przyznać, do mnie przyszedł odświętnie ubrany... To były najlepsze dzinsy.

Teraz przywitał mnie w krótkich spodenkach, kolor sele-dynowy (chyba znalazł je na śmietniku), i podziurawionej koszulce z Kurtem Cobainem. Nawet jeśli za nim przepada, to nie pójdzie w jego ślady i nie strzeli sobie w łeb w wieku dwudziestu sześciu lat. Jest już trochę starszy. To dobrze. Różnica między nami, która mi wcale nie przeszkadza, to dwanaście lat.

Nawet idealnie. Ten sam znak w chińskim horoskopie. Pasujemy więc do siebie.

A ja potrzebuję chłopca. Nie tylko na posyłki.

Spodenki ze śmietnika są cienkie. Widzę to. Raczej się nie

rozczaruję.

Lubię nieśmiałych, dlatego kazałam mu się wykapać i ogolić.

On jeszcze nie wie po co.

Ale ja wiem i nie pozwolę, żeby podrażnił moją skórę. Tą, pozał się Boże, brodą.

Wiem, że się boi. Bój się!

Po twojej głowie się przejdę, po twoich myślach rozejrzę!

A tymczasem zapiszę to, czego już się dowiedziałam... To też musi zostać opisane!

Zbieram dowody na to, że nie oszalałam. Jeśli zginę, zaginę - psy mnie zeżrą, robaki zjedzą, glisty przeżują.

Nic po mnie nie pozostanie... Tylko to.

Pisz, dziewczyno! Pisz!

\*\*\*

- Od jak dawna nie wychodzisz z domu, Hikikomori? - zapytała Joanna, ściągając buty i kładąc nogi na kanapie. Stopy położyła na cienkich książeczkach z japońskimi komiksami.

- Nie mów tak. - Marek Rybik trzymał w rękach dwa różne kieliszki do wina, z czego jeden oszczerbiony.

- O! Czyżbym dotarła do źródła inspiracji? - zapytała i pocierając stopą kartki komiksu, odgięła stronę z kolorowymi obrazkami. - Świetnie było ukryte, to fakt. - Zaśmiała się. - Dobra ta manga, znam ją. O jednym takim, co nie wychodzi z domu...

- Ja wychodzę. - Postawił kieliszki na stoliku, obok butelki.

- Tyle wiem. Dałeś mi siebie poznać. Ale kiedy ostatnio wyszedłeś...

Chłopak otworzył usta, by coś powiedzieć.

- ...dwa dni z rzędu... - sprecyzowała Joanna.

Zamyślił się.

- ...i nie nocą? - dokończyła pytanie.

Opuścił głowę.

- Nie mam korkociągu - zakomunikował, nie patrząc jej w oczy.

- Zamów przez internet. Wiem. - Uśmiechnęła się. - Za długo

by to trwało... Wydrukuj, będzie szybciej. - Wzruszyła ramionami i znów zaczęła się bawić, próbując przekręcać stopami kolejne kartki japońskiego komiksu.

Marek Rybik cofnął się do kuchni i wyjął nóż z szuflady

- Oceniam to na jakieś pół roku... - zaczęła. - Twoi idole nie wychodzą z mieszkania po kilka lat. Ale wtedy ma się już swój dorobek... Plastiki, opakowania, puszki i cała reszta jednorazówek sięga biurka z komputerem, ba, za monitorem piętrzy się malownicza górnica, bo tam najłatwiej rzucić pustą śmieć, nie biorąc zbyt dużego rozmachu... po co tracić cenną energię? Poza tym trzeba odgarniać legowisko, żeby się położyć... a wokół jest już cudowna polimerowa zaporą... To dopiero spektakularne! Tym się można pochwalić w internecie... Ale ty nie przykryłeś jeszcze podłogi... - kontynuowała śpiewnym głosem/podczas gdy chłopak stał do niej plecami i mocował się z korkiem, wpychając go nożem do środka. - Nawet w połowie... Cóż, z dużych plastików najlepiej się buduje. Zresztą niepotrzebnie rozgniatasz puszki... Marnotrawstwo surowca. Dłużej to potrwa... Z ciebie jest zwykła mała rybka. Rybik, a nie Hikikomori...

Odwrócił się, z nożem i butelką w ręce.

Był wściekły, jak wściekły może być człowiek z nożem stołowym w ręce. Tylko widelca brakuje do kompletu i talerza. Zabawny widok. Zresztą prawdziwa wściekłość w nim buzowała, dopóki miał przed oczami szafki kuchenne. Gdy się odwrócił - zniknęła. Jakby jej nigdy nie było. Zapatrzył się. Bo widok miał niecodzienny.

Joanna. Na wyświechtanej burej kanapie, z przechyloną na bok głową, odgarniając rękami falujące jasne włosy z czoła i szyi, w intensywnie kolorowej krótkiej sukience, która zdążyła już odsłonić uda. I prawie pośladek. Z jedną nogą zgiętą, drugą wyprostowaną, za to z obciążniętymi palcami stóp przewracającymi kartki...

Wiedziała, jak na nią patrzy... Jakby była z innej planety albo przed chwilą wyszła z komputera, przecież to się zdarza na filmach. Mogą być prawdziwe...

- Powiem ci coś jeszcze. - Oparła łokieć na zagłówek i

zgiętymi palcami dotknęła policzka. - Gdyby tylko chciało mi się wstać... i podejść do tego komputera...

Spojrzał na nią z przerażeniem, potem na monitor, ale Joanna przekreśliła się na bok, wyprostowała nogi, które teraz leżały jedna na drugiej. Na całej długości kanapy. Westchnęła, przeciągając się.

- ...to powiedziałałabym ci z dokładnością co do minuty, od kiedy nie wychodzisz z domu... jak normalny człowiek. Cokolwiek znaczy „normalny”. Ja zaokrąglę to do miesiący. Obstawiam sześć. Mniej więcej wtedy dostałeś mejla z załącznikiem... - powiedziała, owijając pasmo włosów wokół palca. - Jeśli się mylę, to możesz dalej stać jak słup soli... Jeśli nie, to usiądź, bo się zmęczysz. - Uśmiechnęła się do niego dobrotliwie.

Chłopak już całkiem nie wiedział, co ma robić. Stanie pośrodku wnęki kuchennej, z butelką i nożem z zastawy w ręce, było rzeczywiście głupie. Usiąść teraz, po tym, co powiedziała - również.

- Siadaj, chłopaku! - rozkazała.

Marek Rybik opadł na fotel przed biurkiem, zasłaniając plecami monitor komputera.

- Przecież mówiłam, że nie chce mi się tam zaglądać... Nie będę szukać adresu mejlowego, bo skrzynka, z której przyszło zlecenie, pewnie już nie działa. - Widząc, jak szeroko otwierają się jego ładne, naiwne oczy, miała chęć się roześmiać, ale się powstrzymała. Wystarczyło, że zgadła. - A więc dostałeś zlecenie. Nawet przyzwolicie chcieli zapłacić. Korekta. Książka była w załączniku. Nie było tam mojego nazwiska, tylko jakieś niczyje... Kolejny grafoman, co chce być pisarzem, pomyślałeś na początku... Pieniądze przyszły pocztą albo kurierem, bo nie przekazem. Nie ma śladów, prawda? - zapytała, a chłopak tylko spuścił oczy. - Poczytałeś, masa ortografów... Wybacz... nie panuję nad tym. Ale czytałeś z wypiekami na twarzy. To było trochę lepsze od tego, co poprawiałeś wcześniej... Mam rację?

Chłopak odwrócił głowę i to się Joannie nie spodobało.

Usiadła, zakładając nogę na nogę.

- Należy tego wina - powiedziała poważnym głosem. - Schleb mi jakoś. - Rozłożyła ręce. - Jestem próżna. Czekałam na komplement. Jestem w końcu pisarką. To moja pierwsza książka. Domyślasz się, co to znaczy? Taka zła była? Taka jak wszystko, co do tej pory poprawiałeś? - zapytała już prawie płaczącym głosem i opuściła głowę, chowając twarz w dłoniach.

- Nie. Była znacznie lepsza... - odpowiedział cicho.

Joanna wyprostowała się i uniosła wysoko podbródek.

Tak lepiej - pomyślała.

- No to przyznanie się do winy mamy już z głowy - oświadczyła radosnym tonem. - Teraz pójdzie już gładko. - Wstała i wzięła do ręki oba kieliszki. - Nalewaj. Mamy co uczcić. W końcu to nasze wspólne dzieło! - zakończyła, podsuwając mu szkło prawie pod nos. - Większy dla mnie. - Wskazała na kieliszek. - Mimo wszystko bardziej się napracowałam.

Oniemiały Marek Rybik wziął butelkę i zaczął nalewać wino, gdy leżący na biurku telefon zawibrował. Joanna szybko odstawiła swój kieliszek i wzięła aparat.

- To do mnie. Mówiłam ci, że czekam. - Odebrała. - Tak... już schodzę... - Zwróciła się do Marka: - Teraz wyjdę na spacer z psem, a ty umyj wannę i sam też się wykup. - Przyglądała sukienkę i przegarnęła palcami włosy.

Chłopak siedział z kieliszkiem w ręce na obrotowym fotelu przy biurku i tylko patrzył bezrozumnym wzrokiem.

Joanna podeszła i kucnęła przed nim, żeby mógł spojrzeć jej prosto w oczy lub czytać z ust.

- Mamy jeszcze wiele do przegadania. Przed nami cała noc. Potem... będę musiała skorzystać z łazienki, zakładam, że wannie przyda się lekkie szorowanie... Jeśli pamiętasz, w szpitalu byłam w raczej sterylnych warunkach, więc tu jestem narażona na różne infekcje, nie będę ci wyjaśniać, bo to kobiece sprawy. - Z uśmiechem przymknęła oczy. - Leki antydepresyjne działają, ale ich skutkiem ubocznym jest nadwrażliwość węchu. Jest upał, a ty nie myślisz się... od rana - skłamała, bo stawiała na co najmniej dwa dni, ale nie chciała

go zawstydząć bez potrzeby. - Więc... mógłbyś? Proszę... - jęknęła.

Chłopak kiwnął głową.

- Świetnie! - Wyprostowała się. - Zaraz wracam - dodała, wkładając buty.

- Ale tu nie ma psa... - odezwał się półprzytomnym głosem, gdy była już w drzwiach.

- Nie martw się, pożyczę od sąsiadki. - Roześmiała się. - Zaraz wracam - powtórzyła. - Nie zamykaj drzwi. - Błagalnie złożyła ręce. - Proszę. Bo będę musiała je wyważyć.

Odwróciła się i wyszła.

\*\*\*

Na dole, prawie pod drzwiami, czekał już na mnie malutki smarcik.

A w nim...

Prawdziwa księżniczka Tranxene.

Urocza, młodziutka, przesłodka. Podziwiała moją sukienkę. I z aptekarską dokładnością zapisywała to, czego aktualnie potrzebuję.

Mało tego... Gdy zapytałam, czy nie ma jakiejś doraźnej pomocy... z czarującym uśmiechem położyła na kolanach wielką złotą torebkę. Pociągnęła za zawieszkę przy suwaku, taką w kształcie złączonych liter. Przypuszczam, że zachwycałam się doskonałą imitacją oryginału. A jeszcze bardziej tym, co dojrzałam w jej wnętrzu... Same sreberka, już bez opakowań. W wątlwym świetle samochodowej lampki lśniły bądź wesoło połyskiwały. Przynajmniej te zamknięte w przezroczystej, laminowanej formie. Różowe, żółte, owalne, nawet prawie kwadratowe! Piękne koraliki. Najwięcej niebieskich.

Nie pytałam, skąd księżniczka ma takie skarby... Apteka babci, recepty kradzione z gabinetu ojca, systematyczne wizyty u kilkunastu psychiatrów niewiedzących o sobie nawzajem... może nawet praktyka na szpitalnym oddziale... A może wyłącznie internet?

Nie obchodziło mnie to.

Dysponowała bowiem doskonałą wiedzą. Zaimponowała mi.

A ja szanuję fachowców. Chyba się zaprzyjaźnimy. Choć specjalizuje się w lekach na potencję, sterydach i odchudzaniu...

- Ach, świat się kręci wokół seksu - podsumowuję radośnie. I dorzucam: - Nie masz jeszcze czegoś przeciwłkowe- go? Dla nerda sprzed komputera - wyjaśniam, bo przecież nie o mnie chodzi. To widać!

O szybkim działaniu... Ale niech nie zmula... Bo to prymitywne przecież.

Obie jednocześnie skrzywiłyśmy się z niesmakiem...

Coś miała. Zachwaliła... Skorzystałam... Kupiłam...

- A z alko? - zapytałam, żegnając się serdecznie do następnego razu. - Niech mi chłopak nie zaśnie... - rozśmieszyla ją jeszcze na koniec.

- Nic mu nie będzie, moc większa. - Puściła oko, przymkając powiekę ozdobioną cudownie sztucznymi rzęsami.

Rozpuszczam więc teraz ten groszek malutki w mniejszym kieliszku wina. Dorzucę jeszcze jeden od siebie. Syntetyczny smakołyk... Mniam.

I tworzę nastrój.

\*\*\*

Usatysfakcjonowana, wsłuchiwała się w płynące z łazienki odgłosy Szum wody lejącej się, pluskającej i ściekającej rurami ucichł na dobre. Długo to wszystko trwało, co przyjęła za dobry znak. Świadczyło nie tylko o strachu, ale i o mentalności nastolatka. Poza tym miała wystarczająco dużo czasu, żeby się przygotować.

Pogasiła światła, zostawiła tylko lampkę ze starym złotym abażurem. Aby ją uruchomić, musiała wykręcić żarówkę z wiekowej lampy na oknie, która składała się tylko z drąga i tej właśnie żarówki. Ale jakiej żarówki! Prawdziwej, z miękkim, pięknym światłem wolframu, co się żarzy, a nie świeci na trupio, trupią zawartością. Materiał abażuru wypłowił, ale doskonale odgrywał swoją rolę, zatrzymując piękne światło i roznosząc po mieszkaniu przyjemnie ciepłą poświatę.

Babcie wiedziały, w jakim świetle należy się prezentować -



pomyślała, patrząc na kolor swojej skóry.

Otworzyła jeszcze szafę, potem pawlacz. I znalazła to, co chciała. Może nie do końca, bo była to stara pościel w różowe miśki z koszykami w łapach, wyprasowana kilka lat wcześniej. Rozłożona na kanapie wyglądała raczej średnio. Ale i tak było to lepsze niż stara, prująca się tapicerka.

Po mieszkaniu rozszedł się zapach środka na mole. Co za-inspirowało Joannę muzycznie. Podeszła do komputera i odszukała kawałek - *Paradichlorobenzene* śpiewany przez Kagamine Len. Ciekawy głos - sztucznie wygenerowany przez jakiś japoński syntezator. Wybrała najpopularniejsze waria- qe z kreskówkową wokalistką w tle. Dołożyła jeszcze kilka innych jej kawałków: *Psychotic Len's Love Song*, *Lambda Organ*, *Sentimental Android*, *Super Hero*, i Izabelę Trojanowską, bo pasowała wizualnie do reszty. Rozbawiło ją to, bo szalenie poważała Japończyków za wysoki poziom ześwirowania, a Izabelę za oczy i strój jak z mangi. Poza tym pomyślała, że w wirtualnym, sztucznym świecie muzycznym Marek Rybik będzie czuł się jak u siebie. Zresztą ludzi musi coś łączyć...

Zacznę od upodobań muzycznych... - pomyślała. O książkach później... Właściwie o jednej - zachnęła się, bo o reszcie nie zamierzała rozmawiać. Ewentualnie o erotycznych komiksach, które leżały na biurku, przykryte pudełkiem po pizzy. Japońskie dominy w lateksie... Ileż musiało się ich przewinać przez ten pokój! Roześmiała się i z kieliszkiem w ręce usiadła na kanapie. Miała na sobie tylko długi podkoszulek z bohaterką jakiejś mangi, której nie znała. I nic więcej. Majtki wyrzuciła do kosza.

Oparła się wygodnie, nogi położyła na stojącej obok walizce, obciągnęła materiał tak, by nie było widać, czy ma coś pod spodem, czy nie. I czekała.

Marek Rybik wyszedł z łazienki. Zatrzymał się w korytarzu. Jeszcze jej nie widział, a już był zdziwiony. Czowała to. Wiedziała, że patrzy na lampkę, która przecież nie działała, na płachtę pościeli, o której istnieniu zapomniał, i na postacię migające na ekranie komputera.

- Nalej mi wina - powiedziała Joanna, unosząc kieliszek.

Podszedł do stolika, potem odwrócił się i zamarł, patrząc na nią.

A jeszcze nie ma powodu - pomyślała.

- Weź swój kieliszek - rozkazała, delektując się jego wyrazem twarzy. A i widokiem, który miała przed sobą. Spodenki były te same, ale chyba koszulki mu się skończyły, bo żadnej nie miał na sobie. I krople z wilgotnych włosów ściekały mu po ramionach. Poza tym się ogolił. Goła broda wyglądała znacznie lepiej. Był szczupły, ale proporcjonalnie zbudowany.

Się marnuje w ukryciu - pomyślała i miała ochotę się oblizać, ale powstrzymała język. Tylko sobie patrzyła. Chwilę trwało, nim chłopak wykonał polecenie i podszedł z butelką. Nachyliła się w jego kierunku, a on zaczął ostrożnie nalewać.

- Marku... - odezwała się, bo chciała, żeby na nią spojrział.

Spojrział.

- Nie ugryzę cię - powiedziała i cofnęła rękę o kilka milimetrów.

Parę kropel wina spadło na jej udo. Przestraszył się. Cofnął o krok, a Joanna zgarnęła palcem ściekające wolno czerwone strużki, po czym je zlizwała.

- Chyba że mnie o to poprosisz - dodała ze śmiechem. - Stuknijmy się - zaproponowała, unosząc kieliszek.

Wziął swój.

- Wina nie pije się do dna... ale co tam zasady! Jest okazja, kapitanie Hikikomori - oświadczyła i przechyliła kieliszek. Piła i patrzyła na chłopaka.

Zrobił to samo. Do dna. Ze strachu czy czegokolwiek.

Dobrze, mamy pół godziny na rozmowy wśród japońskich dźwięków, a potem przerwa - pomyślała z zadowoleniem.

- Wiesz, że w Kraju Kwitnącej Wiśni... - zaczęła mówić, patrząc spod przymrużonych powiek - do takich jak ty przychodzą speqałnie wyszkolone kobiety. Po to, by wziąć ich za rękę i pomóc im wyjść z wirtualnego świata... Może masz szczęście, kto wie?

- Nie jestem chory - powiedział, siadając na fotelu przy biurku.

- Też tak myślę. I ja mam takie momenty, gdy bardzo cenię

izolację. Choć nie teraz. - Westchnęła. - Więc powiedz mi, proszę, co cię zaniepokoiło, gdy tak bez pozwolenia grzebałeś sobie we mnie, wciskając średniki.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że tak to przeszkadza... - Przestraszył się, gdy spokojna melodia jednej z piosenek przeszła w jakieś głośne japan disco.

- Nie używam i nie pozwalam - zaczęła kategorycznie, unosząc palec wskazujący - by ktoś zostawiał swoje odciski na moim tekście. A każdy zostawia - dokończyła już spokojnym tonem, choć korciło ją, by powiedzieć znacznie dosadniej, co o tym myśli.

- Nie wiedziałem, że to tw... pani - dodał.

- Nie przesadzaj, nie jesteś taki młody, by zwracać się do mnie per pani.

- ...twoje - dokończył.

Jedno z głowy - pomyślała Joanna i przełożyła nogi, zmieniając ich układ.

Otworzył szerzej oczy, jakby się zastanawiał, czy wzrok go nie myli, ale jeszcze nie mógł być tego pewien. Nogi ściśle przylegały do siebie, choć zrobiony przed chwilą ruch odsłonił część nagiego pośladka.

- Bardzo się pomyliłam, zgadując, jak to wszystko się odbyło? - zapytała.

- Nie.

- I nie wiesz, kto ci to zlecił.

- Nie.

- Pieniądze dostałeś?

- Kurierem.

- Kiedy coś ci zaczęło nie pasować... oprócz jakości, oczywiście? - zapytała z uśmiechem.

- Od początku - odpowiedział po chwili. - Szukałem tej historii, bo wydawało mi się, że może być prawdziwa...

- I była. Co dalej?

- Nie spodobało mi się zakończenie, właściwie ostatnie kilkanaście stron...

- Co ci się nie spodobało?! - zapytała Joanna i nie kryjąc złości, zmarszczyła czoło.

- Nie to chciałem powiedzieć... Było inne niż reszta... Uznałem, że... że jest jakoś inaczej napisane... to znaczy wymyślone - zaczął się tłumaczyć, rozglądając na boki.

Joanna usiadła wyprostowana na łóżku. W jej oczach była wrogość.

- Bo jest wymyślone! - skwitowała.

- No tak... - jęknął. - Dlatego szukałem tej historii... - wyjaśnił, ścierając z czoła krople wody. - I pisałem, że tak to nie powinno iść do druku... Ale nikt mnie nie posłuchał, odpisano mi tylko, że młody pędzel jestem... A tak iść nie powinno... - jęknął po raz drugi.

- To mamy z głowy. Poszło. I tylko to cię zmartwiło? - zapytała.

- Nie tylko... Ja kupiłem tę książkę... I w niej są inne nazwiska. Prawdziwe...

- Wiem - odpowiedziała Joanna. - I dlatego tu jestem, chłopaku - oznajmiła. - Czemu mi ją przyniosłeś?

- Chciałem, żeby pa... żebyś wiedziała.

- Teraz już wiem. - Westchnęła głęboko. - Chociaż wolałabym nie wiedzieć - skłamała. - Zdajesz sobie sprawę, jakie to będzie miało konsekwencje? - zapytała. - Myślisz, że coś mi grozi?

Marek Rybik opuścił głowę.

- Spójrz na mnie - rozkazała i wstała.

Spojrzał. I teraz już był pewien, że ona nie ma nic pod spodem. Odruchowo przesunął się na fotelu, ale za plecami miał biurko. Musiałby wstać i uciekać. Ale nie ruszył się z miejsca, a uciekł tylko wzrokiem, i to ledwie na chwilę.

Rzeczywiście szybko działają - pomyślała Joanna, idąc wolno w jego kierunku.

- Teraz będziesz musiał mi pomóc - powiedziała, gdy była dwa kroki od niego. - Pomóc się z tego wyplątać. Chcesz mi pomóc, prawda? - Nie czekała na odpowiedź. - Czujesz się winny - skwitowała. - Dlatego przyszedłeś do szpitala. A może się czegoś przestraszyłeś. Czegoś, o czym nie chcesz mi jeszcze powiedzieć... ale co masz na końcu języka. Mylę się? - zapytała, gdy znalazła się już dokładnie przed nim, a jego wzrok utkwiał w obrazku z podkoszulka, dokładnie na wysokości piersi.

Chłopak zaczął widać się na fotelu, wiercić, rozglądając się na boki.

Wyciągnęła rękę i uniosła jego podbródek.

- Patrz na mnie! - powiedziała stanowczym głosem. - Czy jest coś jeszcze? Coś, o czym nie wiem?

- Marietta Lenart próbowała popełnić samobójstwo...

- Wiem, przecież sama to wymyśliłam, chłopaku.

Joanna wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i drugą ręką odgarnęła mokre włosy z jego czoła. Miał prawie tak wielkie oczy jak postaci z japońskiej mangi, które ciągle śpiewały w tle.

- Ale ona to zrobiła teraz - powiedział łamiącym się głosem.

- Co? - zapytała.

- Teraz próbowała się zabić...

Joanna czekała, co powie dalej.

- ...w taki sam sposób, jak to opisałaś - dokończył.

- Aha...

Dlatego taki przejęty, westchnęła.

- Przecież to prawie niewykonalne - dodała po sekundzie, szczerze zdziwiona.

- Ale tak zrobiła.

- Skąd to wiesz? - zapytała, znowu gładząc jego mokre włosy.

- Pisali w gazecie.

- Pisali o mojej książce czy o niej?

- O jednym i drugim...

- To dobrze. - Zapatrzyła się w migający ekran komputera, próbując wyobrazić sobie to, co właśnie usłyszała.

Nie miała pojęcia, ile to trwało, bo tysiące myśli zaczęło biegać jej po głowie, ale gdy z powrotem popatrzyła na chłopaka, zobaczyła, że wwierca się wzrokiem pomiędzy jej nogi.

Zrobiła krok w tył.

- Marku... - zaczęła po chwili. - Rozpaliłeś moją wyobraźnię, gdy przyszedłeś do mnie. - Chwyciła dół podkoszulka i ściągnęła go z siebie, wysoko unosząc ręce. - Teraz rozgrzałeś ją do czerwoności. Sama jestem ciekawa, co z tego wyjdzie... - powiedziała cicho i znowu do niego podeszła.

Teraz miał oczy na wysokości jej piersi i patrzył na nie.

- Powiedz mi tylko jeszcze, czy zostawiła list... - zapytała już szeptem, wprost do jego ucha.

- Tego nie wiem - odpowiedział, głośno wciągając i wypuszczając powietrze.

- Więc trzeba się będzie dowiedzieć... - Położyła dłonie na jego policzkach.

- Jak? Ja? Ale...

- Pomyślmy o tym. I coś wymyślmy... - Głaskała go po twarzy. - Przecież to umiemy... - dodała z uśmiechem, patrząc na jego spodenki. - A teraz, kapitanie Hikikomori... przywitaj się z nimi. - Przycisnęła głowę Marka do piersi.

Zaczął całować jej sutek. Najpierw nieśmiało, potem natchalnie, mocno.

Złapała go za włosy i odciągnęła jego głowę. Przestraszył się trochę, jakby odebrała mu coś, co przed chwilą do niego należało.

- Z drugą też - powiedziała z uśmiechem. - One są o siebie zazdrosne...

*Wszystko, czego dziś chcę, pamiętaj o tym, polecieć raz, tam i z powrotem...<sup>1</sup>.*

*Paradichlorobenzene... ta ta ti tata paradichlorobenzene... ta ta ti tata paradichlorobenzene...*

\*\*\*

Uważajcie, ćmy... Ta piosenka jest o truciznie...

A naiwny chłopak śpi.

Jest wycieńczony. Ma prawo.

Szalał.

Najpierw nieporadnie. Co chwila pytał:

Czy może tak?

Czy tak dobrze?

Czy jest mi dobrze?

Pytał i pytał, a ledwo potrafił wydukać pytanie. Słowa grzęzły mu w gardle.

---

<sup>1</sup> Fragment tekstu piosenki Izabeli Trojanowskiej *Wszystko, czego dziś chcę*; sł. Andrzej Mogielnicki (przypisy pochodzą od red.).

Zadyszane były.

Rozpraszał mnie.

Ugryzłam go w końcu i kazałam się zamknąć. Wpiłam się paznokciami w pośladki.

Skończył. Młody był. Przepraszał...

Roześmiałam się.

- Masz siedem minut przerwy - oświadczyłam.

Poczekaliśmy, a potem nalałam wina.

Niewiele, kilka kropel... Tyle, ile się zmieści w pępku. Po czym się wygięłam i rozchylając nogi, pozwoliłam winu ściekać w dół.

Ach, młodość!

Adrenalina, testosteron, dehydroepiandrosteron, dopa- mina. Sama natura... Wzniosły widok.

Tylko te pytania...

O nie, chłopcze. Nie będę twoją dominą z japońskich kre- skówek - postanowiłam.

Nie będę ci rozkazywać. Tak zdominowany mi się nie przydasz!

Sam musisz znaleźć swoją moc... Trochę jej masz. Przecież!

Pozbawiłam cię lęku.

Poczuj władzę. Ty tu rządzisz!

Wstań!

Ja klękam.

Trzymaj moją głowę. Pilnuj włosów. Ja biorę go w ręce i usta.

I patrzę. Pokornie. Z dołu. Co się dzieje na górze.

I spoglądam w górę z niewypowiedzianym pytaniem.

Teraz mi pomożesz?

Wszystko, co zechcesz... - mówi bez słów.

Tak.Tak.Tak.Tak.Tak.Tak.

Czuję jak twoje ręce zgniatają mi skronie.

Oddech. Bezdech. Wstrząs. Gwiazdy?

Ulga po mnie spływa.

Zadowolona jestem.

Więc wtulę się w twoją skórę i cię uczulę - odpowiadam mu całym ciałem.

Teraz jestem mała. Jak pyłek. Drobna i dobra.

Mocno mnie obejmuje.

Nie bój się, obronię cię - przekazuje mi wiadomość językiem.  
Głaszczę jego skórę.

Wydzielaj się, oksytocyno! I wy, inne hormony, za miłość,  
uległość odpowiedzialne!

Zaklinam was! Urok rzucam!

Utul mnie więc jeszcze. Uczulony na mnie bądź!

Alergię ci tu wyśpiewuję.

Uff... Koniec.

Dwa następne razy były dla mnie. Powiedziałam, że mam  
wrażliwą szyję i kark. Obrócił mnie już bez pytania. Odważny  
się chłopiec zrobił. Teraz śpi jak dziecko. Błogostan ma na  
twarzy.

Spij sobie - szepczę.

Ja nie potrzebuje snu.

Ja przeglądam twój komputer. Znalazłam dalsze *Przygody  
gwiazdnego detektywa*. I korespondencję sprzed prawie sied-  
miu miesięcy... Niewiele się pomyliłam. W tydzień nastawiał  
średników! A ja to przez rok pisałam! I odesłał na adres: li-  
bras.1234@coś.tam.

Rzeczywiście próbował reagować na końcówkę. Nie podobała  
mu się... Wiele rzeczy mu się nie podobało... Ktoś go  
nawyzywał od chłopczyków, pędzli i tym podobnych... Szkoda...  
Taki jest uroczy... I prawie nie kłamie...

Na pulpicie... przebiegły nie jest... są kopie starych artykułów  
dotyczących zaginięcia Justyny Lenart. Niewiele. Kilka  
wzmianek. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... Dla mnie nic  
nowego... Widziałam wszystkie te zdjęcia...

Przejrzałam folder Dokumenty... Żal mi się zrobiło. Kilka  
odmownych pism z wydawnictw. A i tak tylko z tych, którym  
chciało się odpisać... Lubi się katować, dlatego je zachował. A  
może trzyma je, by móc kiedyś powiedzieć, przypomnieć się.

Nie chcieliście mnie, gnojki! A teraz Lucas kręci film! I kto tu  
jest cienkim fiutem?!

Ma chłopak wyobraźnię, więc może tak to sobie wyobraża...

Gdy mu smutno, widzi się na czerwonym dywanie...



Nie martw się. Znowu cię pocieszę. I siebie... Wiem jak...  
Zajrzałam też do folderu Obrazy... Pusty jest... Kompletnie?  
Nie lubi obrazków? Czy je usunął? Nie potrafię tego sprawdzić,  
ale i tak się dowiem. Mam inne sposoby...

Znudził mnie już monitor. Poczytam sobie. A mam dwie  
rzeczy do przeczytania.

Artykuł z gazety... Sam mi go pokazał. Zostawiłam go sobie  
właśnie na teraz...

I swoją książkę.

Siadam więc na kanapie. Opieram się plecami o jego uda i  
pośladki. I głaszczę...

Wydzielaj się, oksytocyno! Zaklinam cię.

A ja sobie poczytam...

\*\*\*

## ZAGINEŁAŚ CZY KTOŚ CIE ZABIŁ, JUSTYNO?

*Niewyjaśniona sprawa sprzed lat. Ożywa!*

*Ożywa! Przede wszystkim na kartach książki, która  
ukazała się niedawno nakładem wydawnictwa Libras -  
informuje nasza dziennikarka śledcza Bernadetta Okoń.*

*Nie pierwszy raz bowiem fikcja miesza się z  
rzeczywistością. Tragedia, która rozegrała się na kartach  
książki, miała miejsce również w rzeczywistości. O czym  
już pisaliśmy we wcześniejszym numerze. Strzał z broni  
dubeltowej rozniósł się nocą po spokojnej dzielnicy,  
można powiedzieć, już po raz drugi. Po raz pierwszy padł  
w książce, kiedy to małaletnia córka zaginionej decyduje  
się na desperacki krok, próbując zastrzelić się z broni  
dziadka, by w ten rozpaczliwy sposób doprowadzić do  
wznowienia śledztwa w sprawie jej zaginionej matki.  
Zostawia list, w którym wysuwa podejrzenie, że  
dokonano morderstwa, i wskazuje winnego. Chce w ten  
sposób naprowadzić organa śledcze na trop sprawcy,  
który sprytnie unika odpowiedzialności. Ona sama ginie,  
ale w książce jej śmierć nie idzie na marne. Nieudolna*

prokuratura i policja w końcu znajdują niezbite dowody zbrodni i próby jej zatuszowania. Prawdziwy sprawca przyznaje się do winy i zostaje ukarany. Ze względu na toczące się postępowanie nie możemy ujawnić nazwisk (przypis redakcji), które wskazała autorka. Ale mogą to Państwo przeczytać w książce. Zainteresowanych odsyłamy do źródła. Książka jest ciągle w sprzedaży, choć już może niedługo. Z ostatnich informacji wiemy, że wpłynął również wniosek o nierozpowszechnianie powyższej publikacji ze względu na dobro poszkodowanych. Z nieoficjalnych źródeł wiemy również, że wpłynął pozew o naruszenie dóbr osobistych. Złożył go ktoś z rodziny zaginionej.

Stan zdrowia Marietty Lenart poprawia się. Lekarze są dobrej myśli. Rodzina kategorycznie zaprzecza, by usiłowała ona popełnić samobójstwo. Próbują przekonać wszystkich, że był to nieszczęśliwy wypadek - informuje Anita Piechoń. Ale czy w tej historii nie za wiele jest przypadków i zbiegów okoliczności? Może autorka książki Zginęłaś czy ktoś cię zabił, Justyno? sprowokowała dziewczynę, która wie, co się stało z jej matką? Albo może chciała w ten rozpaczliwy sposób zmusić policję do działania, tak samo jak małaletnia bohaterka na kartach książki? Może zrobiła to w ostatnim możliwym momencie, bo w sądzie jest wniosek o oficjalne uznanie Justyny Lenart za zmarłą? Może książka ukazała się właśnie teraz nie bez przyczyny? Jeśli tak, to kto za tym stoi? Próba skontaktowania się z autorką też okazała się niemożliwa... Znaków zapytania w tej historii jest znacznie więcej. Będziemy państwa o tym na bieżąco informować.

Bernadetta Okoń

\*\*\*

Joanna siedziała na kanapie z laptopem na kolanach. Opierając się o śpiącego na boku Marka, przepisała cały artykuł

z gazety. Dokładnie. Słowo w słowo.

Miała lekko nadąsaną minę.

Ani słowa o tym, czy książka jest dobra, czy nie... A przecież można było napisać to inaczej. Autorka kryminału przewidziała bieg wydarzeń! Literatura profetyczna? Wizja natchniona!

Kilka innych dobrych tytułów przyszło jej do głowy, ale nie zamierzała ich zapisywać. Skupiła się na tekście. Po czym pogłaskała czule Marka.

- Bernadetta Okoń. To będzie twoje pierwsze zadanie, mój słodki chłopaku o naiwnym spojrzeniu - powiedziała do śpiącego Marka.

Nadęty, szkolny styl artykułu świadczyłby o jakiejś młodej osobie... a tutaj stara znajoma. Joanna sama wyciągnęłaby zapewne więcej informacji, ale na razie nie zamierzała niczego mówić prasie. A tym bardziej Bernadecie, której planów nie znała. Czuła, że ona nie tylko chce się dowiedzieć, co się stało z Justyną, ale też prowadzi jakąś własną grę i mogłaby coś o niej napisać albo zasugerować. A Joanna jeszcze przez chwilę nie zamierzała rzucać się w oczy, chociaż bardzo ją to kusiło: spotkanie z prasą, z jakąkolwiek. Bardzo ją kusiło... Ale było na to jeszcze za wcześnie. Prokurator Tomasz Przekora mógłby zanadto się ucieszyć, gdyby się przekonał, że jest zdolna odpowiadać na pytania.

Poza tym był jakiś powód, dla którego Bernadetta Okoń pominęła ją w artykule. Czy naprawdę próbowała się z nią skontaktować? Joanna jej sobie nie przypomiwała, ale nie była też pewna, czy wszystko pamięta. Może to były śmiejące się usta, które widziała nad sobą. A może Bernadetta tylko się dowiedziała, że autorka przebywa w wariatkowie, i miała wątpliwości, czy wolno jej informować o tym cały kraj... taka polityczna poprawność dla normalnych inaczej. A może nie chciała osłabiać wymowy tekstu informacją o niepoczytalności pisarki...

Joanna nie zamierzała zawracać sobie tym głowy - przynajmniej nie teraz. Odłożyła laptop. I wzięła książkę...

- Gdzie jesteś, mała, opasła Marietto? Na której stronie udzielam ci głosu? - zamruczała pod nosem, kartkując po-

wieść.

O! Mam! Tak to było u mnie! Tak to wyedukowałam z tego wszystkiego, czego udało mi się dowiedzieć... Taka jest moja wizja wydarzeń... Profetyczna...

- Wielka jest moc literatury - stwierdziła z przyjemnością.

\*\*\*

Strona 295

Marietta Lenart wpatrywała się w broń dziadka w tym samym czasie, w którym Paweł Cis upychał ciało żony do bagażnika.

Zostawił dziewczynkę na chwilę samą w pokoju. Nie trwało to długo. Wrócił. Siedziała już wtedy na kanapie, z podkulonymi nogami, i szlochała, wycierając zasmarkaną i zalaną łzami twarz w rękaw piżamy.

- To przeze mnie... - Pociągnęła nosem.

Ojczym nic nie odpowiedział.

- Przeze mnie się kłóciliście...

Paweł Cis przytaknął i usiadł obok, obejmując ją ramieniem.

- Nie będziemy już o tym rozmawiać, tak? - zapytał, ocierając łzy z jej policzków. - To będzie nasza tajemnica, dobrze?

Marietta pokiwała głową.

- A jeśli ktoś zapyta? - jęknęła.

- To nic nie odpowiesz. Dziadek będzie myślał, że mu się śniło. Widziałaś? Nawet się nie przebudził.

Pokiwała głową.

- Był już dziś na polowaniu, słyszał wystrzały. - Wskazał na Wacława Lenarta, który jak nieżywy utkwiał na fotelu w przedpokoju. - Rozumiesz, prawda? - Chwycił jej małe ręce i potrząsnął nimi. - Babcia śpi u siebie, ze stoperami w uszach i po tabletkach nasennych. Wiesz, jak ciężko ją do- budzić... - Uśmiechnął się.

Marietta też się uśmiechnęła, ale po chwili zaczęła się trząść.

- A Maciek?

- Maciek nie nocował dziś w domu - wyjaśnił rzeczowo. - Chodź, zaniosę cię do łóżka.

Marietta chwyciła go za szyję i objęła nogami w pasie.

Paweł Cis podniósł się i z trudem dźwigając dziewczynkę,

ruszył w kierunku schodów prowadzących na górę. Marietta wtuliła głowę w jego szyję i cicho łkała. W końcu znaleźli się w dziecinnej sypialni. Posadził ją na łóżku. Chwilę oddychał ciężko, zasapany z wysiłku.

- Zdejmij piżamę. Dam ci nową. Tę już zasmarkałaś - odezwał się po chwili, otwierając szufladę i wyciągając z niej koszulę nocną w kolorowe kucyki.

- Może być ta?

- Tak. Lubię ją. Tę upaćkałam - powiedziała, patrząc na czerwone kropki, których pełno było na bawełnianych spodenkach.

Przebrała się, a Paweł Cis wziął starą piżamę i zwinął w kulkę. Zgasił światło i zostawił tylko zapaloną lampkę w kształcie księżycy.

- Połknij to, zaśniesz szybko. - Drżącą z wysiłku ręką podał jej małą tabletkę i szklanekę z sokiem.

- A jeśli... ktoś się dowie? - dopytała się Marietta, popijając sok.

- Nikt się nie dowie, jeśli nikomu nie powiemy. Jesteś mądrą dziewczynką. Nie chciałaś, żebym odszedł... pamiętasz?

- Teraz też nie chcę - jęknęła. Znowu wyglądała tak, jakby się miała rozplakać.

- Więc nikomu nic nie powiesz. Inaczej trafię do więzienia i bardzo długo mnie nie będzie. Kładź się już - powiedział Paweł Cis i ułożył jej głowę na poduszce.

- Nie chcę, żebyś mnie zostawił... - pisnęła, przymykając powieki.

- Ja też nie chcę. - Poglaskał ją po głowie. - Śpij... - dodał, głęboko wdychając. - Będzie jak zawsze... Tak, jakby wyjechała... Na dłużej... A my będziemy razem, na zawsze... Nigdy cię nie zostawię... Wiesz o tym.

- Wiem - szepnęła już z zamkniętymi oczami. - To moja wina...

Paweł Cis milczał. Posiedział chwilę przy łóżku i wstał. Tej nocy miał jeszcze wiele do zrobienia.

Dlaczego tak napisałam? Wena taka? Nie do końca... Przynajmniej tak uważam. To, co się wokół mnie dzieje, również świadczy o tym, że się nie pomyliłam.

Zbyt.

Udało ci się kiedyś wzbudzić w kimś poczucie winy?

Jeśli tak, to miałaś w ręce najlepszą kartę w grze zwanej manipulacją.

Asa nad asy!

Można obstawiać w ciemno i wygrywać, co się chce... Jeśli się kłócisz, próbujesz rzucać argumenty, możesz przegrać z kretesem... W najlepszym wypadku bić się do upadłego, liczyć na wycięczenie przeciwnika, ale to wszystko jest męczące... i trwa...

Ale jeśli wzbudzisz w kimś poczucie winy... i umiejętnie będziesz je podsycać... przypominał półsłówkami, przeciągłym spojrzeniem, odwracaniem i spuszczeniem głowy... ot, taki tam prosty teatrzyk... to się nie zmęczysz.

A wszystko wokół będzie tańczyć, jak ty będziesz grać.

Tak jak tańczy mój naiwny, śliczny chłopiec.

Głupio mu... więc będzie robił różne głupoty. Przecież jestem taka fajna, bezbronna i podziwiam jego twórczość... i do tego jest przyjemnie.

Patrzę na niego od czasu do czasu. Wzdycha i uśmiecha się przez sen... więc pewnie mu się śnię.

Skąd mi przyszło do głowy, że Paweł Cis wzbudził w Marietce poczucie winy... i dlatego go kryła? Proste.

Bo go kryła! Wiem to!

Spotkałam się z nią. Poszłam do szkoły. Obserwowałam na przerwie. Zamknęła się w sobie. Nie bawiła z innymi dziećmi. Chociaż to nie było dziwne, bo ją przezywały, ale tak, żeby nikt z dorosłych nie słyszał. Na oko wydawały się grzeczne.

Ale ja słyszałam. Kiedy podeszła do dwóch miłych dziewczynek, te odwróciły się do niej plecami, mówiąc: „Ty, Galareta, z nami się nie bawisz!”.

Lubię dzieci.

Potrafia być doskonale, prawdziwie wredne. Przyłożyć tam, gdzie boli. Wiedzą to! I korzystają z tej wiedzy umiejętnie.

Dobierają się w pary lub większe grupy i pastwią nad ofiarą z byle powodu. I mają z tego radość. I nic więcej... Ale satysfakcja jest!

Później, niestety, dorastają, działają w pojedynkę, uważnie, bo wiedzą już, że sojusze są nietrwałe. I się kamuflują.

Tylko dzieci potrafią być szczerze.

Marietta nie miała przyjaciół, więc dobrała się w parę z ojczymem.

Nie miała ojca prawdziwego. Nie miała też właściwie matki.

Cóż, Justyna miała pecha. Nie wydzielily się hormony, które sprawiają, że w parokilowej, ledwo kształtnej masie widzi się cud!

Najprawdziwszy na świecie cud.

Się nie wydzielily i już! Więc młoda matka nie zauważyła w swoim dziecku niczego szczególnego. Widziała tylko zbyt wolno rozwijającą się historię, w której nie chciała uczestniczyć. A na pewno nie nieustannie, nie codziennie, nie mozolnie, nie bez przerwy, nie ciągle, nie non stop, nie każdego dnia i jeszcze w nocy...

Dlatego uciekała... I... co gorsza, wracała... Zawsze z poczuciem winy. I przez to poczucie winy była wściekła!

Bo przegrywała siebie. Widziała to w pucułowatej twarzy, w nieśmiało wyciągniętych rękach, w oczekiwaniu na coś... co umiała dać... ale tylko przez chwilę. Wiedziała, że czegoś jej brakuje, i ten brak ją dobijał.

Problem w tym, że nie umiała się kamuflować tak dobrze jak niektóre kobiety...

Te, które nie potrafią przytulić. Ale oporządzą!

Codziennie nakarmią, jak wszystko inne, co jest w domu - męża, psa, starą matkę... Umyją jak podłogę... Ubiorą jak choinkę na święta - przykładnie. Wszystko zgodnie z tradycją...

No, te jakoś i bez hormonów dają radę. Justyna nie dawała.

A Zofia Lenart nie potrafiła nauczyć jej tego, co sama umiała doskonale.

Więc na kim Marietta miała się oprzeć? Nie na dobrym dziadku... Był za stary i robił to, co oziębła babcia kazała. Zresztą on też uciekał. W pracę albo polowanie. Nie, on to za

mało. Na matce - nie. To nie ona ją kładła do łóżka, codziennie... od kiedy tylko pamięta.

Oparła się na mężczyźnie, którego kochała i który ją kochał.

Do którego mówiła „tato”... od samego początku.

Skąd o tym wszystkim wiem? Od Antoniny Gołąb!

Świt za oknem, ale... proszę bardzo!

\*\*\*

Strona 213

Błażej Białas siedział na drewnianym pieńku. Naprzeciwko pod wiatą, obok grabi i łopaty, rozsiadała się Antonina Gołąb. Nie przerywał jej, nawet gdy odpowiadając na zadane pytanie, odbiegała od zasadniczego wątku. Czekał cierpliwie.

Była ciągle jeszcze mocno podenerwowana pogrzebem i w rozmowie często do niego wracała.

- Jezu, jak ja na tę malušką białą trumnę patrzyłam... - wspominała, łapiąc się za głowę. - Jak ona do tego grobu wjeżdża... I te białe kwiaty wszędzie... Ja też białe kupiłam. Kalie. Drogie były, ale gdzież by tu na dziecku oszczędzać! - Bezradnie rozłożyła ręce. - No gdzież! - powtórzyła.

Błażej Białas przytaknął. Też był na pogrzebie i choć wybrał się tam zawodowo, żeby obserwować ludzi, to nie omieszkał kupić po drodze pęczka białych stokrotek. Później, stojąc wśród żałobników, ukrył je w kieszeni i rzucił na grób prawie ukradkiem. Sam nie wiedział, czy dlatego, że bukiet był mały, czy dlatego, że się go wstydził.

- Całą noc spać po tym nie mogłam.

Poliqant jej wierzył. Płakała podczas całej uroczystości. Nie dziwił się - znała Mariettę niemal od niemowlęcia. Poza tym zauważył, że w ogóle ma słabość do dzieci, bo nim wygoniła wnuki z ogródka, pozwalała, by wchodziły jej na głowę.

- Jak mi żal tej dzieciny! Pan nie ma pojęcia... - zaczęła znowu.

- Proszę mi powiedzieć... jaki był stosunek ojczyma do pasierbicy?

Miał nadzieję, że do byłej sprzątaczkii nie dotarły żadne plotki, które nie wiadomo jak rozeszły się już po firmie Lenartów. Ktoś



wiedział, że dziewczynka, zanim śmiertelnie postrzeliła się z broni dziadka, napisała list, w którym w dość pokretny sposób - choć dla śledczych całkiem przejrzysty - o zabójstwo swojej matki oskarżyła Pawła Cisa.

- Ludzie to różnie gadają - pozbawiła go złudzeń Antonina Gołąb. - Ale ja wiem swoje, no bo wiem! - oznajmiła, bijąc się w pierś. - On jedyny w tym domu kochał to dziecko. Mówię panu... jedyny! Jak było chore, siedział do rana, dopóki ja nie przyszedłam. Bo tej latawicy jak zwykle nie było. Ludzie mówią, że on dla pieniędzy ciągle tej Justyny nie zostawiał, a ja uważam, że mu dzieciaka było żal. Bo pieniędzy to on miał dosyć... Zresztą to taki człowiek, co z gówna bat ukreści. Lenarty nie były mu już potrzebne - powtórzyła dokładnie to samo, co powiedziała za pierwszym razem i co okazało się prawdą.

Błażej Białas na polecenie Michaliny Donaj sprawdził dokładnie, jak wygląda sytuacja w firmie. Pani prokurator chciała wiedzieć, jak bardzo był uzależniony finansowo od żony i czy przypadkiem nie opłacało mu się jej pozbyć. I tu policjanta spotkała niespodzianka. Po kilku latach prowadzenia firmy przez zięcia to Lenartowie byli całkowicie zależni od niego, a nie na odwrót, jak podejrzewali sąsiedzi lub mniej domyślni pracownicy. Mało kto wiedział, że małżonkowie mieli rozdzielność majątkową, na którą nalegała przyszła teściowa. Czego potem musiała żałować.

Paweł Cis szybko zdobył rozeznanie w świątecznym biznesie. Utworzył nową firmę, która miała się zajmować tylko eksportem i pośredniczyć w sprzedaży. Lenartowie nie nadążali z produkcją, więc on znajdował innych dostawców i wszystko razem wyjeżdżało pod znakiem już jego firmy. Po pewnym czasie wyroby Lenartów stanowiły zaledwie jeden promil ogólnego zbytu. Teściowie całkowicie uzależnili się od Pawła. To on sprowadził z Tajwanu świecące ozdoby, dzięki którym wygrał przetarg na iluminację gwiazdkową w dwóch miasteczkach. W następnym sezonie sam zaczął produkcję świecących dzwonek i gwiazdek. Jednym słowem - rozwód byłby korzystny dla niego. Dla całej reszty rodziny już nie.

Antonina Gołąb to wiedziała. Może nie znała szczegółów, ale atmosferę w domu i to, o czym się tam mówi - na pewno.

- Uważa pani, że jemu chodziło wyłącznie o Mariettę - zapytał mocno tym zainteresowany Błażej Białas.

- Panie... to zimny człowiek i stanowczy. Za wiele nie mówi, choć ani złego, ani dobrego, po równo. I ja tam nie wiem, może się tej Justyny pozbył. Ale dla obcego dzieciaka to on był anioł. Jak mało który. A i ta mała się do niego tuliła, choć on, zdaje mi się, jakby się tego wstydził... Boże, jak mi tego dziecka szkoda! Ojca nie miało, matki nie miało... praktycznie... Boże! - jęknęła, chwytając się za głowę.

- Zaobserwowała pani może coś dziwnego?

- A to, o czym do tej pory mówiłam, to normalne było?! - zachnęła się. - Stara się mnie czepiała, i córki też się czepiała, a sama od sanatorium do sanatorium, bo niby na wszystko chora! Wciążnie tabletki, a to z wątroby rekina, a to z trzustki wieloryba... Na kilogramy to leczenie. A teraz na pogrzebie to łyzy ocierała, pewnie se krople do oczu wpuściła, bo to sumienia nie ma. Jak jej mówiłam, że moje wnuki chore, że córka nie daje rady... to myśli pan, że mi dała wolne? Że powiedziała: a idź, Tosiu, pomóż dziecku? Nie! Tylko że niepo- prasowane i weki nieporobione... wie pan, ile ona mi wiśni nawiozła... Pół dnia...

- Mnie chodziło o stosunki pomiędzy Pawłem Cisem a Mariettą - z trudem przerwał jej policjant, bo Antonina Gołąb tak machała rękami, jakby chciała odlecieć.

- Jakie stosunki? - zapytała cała nadąsana i zła, że nie dał jej dokończyć.

- Takie, jakich nie powinno być. Mówiła pani, że ją przytulał...

- Wam się już w głowach przewraca. Przecież teraz to normalny chłop nie może dziecka na kolanach posadzić, bo od razu, że zboczeniec! No, tego to o nim nie dam powiedzieć! Z tych to on nie był.

- Zadzwoniła pani anonimowo, sugerując, że mógł zamordować żonę, a teraz się pani oburza? - zapytał Błażej Białas, drapiąc się po rudej głowie.

- Panie! - prawie krzyknęła Antonina Gołąb, wznosząc ręce do nieba. - Zdenerwować się i z tych nerwów przyłożyć komuś mocno... szczególnie jak drugi też jest bitny... to każdy chłop, a i baba może! Ale żeby świństwa z dzieciakiem robić, to nie każdy ma tak we łbie popaprane! - skwitowała, wstając.

Błażej Białas popatrzył na stojącą nad nim kobietę i znowu podrapał się po głowie.

Antonina Gołąb niewątpliwie знаła się na życiu, ale nie wiedziała tego co on...

W liście, który napisała Marietta Lenart przed śmiercią, padło słowo „molestować”!

\*\*\*

Ale o tym za chwilę...

Bo już poranek... i jak widzę, o poranku śnię się mojemu chłopakowi.

Obudził się. Uśmiechnięty.

Odłożę więc komputer - mówię. I książkę - dodaję.

I usiądę.

Na twojej twarzy

Dobrze? - pytam.

Nie może mi odpowiedzieć.

Ma zajęte mną usta.

\*\*\*

Joanna odeszła od komputera. Stała nago w otwartym oknie. I zaczęła się relaksować. Wyciągając szyję, rozkładając ręce na boki i wspinając się na palce. Poczwała ciepło na brzuchu i policzkach. Łaskotała ją.

Brakuje tylko kamienia - pomyślała. Ale cóż... nie czas się wygrzewać.

W łazience przestała lać się woda.

- Ktoś cię może zobaczyć - usłyszała po chwili, gdy mokre ciało przywarło do jej pleców. Na szyi poczuła krople ściekające z mokrych włosów.

- Martwisz się o innych czy o sobie? - zapytała, odwracając się raptownie, i usiadła nagimi pośladkami na parapecie.

Gniewnie zmarszczyła czoło. - Kto może mnie zobaczyć?

- Tak tylko... powiedziałem - zaczął się tłumaczyć Marek Rybik, cofając się o krok.

- Wytrzymaj się - rozkazała Joanna i zeskoczyła z okna. - Za chwilę wychodzimy. - Otworzyła walizkę i zaczęła szperać w ciuchach, odrywając zębami plastikowe zaczepki metek. - Czego tak patrzysz? - Podniosła głowę. - Nic tu dla ciebie nie mam. Tobą trzeba się dopiero zająć - oświadczyła, wyjmując czarną sukienkę.

- Ale ja...-zaczął.

- Co ty? - przerwała mu Joanna. - Powiedziałeś, że mi pomożesz. Nie pamiętasz już?

- Ale tutaj...

- Tutaj to ty najwyżej kolejnych średników możesz nawtykać. Chyba że jesteś genialnym hakerem i dowiesz się wszystkiego z tego biurka. Co najmniej jak Lisbeth Salander. Jesteś nią? - zapytała.

Marek Rybik nie odpowiedział, tylko cofnął się jeszcze o dwa kroki.

- Powiem następne zdanie i zderzysz się ze ścianą - burknęła Joanna. - Okłamałam cię. Przepraszam. Mam tu coś dla ciebie.

- Rzuciła mu wyciągnięty z torby czarny podkoszulek.

- Nie chcę - odpowiedział, łapiąc go w powietrzu.

- Nie gniew. Nie masz żelazka - ostrzegła go Joanna i włożyła czarną sukienkę, uważając, żeby nie poplątać sznurków na plecach. Wstała i zerknęła przez ramię na swoje pośladki. - Idealnie - oświadczyła, patrząc na wycięcie, które kończyło się tuż nad nimi. - Podoba ci się? - Spojrzała na chłopaka.

Nie zachwycał się. Stał pod ścianą ze spuszczoną głową.

Chyba wystarczy - pomyślała Joanna i podeszła do niego.

Ujęła jego twarz w dłonie. Popatrzył na nią.

- Marku. Przyjdzie jeszcze taki moment, że będziemy się tu kochać. Na okrągło. Ale teraz moje nogi chcą przez chwilę pobyć razem. Rozumiesz? - zapytała, ale on nie rozumiał albo nie chciał rozumieć. - Chodź, napijemy się wody - zdecydowała.

Podeszła do szafki i wyjęła dwie szklanki.

- A możesz mi zrobić przyjemność i chociaż przymierzyć? - Spojrzała na niego wymownie. - W łazience masz lustro.

Kiedy wyszedł, sięgnęła po wyluskane już wcześniej tabletki, które schowała za starym drewnianym chlebakiem.

- Co najmniej dwie i jeszcze jedna ode mnie - mruknęła i rozgniotła w palcach pigułki, strząsnęła z palców kolorowy proszek i naląła do szklanki wody z kranu. Do swojej też.

Podąła Markowi, gdy wrócił, ale sama zaczęła pić pierwsza.

- Dziwny smak ma ta woda. Chyba się nie otrujemy? Można ją pić?

Kiwnął głową.

- To wypij, ochłoniesz... proszę - dodała już łagodnym tonem.

Wypił, trochę się krzywiąc.

- A nie mówiłam? - powiedziała, z zadowoleniem patrząc na puste szkło. - Usiądźmy. - Chwyliła go za rękę i pociągnęła w kierunku kanapy. - Do niczego cię nie zmuszę. To jasne. Ale mogę spróbować cię przekonać, właściwie już spróbowałam - dodała z uśmiechem. - A teraz będę apelować, bo ten podkoszulek jest trochę na ciebie za mały. - Popchnęła go na łóżko. - Wiem, że nie chcesz stąd wyjść. I nie wyjdiesz. Marek Rybik, chłopak, którego znasz, zostanie tutaj i poczeka na ciebie. Obiecuję. - Podciągnęła sukienkę, siadając okrakiem na jego kolanach. - Chcesz tu zostać? Nie chcesz widzieć, jak robię, co zechcę...?

- Nie rozumiem. - Wyraźnie się usztywnił.

Joanna wzięła jego rękę i położyła na swoich kolanach. Czule objęła go za szyję.

- Przebiorę cię, zmienię. Na ulicę wyjdzie ktoś zupełnie inny. Sam go nie poznasz. Tylko mi na to pozwól - poprosiła, ocierając się policzkiem o jego policzek. Naprężyła uda.

- Jak?

- Po prostu mi pozwól. - Sunęła w dół palcami jednej ręki. - Dzwoniłam już do pewnego czarodzieja - oświadczyła, wsuwając dłoń między jego nogi. Zaczęła go lekko masować. - Jesteś na to gotowy, kapitanie. Zaufaj mi.

- O czym ty mówisz? Kim on jest? - Hardym głosem próbował się sprzeciwić, podczas gdy jego ciało już zaczynało

godzić się na wszystko.

- Fryzjerem. - Zmierzyła mu włosy. - Z dobrym gustem. Zrobi z ciebie dziennikarza... Przecież już byłeś dziennikarzem... - Zachichotała, nieco się unosząc. Potem na nim usiadła.

- Ja tylko... - zaczął.

- Chciałeś ze mną porozmawiać. Wiem... Potrafisz kłamać... - stwierdziła, kołyszając się. - Wiesz, jak na imię ma ten fryzjer? - zapytała, a on, już z zamkniętymi oczami, pokręcił tylko głową.

- Nikita - oznajmiła. - Znasz taki film?

Znowu zaprzeczył, wyginając szyję.

- Zwykła dziewczyna z ulicy, rozczochrana, zagubiona, z problemami, trafia w ręce tajnych służb. A te ją szkolą, ubierają, uczą dobrych manier... - zaczęła szeptać mu do ucha, coraz szybciej się kołyszając. - Nikt nie rozpoznaje w niej dawnego wcielenia... - Przyspieszyła jeszcze bardziej. - A ona, taka odmieniona, jest zdolna do wszystkiego. Wszystkiego! - krzyknęła i wpiła się ustami w jego szyję.

Jęknął głośno.

- To bardzo dobry film - powiedziała, gdy po chwili otworzył oczy. - Marku - zaczęła znowu, gdy popatrzył już bardziej przytomnym wzrokiem. - Kapitan Hikikomori zostanie tutaj i będzie czekał, aż znowu wyślesz go w kosmos. A teraz pójdz ze mną... Pokaże ci moc liryki - oświadczyła z uśmiechem, znowu ujmując w dłonie jego twarz. Też się uśmiechnął.

- Potęgę dramatu - kontynuowała radosnym tonem, odgarniając mu włosy. - I dreszcz dreszczowca - zakończyła.

Roześmiali się oboje. Objął rękami jej gołe plecy i wplótł palce w łączący sznurki materiał. Gładził jej skórę.

- Nikt cię nie pozna. Sam siebie nie poznasz. Obiecuję. I nie martw się - dodała, widząc przed sobą tęskne spojrzenie, choć przecież nie miał jeszcze za czym tęsknić. - Zdamę odejść, nim się zakochasz.

\*\*\*

Prosiłam, żeby się nie martwił, ale chyba nie posłuchał.

Chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliłam, zamykając mu usta

swoimi ustami.

Na co słowa?

Ja mu wszystko powiem, gdy przyjdzie czas.

Michalina Donaj zwlekała zbyt długo...

Gdzie to było? Gdzieś w połowie...

\*\*\*

Strona 159

Czuła, że się dusi. Wszystko wskazywało, że śledztwo będzie trwać jeszcze długo. A przez cały ten czas będzie się musiała widywać z Błażem Białasem. Zaczynało jej to już przeszkadzać. Próbowwała przekonać siebie samą, że nie przepada za fetyszystami, ale to nie była prawda. Zamiłowanie policjanta do jej stóp stawało się momentami denerwujące, szczególnie gdy nie mógł się od nich oderwać i poświęcał im więcej czasu niż całej reszcie, ale nie to było podstawowym problemem. Wiedziała, co ją irytuje, choć w głębi ducha nie chciała się do tego przyznać. Błażej Białas był po prostu dobrym chłopakiem, zwyczajnym fajnym facetem. Prostolinijnym i uczciwym. Myśli miał jasne, choć głowę rudą. I to zaczęło jej doskwierać. Na takich jak on mówiła „człowiek stragan” - można go obejść dookoła. Wszędzie zajrzeć. Wszystko zobaczyć. Bo też wszystko jest na wierzchu. Nawet jeśli chce się poszukać brudów, tajemnic, odpadków wspomnień, to wystarczy się nachylić, popatrzeć, zapytać - nic do ukrycia, żadnych zaskoczeń. Wiadomo, czego się spodziewać.

Jakaś robaczywa śliwka w całej skrzynce dobrych... to było dla niej trochę za mało.

Do tego za bardzo się zakochał i mówił, że ją kocha. Ona mu się nie odwzajemniała, tylko, wzruszając ramionami, zmieniała temat albo udawała, że śpi, jeśli mówił to w nocy. Powinien się za to obrazić, ale wydawało się, że mu to nawet nie przeszkadza. Wie swoje, idzie po swoje, dlatego postanowił cierpliwie poczekać, aż ona poczuje to samo lub powie na głos to, co było dla niego oczywiste. Patrzył więc na nią maślanymi oczami i cieszył się, że zamierza odejść z prokuratury, bo wtedy nie musieliby się już ukrywać. I cały świat by się dowiedział...

Dostrzegłszy tę radość, Michalina Donaj schowała głęboko do szuflady pismo z prośbą o zwolnienie i postanowiła wstrzymać się z decyzją.

Ponadto zainteresował ją Paweł Cis. Udawała przed samą sobą, że to nieprawda, ale nie mogła przestać o nim myśleć... W jej nomenklaturze był jak „sklep”. I to taki, pod którego witryną znalazła się późną nocą. Widziała tylko szybę. I nie wiadomo, co jest w środku. Ciekawiło ją to do granic.

Postanowiła więc dostać się tam za wszelką cenę i splądrować wnętrze...

\*\*\*

Biedny Błażej.

Zawsze wszystkim mężczyznom powtarzam, że kobiet trzeba słuchać, a nie tylko na nie patrzeć.

Mój chłopiec jeszcze jest niepewny. Ala ja teraz widzę świat w zdecydowanie jaśniejszych kolorach... Jemu też go pokażę.

Bardzo nieudolnie próbował się wycofać. I to parę razy.

Zląkł się, gdy wyjęłam z reklamówki pliki banknotów.

- Bez pieniędzy to się można w kloszarda zamienić - oświadczyłam, lekceważąco machając ręką.

Zabawa się zaczyna, smutacie! Nie jesteś w depresji, tylko w desperacji! Nadciągnął ratunek. Na twojej planecie pojawiła się ona... I nic już na to nie poradzisz.

Wzdragał się. Ale z każdą chwilą coraz słabiej... Mała karuzela próśb, gróźb, pretensji, winy, pokusy zaczęła się już kręcić.

Syntetyczne smakołyki też powoli robiły swoje.

Czego może dokonać wyobraźnia połączona ze stymulacją! Neuronów między innymi... Oczywiście!

W końcu poleciał. Po spodnie. Kazałam mu wziąć takie, które od razu będzie mógł wyrzucić do kosza. Skąd zapewne je wyjął.

Pytałam jeszcze, co wie o samobójstwie prawdziwej, dorosłej Marietty. Ale powiedział to samo, o czym już przeczytałam w artykule.

Słabe to.

Strzelać do siebie z dubeltówki, śrutem?

Słabo to wymyśliłam. Ale nic innego nie przyszło mi wtedy do



głowy. Gdybym miała szansę to zmienić, przeredagować, przerobić - na pewno bym to zrobiła! Tak też z pretensją w głosie oświadczyłam „mojemu redaktorowi”. Znowu się tłumaczył, było mu przykro.

- I dobrze, że jest ci przykro.

Nie zaprzeczałam. Wprost przeciwnie.

Pytałam, czy aby nie wydało mu się to głupie? Że niby jak...? Dziecko ma wymierzyć w siebie z broni z tak długą lufą? Niby jak ma nacisnąć spust? Żebym jeszcze napisała, że oparła kolbę o podłogę, nadstawiła brodę... może byłoby to naciągane, ale w miarę.

Tymczasem ja napisałam, że strzeliła sobie w serce... Chyba za pomocą pożyczonych od kogoś rąk - znowu miałam pretensję do tego, kto niby to czytał i miał wyłapać błędy... a zajął się wyszukaną interpunkcją!

Marek Rybik tylko pochylał głowę i powtarzał kilkakrotnie...

Że prosił... że pisał... że zakończenie nie pasuje do reszty... Przepraszał...

- Uczyń zadość! - rozkazałam w końcu, otwierając drzwi na oścież i przepuszczając go pierwszego.

Wyszedł.

Może to leki. Może ja. Może wizja przebrania się za kogoś innego. A może po prostu to, że już próbował być dziennikarzem...

Tak czy inaczej idziemy. Jest epicko, jak bez sensu powtarzają małolaty!

Tocz się, historio, i nie czyn mi krzywdy!

\*\*\*

- Muszę ci coś jeszcze powiedzieć! Nie rozłączaj się! - usłyszała wrzask w słuchawce.

Właśnie powiedziała Arturowi Filcowi: „Żegnam oziębłe i roszczeniowo”.

Nie zamierzała nikogo słuchać.

Zadzwoił drugi raz. Patrzyła na wibrujący aparat i zastanawiała się, czy jej się chce, czy nie chce odebrać. Rozsiadła się pod szklanym dachem w centrum handlowym, przy

fontannie, obok klatki z papugami.

Na kolanach położyła laptop i klikała w klawiaturę, podziwiając kolejne nowe sandały na swoich stopach i parkę niegadających jeszcze ptaków.

Marek był z Nikitą na zakupach, ona też kupiła co nieco. Banknotów ubywało. A wyciąganie nowiutkich pieniędzy z paczki zdecydowanie ją bawiło. Poza tym dawało wiele radości także innym. Nikita po krótkiej rozmowie bardzo się ucieszył, gdy zaproponowała mu tysiąc złotych za rolę stylisty dla Marka. Oczywiście po zrobieniu odpowiedniej fryzury za kilkakrotną stawkę. Bez wahania okłamał szefową, by móc wyjść na kilka godzin.

Poprosiła tylko, żeby nie zbałamucił jej chłopaka, i zostawiła ich w salonie. Jednego uszczęśliwionego, drugiego przerażonego. Chwilę popatrzyła z zachwytem, jak spadają na ziemię dziesięciocentymetrowe pasma włosów, zanuciła pod nosem *Pretty Woman* i zadzwoniła do swojego adwokata.

Nie była w takim stanie, by nie zdawać sobie sprawy, że pieniądze kiedyś się skończą. Ubyło już dobre kilka tysięcy. Rozmowa nie była przyjemna, więc nie zamierzała jej kontynuować, tylko po raz kolejny przedstawiła swoje warunki. Nie chciał się zgodzić, a ona nie chciała go słuchać. Jednak teraz znowu dzwonił. Nie złamałby się tak szybko... ale to „coś jeszcze” nie dawało jej spokoju. Może rzeczywiście ma coś ciekawego do powiedzenia.

Odebrała.

- Jeżeli zamierzasz mnie pouczać, zmienię nastawienie z ciągle jeszcze pokojowego... na wojenne - odezwała się pierwsza na tyle głośno, że odwróciło się w jej stronę kilka osób, które zatrzymały się, by popatrzeć na wielką klatkę i dwie zielone papugi.

- Asiu, to ważne...

- Różnimy się, rzeczy dla ciebie ważnych ja nie považam... Bo co dla ciebie jest istotne? - Szykowała się na mały wykład, ale wszedł jej w słowo.

- Asiu, przyjaźniłem się z twoim mężem, wiem, że on teraz...

- Jak bardzo się przyjaźniłeś? Pamiętam, że chciałeś mnie

przelecieć, jak spał pijany... Po przyjacielskim grillu. W domu przyjaciela - oświadczyła głośno i zobaczyła, jakie wrażenie zrobiło słowo „przelecieć” na stojących w pobliżu ludziach. Kilkoro odeszło, ale paru ciekawskich ciągle stało, udając, że podziwiają papugi albo wiążą buty. Zerkali na nią ukradkiem z wyraźnym zainteresowaniem i nie zamierzali się ruszyć.

Postanowiła się rozkręcić...

- Powiedz... co ci się bardziej podobało? Moje cycki, tyłek czy może stopy...

- Chcesz wiedzieć, czego się dowiedziałem o Michalinie Donaj, czy nie?! - wrzasnął.

Niechętnie, z trochę naburmuszoną miną, ale zamilkła.

- Więc nie jest mi obojętne, co się z tobą stanie... - zaczął już znacznie spokojniej.

...dopóki nie podpiszę wszystkich papierów - dopowiedziała w myślach, ale nie odezwała się, zaintrygował ją. Zazwyczaj miał ciekawe informacje do sprzedania lub kupienia. A Michalina Donaj była clou tej historii.

- Michalina Donaj ma dziecko. Dwuletnie...

- Mam jej pogratulować? Jak tobie? Ucieszyć się? Klasnąć w dłonie?

Artur milczał przez dłuższą chwilę.

- Ojcem dziecka jest Paweł Cis - usłyszała w słuchawce.

Milion myśli zaczęło ganiać się po jej głowie. Wstała, podeszła do fontanny i nabrała ręką wody. Przetarła nią twarz i czoło.

- Od kiedy to wiesz? - zapytała w końcu.

Zastanowiło ją, i to bardzo, dlaczego taką informację przekazuje jej dopiero teraz, co się za tym kryje.

- Nie są małżeństwem. Nie było to oczywiste - wyjaśnił, ale część dźwięków popłynęła nierówno, jakby przykładął rękę do ust.

Kłamał. Tego Joanna była pewna!

- Nie są! - warknęła. - Nie są, ponieważ w świetle prawa jego żona ciągle żyje... Ty tego nie wiedziałeś? To było takie nieoczywiste? - parsknęła do słuchawki, w której zaległa cisza.

- Nie musiałem ci tego mówić - odezwał się po chwili obrażonym tonem.

- Skoro powiedziałaś, to znaczy, że musiałaś! - krzyknęła do telefonu i rozłączyła się.

Schowała komórkę i laptop do plecaka. Wzięła klatkę do ręki i ruszyła na poszukiwanie Marka Rybika. Miała nadzieję, że jest już gotowy.

Czas na charakteryzację się kończył. Należało działać.

\*\*\*

Sama jestem zdziwiona, że tak to się potoczyło...

Znacznie mniej dziwię się temu, że to przewidziałam.

Michalina Donaj nigdy nie powiedziała mi wprost o swojej fascynacji Pawłem Cisem, ale opowiadała o nim. I to wystarczyło.

Mówiła oszczędnie... Zbyt ostrożnie... Dobierając i ważąc słowa... ale jednocześnie gładziła się palcami po szyi... Odpywała na krótkie sekundy... No i oczywiście coraz bardziej irytował ją zakochany młody policjant...

Wiedziałam o niej więcej... niż ona sama o sobie. Dlatego tak napisałam.

Wiedziałam lepiej od niej... z jakich powodów wybrała prawo. A potem prokuraturę.

Ona sama tłumaczyła to w prosty, oczywisty sposób. Ceni uporządkowane życie. Granice, których należy przestrzegać. Jasne, proste komunikaty - to wolno, tego nie wolno... Bla, bla, bla... Zgodnie z prawem. Zgodnie z literą prawa...

Litera prawa! Zadziwiający związek frazeologiczny. Pokręcony. Skąd się wziął? Może z Biblii... Było coś takiego...

Drugi List do Koryntian: „On też sprawił, żeśmy mogli stać się sługami Nowego Przymierza, przymierza nie litery, lecz Ducha; litera bowiem zabija, Duch zaś ożywia”.

Niech się ożywi! Bo to właśnie litery mnie zabijają! Dosłownie.

Napisałam o tym, co podejrzewałam. I to wszystko się teraz sprawdza! O Boże!

Strona 12: „Michalina Donaj może i wybrała prawo, ale nie po to, by być jego obrońcą. W swoim mniemaniu została prokuratorem, żeby pilnować ładu społecznego. Stać na jego straży... Ale prawda była zupełnie inna - ona chciała być bliżej

przestępców, ryzykantów, życiowych hazardzistów... Czyli bliżej tych wszystkich, którzy się przeciwko łaadowi społecznemu buntują. Tych, którzy za nic mają normy. Uważają, że są ponad nimi, a one ich nie dotyczą.

I właśnie tych chciała mieć na wyciągnięcie ręki.

Paprać się w brudach. Karać. Oskarżać, ale też się im przyglądać... Wszystkim tym na bakier... Ciekawili ją. Pociągali ją. Zaprzęтали myśli. A niektórzy fascynowali". Koniec cytatu.

I co, nie miałam racji?

Choć nie przewidziałam, że zakręci nią tak, że postanowi połączyć z nim swoje geny...

Ha, ha...

Cóż, nie pisałam sagi rodzinnej, ale i tak pierwsza zauważyłam, jak bardzo Paweł Cis ją ciekawi. Zrobił to, nie zrobił? Chciała go zgłębić, zajrzeć do środka, wejść mu pod skórę, wwiercić się w głowę... Jednym słowem - nie mogła przestać o nim myśleć.

Wiedziałałam to wszystko wcześniej niż ona sama...

W życiu, jak się okazało, czekała pięć lat... W mojej książce trwało to znacznie krócej...

I miało wpływ na śledztwo...

Teraz też ma wpływ na wszystko.

Jak to było?

Mam jeszcze chwilkę. Moi chłopcy zaraz przyjdą.

Marietta wciąż żyje...

\*\*\*

Strona 211

- Coś ty się tak na niego uparł?! - krzyknęła w końcu Michalina Donaj.

Mocnym szarpnięciem zrzuciła z siebie kołdrę, oswobodziła się z obejmującego ją ramienia i wyskoczyła z łóżka. Wściekła, bo nie planowała zrobić tego tak wcześniej. Była niedziela i zamierzała się wylegiwać. Nie wytrzymała jednak.

Błażej Białas zacisnął usta i pięści. Na szczęście te ostatnie, schowane pod cienką kołdrą, nie były widoczne. Próbował się opanować.

Jeszcze przed chwilą było miło i przyjemnie. Gładził jej włosy. Przez otwarte okno wpadał ożywczy poranny chłód i dzień zapowiadał się wreszcie mniej upalny Rudy policjant tęsknił już za chłodem - ale nie tym, którym wiało od Michaliny.

Nie rozumiał jej zachowania. Wcześniej nie chciała się spotkać, za to w środku nocy zadzwoniła z miasta, żeby ją zabrał. Podjechał. Lekko chwiejną zaprowadził do mieszkania. Kochali się. A rano kłócili. I to przez Pawła Cisa!

Już nie pamiętał, jak od pytania, kiedy zamierza odejść z prokuratury, przeszli do śledztwa w sprawie Justyny Lenart. I tu zrobiło się nerwowo. Mieli odmienne zdanie. Nie chciał nawet rozpoczynać dyskusji, bo ostatnio niemal zawsze kończyło się to awanturą, ale jakoś potoczyła się sama. On uważał, że Paweł Cis jest głównym podejrzanym, a ona, że nie. Choć nigdy nie powiedziała tego wprost. Bagatelizowała kwestię zaginięcia dubeltówki - bo kto by ze śrutu robił użytek w domu? Na pewno nikt inteligentny, a za takiego miała męża Justyny. Powiedziała to dwukrotnie i Błażejowi dwukrotnie się to nie spodobało. Choć co do inteligencji się zgadzał. Bagatelizowała też ślady krwi, opierając się na zeznaniach starego Lenarta, który przyznał, że między małżonkami doszło do rękoczynów, i z pochyloną głową wydukał, że zajścia takie za każdym razem prowokowała jego córka. Brat Justyny też zeznał, że siostra ma „nierówno pod sufitem”. Kiedyś rzuciła się na Pawła, a on ją odepchnął tak, że aż się przewróciła, przygryzając sobie usta - wtedy też było dużo krwi. Poza tym uważał, że siostra się znajdzie i że taki spektakl ze swoim zniknięciem mogła sama urządzić... bo ciągle się wściekała, że ojciec z matką stoją po stronie Pawła, a o nią nikt się nie martwi. Paweł Cis konsekwentnie nic złego o żonie nie mówił, oprócz tego, że dochodziło między nimi do nieporozumień wynikających z różnicy temperamentów. Policjant nie pojmował, dlaczego Michalina mu wierzy i nie chce dopuścić do siebie myśli, że Justyna Lenart mogła zginąć z ręki męża. Nie podobał mu się ten Cis. Nie podobało mu się to, co Michalina o nim mówi, a jeszcze bardziej to - jak do niego mówi. I jak na niego patrzy! Widział w tych spojrzeniach

szacunek, fascynację i rodzaj gry. Nie podobało mu się to! Oj, bardzo! Na niego tak nie patrzyła. Miał nadzieję, że dorwie tego faceta, ale tak się nie stało.

Ostateczną porażkę przeżył, gdy Paweł Cis przyniósł Michalinie Donaj pocztówkę z Paryża. Były na niej pozdrowienia od Justyny. Napisane jej ręką. Ze stemplem datowanym kilka dni wcześniej. Na odwrocie skreślono zamaszystymi literami: *Marietto, kiedyś Cię tu zabiorę*. Grafolog potwierdził charakter pisma.

Dla Michaliny Donaj to zamykało sprawę.

- Justyna jest dorosła i ma prawo być, gdzie chce! - krzyknęła Błażejowi w twarz.

- Nie podoba mi się to... - nieśmiało próbował oponować policjant.

Przerwała mu.

- Popracujesz, pożyczysz, to więcej rzeczy ci się nie spodoba - warknęła, idąc do łazienki.

- A może by przeszukać firmę Lenartów? - zaproponował Błażej Białas, żeby jeszcze chwilę zatrzymać ją w pokoju.

- Stary! - wrzasnęła. - A na jakiej podstawie?! Ty się lepiej weź ogarnij! - huknęła, otwierając drzwi do łazienki. - Daj jakiś dowód, a śledztwo zostanie wszczęte. Ze mną czy beze mnie!

Trzasnęła drzwiami. Wreszcie była sama.

Mogła ochłonąć i spokojnie przypomnieć sobie twarz Pawła Cisa. Widziała ją doskonale, jak tylko zamknęła oczy. Przyjrzała mu się zachłannie. Dojrzała nawet kropelkę potu perlącą się w małym zagłębieniu nad górną wargą.

On też na nią patrzył. Tego była pewna.

Chciała więc jak najszybciej zamknąć śledztwo, złożyć wypowiedzenie... a potem kupić parę bombek na choinkę.

\*\*\*

Nie zmyśliłam tego!

Kartka z Paryża rzeczywiście przyszła.

W mojej książce wytłumaczyłam to tak...

W przybliżeniu poczucia winy Justyna Lenart nieraz kupowała pocztówki, które zamierzała wysłać do rodziny, a przede

wszystkim do córki. Ale na kupowaniu się kończyło. Zapominała bądź nie chciało jej się szukać skrzynki pocztowej. Przywoziła je więc do domu i dawała po powrocie. Mała Marietta zaś wkładała je do różowego pudełka i przechowywała jak skarb. Dowody pamięci czy coś w tym stylu.

O tym skarbie wiedział Paweł Cis. Wyjął więc kilka z nich, gdy mała spała. Oczywiście sam nie poleciał do Paryża ani gdziekolwiek indziej. Wystarczyło, że udał się na lotnisko i ukradkiem powkładał pocztówki do książek i gazet podróżujących ludzi. Wybierając określone rejsy. Ci odkryli je już po powrocie. Większość wyrzuciła. Ale komuś z Paryża akurat zrobiło się żal. Pocztówka miała adres, więc przykleił znaczek i wrzucił ją do skrzynki.

Tak było u mnie.

A jak było naprawdę - nie wiem.

Może Paweł Cis znalazł jakąś stewardesę albo kogokolwiek innego, kto przesłał kartkę. Może była już napisana, a może doskonale ją podrobił... Nie wiem.

W mojej książce o tych kartkach wspomniała Marietta. W swoim liście pożegnalnym. Ale teraz nie czas na niego... później przeczytam.

Teraz trzeba się dowiedzieć, co takiego zrobiła prawdziwa dorosła córka Justyny Lenart. Dlaczego chciała się zabić?

Właśnie idą moi chłopcy.

O! U! A!

Jednego prawie nie poznałam!

\*\*\*

- Łau! - jęknęła Joanna znad kawiarnianego stolika, patrząc, jak Marek Rybik podąża galeryjnym korytarzem prosto w jej kierunku. - Poczekaj, muszę to zapisać - powiedziała, klikając w klawiaturę komputera.

Marek wydawał się wyższy i postawniejszy. Prezentował się doskonale! Miał na sobie piaskowe, cienkie, lejące się džinsy. Czarne trampki z grubymi sznurówkami, które jedynie zdobiły buty, wypuszczając na wierzch długie języki z kolorowym graffiti na podszewce. Białe, rozchełstane pod szyją podko-



szulek i szaroniebieską letnią marynarkę zapiętą na górny guzik. Blond włosy były podgolone z boków, a nad czołem rozsypywała się dłuższa, przeczesana na bok grzywka. Wokół siebie rozsiewał korzenny zapach perfum, o które specjalnie prosiła... i ukrytą do tej pory aurę. Cóż, szata czyni człowieka! Przechodzące kobiety i dziewczyny zerkwały to na niego, to na papierowe torby których po kilka sztuk trzymał w obu rękach.

- Brawo! Z jakiej planety jesteś, chłopcze? - zapytała z uśmiechem, taksując go spojrzeniem z góry na dół.

- Sam nie wiem. - Marek popatrzył po sobie i z zadowoleniem rozłożył ręce. Wyglądał teraz jak stojak na lśniące torebki z dużymi literami.

- To ja ci powiem... - oświadczyła Joanna. - Nie ze swojej.

Uśmiechnął się szeroko.

- Zadowolony?

- Chyba tak... - odpowiedział, stawiając torby na podłodze. - Dziwnie się czuję... Ludzie na mnie patrzą...

- I to płci obojga! - zaśmiała się Joanna. - Dobry gust, Nikita - powiedziała do fryzjera, który z tryumfującą miną wyłonił się zza pleców Marka. - Bez przegięcia - pochwaliła i puściła oko. - Marku, idź zamów jakieś domowe narkotyki...

Spojrzał na nią zdziwiony, jakby nie zrozumiał, o co chodzi.

- Podwójne espresso z brandy. Dwa razy - dorzuciła z uśmiechem. - Muszę popić leki - wyjaśniła Nikicie, gdy jej doskonale wystylizowany chłopak znikł za szybą kawiarni.

- Jeśli coś jeszcze... to ja chętnie... - powiedział fryzjer i chciał usiąść na krzeselku, które stało obok Joanny.

Powstrzymała go gestem ręki.

- Dziękuję. To wszystko. Jak będę miała ochotę na geja, to ci powiem. Za ile byś sprostał? - zapytała, patrząc na niego z zaciekawieniem i podpierając ręką brodę.

Nikita zmarszczył czoło, zadrżały mu kości policzkowe. Chwilę stał, ale nic nie powiedział, tylko odwrócił się na pięcie i odszedł. Po kilku krokach wyciągnął do góry rękę, pokazując zaciśniętą pięść i wyprostowany środkowy palec.

- Czyli drogo. - Joanna, rozbawiona, wzruszyła ramionami. - Spieszył się - oznajmiła po chwili Markowi, który wrócił z

dwiema filiżankami i rozglądał się w poszukiwaniu niedawnego kompana. - Zaprowadziłabym cię jeszcze do kosmetyczki... mam tu jedną zaprzyjaźnioną... Moglibyśmy pójść oboje... ale nie mamy już czasu. Wybaczysz?

- Tego chyba nie zniósł. - Zaśmiał się szeroko.

- Zniósłbyś, zapewniam cię. - Przegarnęła zamaszystym gestem włosy i oblizwała usta.

- Już to mnie wykończyło - odpowiedział rozbawiony.

- Zaraz się pobudzisz, obiecuję. Masz telefon, który kazałam ci kupić? - zapytała.

- Mam.

- To daj.

A gdy tylko schylił się ku jednej z torebek, Joanna wyłuskała z listka leków dwie kapsułki i otworzywszy je, wysypała biały proszek do jednej filiżanki, potem do drugiej.

- Co to? - zapytał.

- Słodzik - odparła.

- Ja chyba nie chcę... - jęknął przestraszony Marek Rybik.

- Zmęczony mi się nie przydasz. Poza tym nic ci nie będzie. - Położyła rękę na jego udzie, gładząc doskonałej jakości materiał. - Będiesz jeszcze bardziej seksowny, niż jesteś... Choć to wydaje się niemożliwe - wyszeptwała. - Patrz na tamtą dziewczynę. - Pokazała wzrokiem sąsiedni stolik, jednak nie pozwoliła mu tam spojrzeć. - O nie! - westchnęła. - Tak szybko cię nie oddam. Nie martw się, będziesz rozmowniejszy... Bo też za chwilę jesteś umówiony - zakończyła, całując go w ucho.

- Z kim? - zapytał z przestachem.

Joanna przesunęła filiżankę w jego stronę.

- Z dziennikarką. Zadzwoniłam do niej. Zainteresowałam. I będzie tu za jakiś... - Spojrzała na nowy zegarek. Przez chwilę podziwiała solidną, męską tarczę, po czym zdjęła go z ręki i położyła na blacie. - Nie - oceniła. - Za duży... Weź go sobie albo daj Bernadecie, spodoba jej się.

O czym to mówiłam...? Aha, za dwadzieścia minut. Widzisz tę knajpkę po drugiej stronie fontanny? Pójdę tam i będę słuchać, o czym rozmawiacie. Ten telefon - wskazała na nowy aparat, który Marek Rybik położył na stoliku - doskonale

zbiera dźwięki. Przykryj go jakimś zeszytem czy gazetą. Swój schowaj do kieszeni. Zadzwonię, gdy mi się ta rozmowa nie spodoba. Albo żeby dać ci dalsze wskazówki. Jeszcze nie wiem.

- Włożyła kartę do aparatu. - Naładowany? Poprosiłeś sprzedawcę?

- Tak, ale...

- Samo tak... bez ale. Na ale nie mamy czasu. Musisz się dowiedzieć, i to ze szczegółami, co zrobiła Marietta.

- Ale jak? - Próbował protestować, nerwowo szukając nad uszami włosów, których już nie było.

- Znowu to ale! Kapitanie Hikikomori, gwiazdny detektywie, musi pan rozwiązać tę zagadkę. Wróciłeś na Ziemię... za pomocą betateleskopu. Widziałeś, co się działo dziesięć lat wcześniej. Bez sensu te średniki... - zmieniła wątek i wypila duszkiem kawę. - Sam mi powiedziałeś, że po ukazaniu się książki Marietta próbowała popełnić samobójstwo. Dowiedz się dlaczego.

- Ale jak?

- Pij i ucz się nie używać co chwilę ale! - prawie krzyknęła Joanna, wciskając mu filiżankę do ręki. - Wiesz, czego się dowiedziałam? - zapytała, patrząc, jak niepewnie ją unosi, zatrzymując w połowie drogi między stołem a ustami. - Michalina Donaj i Paweł Cis dorobili się wspólnego potomka. Zdajesz sobie sprawę, jak wielką mogą mieć do mnie pretensję. W końcu zrobiłam im przykrość, pewnie są na mnie bardzo źli... A może nie ja im popaprałam życie, tylko ty ze swoimi zleceńodawcami...

Marek Rybik otworzył oczy tak szeroko, jak to tylko było możliwe.

O, nie wiedział - stwierdziła z zadowoleniem.

- Oni mają dziecko? - zapytał i osłupiał z rozdziawionymi ustami.

- Czekasz, aż ostygnie?

Westchnęła głośno, a chłopak potulnie wypił kawę z brandy i pochodną amfetaminy, tylko o wiele przyjemniejszą, jak uważała Joanna.

- Teraz razem nie będziemy spać - zaśmiała się szczerze.

- Ale co ja mam tej dziennikarce powiedzieć? - zapytał Marek.

Z niesmakiem pokręciła głową.

- Zapytaj, co ja jej powiedziałam.

- Co?

- Że w moim imieniu będzie rozmawiał młody, seksowny dziennikarz. Jej to za bardzo nie interesuje, ale chciałam tobie zrobić przyjemność... Powiedziałam jej, że jeżeli dowiem się od niej czegoś sensownego, czyli gdy sprzeda mi jakąś wartą zachodu informację, to udzielę jej wywiadu życia... To znaczy powiem, jak to wszystko wyglądało. Powiem również, co podejrzewam, a skoro tyle już przewidziałam, to nie powinna tego zlekceważyć... Czyli... - zaczęła mówić wolno i wyraźnie - powiem, gdzie znajdują się zwłoki Justyny Lenart, już nadgryzione zębem czasu... I dlaczego była pani prokurator to zataiła.

- A ty to wiesz? - zapytał z zaciekawieniem, prostując się na krześle.

- Nie - odparła Joanna, bacznie mu się przyglądając. Zastanawiała się, czy to cudowny środek tak szybko zadziałał na nieprzyzwyczajonego chłopaka, czy też coś zupełnie innego tak go ożywiło. - Ja tego nie wiem - powtórzyła, patrząc mu głęboko w oczy. - Ale ona nie wie, że ja nie wiem. Doskonale gram w pokera! Ty jej powiesz. Informacja za informację. Pamiętaj, co najmniej cztery, sześć razy mówisz, że to za mało, chcesz wiedzieć więcej. Za trzecim razem wstajesz od stolika. Zatrzyma cię. Siadasz i dalej mówisz, że chcesz więcej plotek, informacji... jakkolwiek to nazwiesz. Ona musi sporo wiedzieć o Marietcie... I ma ci to wszystko wyjawić. Tyle! - Wyciągnęła rękę i odgarnęła grzywkę siedzącego nieruchomo Marka. - Świetna fryzura. Kapitanie Hikikomori, do dzieła. Inaczej nie złożymy tej układanki. Zrozumiałeś?

Marek Rybik przytaknął, patrząc na nią kompletnie zagubionym wzrokiem.

- Powie ci również - kontynuowała - że przebywałam na leczeniu psychiatrycznym i takie bla, bla, bla. Ty jej wtedy, że Joanna miewa, być może, stany depresyjne, ale jakie ma to

znaczenie wobec łopaty, która trafia na spróchniałe kości i rozwiązuje tajemnicę gnębiącą tę dziewczę od lat? Możesz to jeszcze jakoś ubarwić...

Joanna wstała. Obciągnęła sukienkę, patrząc z zadowoleniem, jak odznaczają się sterczące sutki.

- Daj telefon. Ustawię go i lecę. A ty pilnuj papug - poprosiła, wskazując na stojącą dwa metry od nich klatkę z dużymi zielonymi papugami, które budziły ciekawość przechodzących obok ludzi. - To prezent dla ciebie.

- Jak to dla mnie? - zapytał zdziwiony. Klatka wyglądała jak wyposażenie kawiarni i tak też traktowali ją inni.

- Prezent - oświadczyła i ponownie nachyliła się nad jego uchem. Tym razem tak, by dobrze widział jej nagie piersi. - Żebyś miał z kim pogadać... jeśli ta historia skończy się dla mnie niezbyt pomyślnie. Z twojego między innymi powodu. Wiedz, że ten, kto pozbył się Justyny, będzie chciał zrobić to samo ze mną...

Marek Rybik ani drgnął.

- Ale wierzę w ciebie, mój chłopaku. - Spojrzała w jego przestraszone oczy i pocałowała go w usta. - Aha - dodała, pakując laptop do plecaka. - Nadałam im imiona. Dziewczynka to Kropka, a chłopczyk Przecinek. Ładnie?

Nie czekała już na odpowiedź, tylko stukając szpilkami, sprężystym krokiem ruszyła w kierunku przeciwległej kawiarni. Za jej plecami i wycięciem prawie do samych pośladków obejrzało się wiele osób.

Marek Rybik też patrzył, dopóki nie zasunęły się za nią drzwi knajpy. Potem bezmyślnym wzrokiem zaczął gapić się na papugi.

\*\*\*

Wybrałam dobre miejsce do obserwacji. Siedzę za przyściemioną szybą. Pośrodku, za filarem. I nie tylko ta szyba dzieli mnie od stolika w konkurencyjnej kawiarni. Oddzielają mnie też rzeki ludzi płynące galeryjnym korytarzem pod szklaną kopułą. Płyną w obie strony, przyglądając się brzegom, na których zakotwiczyły statki z wszelkimi dobrami: ciuchami,

butami, zegarkami, torebkami, kosmetykami... i galernikami w środku.

Niech płyną. Ja czekam.

Zabawa się zaczyna.

Widzę swojego chłopca, jak rozgląda się nerwowo. Nie martw się, Bernadetta sama cię wypatrzy. Gna tu. Rzuciła wszystko, czymkolwiek się zajmowała, i gna tak szybko, jak tylko może.

Jak frachtowiec udręczony przez sztormy... chce zawinąć do portu i dowiedzieć się, co się stało.

Co się stało z jej miłością, która miała powrócić jak zawsze, a nie wróciła nigdy...

Męczy ją to od dziesięciu lat.

Od dziesięciu lat chce wiedzieć, że Justyna Lenart nie porzuciła jej dla jakiegoś marnego fiuta. Chce jeszcze więcej! Pragnie się dowiedzieć, że ona nie żyje. Tylko wtedy będzie mogła ją usprawiedliwić.

Chce usłyszeć, że Justynę ktoś zabił, gdy biegła do niej...

Ba, marzy o tym, bo tak będzie łatwiej... Wtedy będzie ją opłakiwać! A nie wspominać z zaciśniętymi pięściami. Zagryzając usta do krwi. Rycząc po nocach z bezsilnej niewiedzy.

Bo ja ją poznałam. I wiem o niej więcej niż inni.

Inni myślą, że jest twarda, opryskliwa, pyskata, że ma wszystko za nic - mocarna lesba!

Ale ona ma tylko doskonały entourage i nic więcej. Buduje dla siebie zbroję z kilogramów, ciężkiego chodu, skrzywionych warg i zmarszczonych brwi, wie, że musi chronić swoje wnętrze... bo tam... oj, miękko, mięciutko, czule, ciepło, wrażliwie, rozplakać się można ze wzruszenia...

I Justyna się tam przebiła. Ale tylko pobyla w środku i znikła, zostawiając otwartą, ropiejącą nienawiścią ranę. Gdyby jednak nie żyła... rana mogłaby się zabiżnić, prawie natychmiast. Żałoba jest doskonałym opatrunkiem...

Ona to wie i dlatego gna po każdą informację.

Słaba ona, oj, słabiutka.

Nie to co ja!

Ja jestem jak brzoskwinia.

Spróbuj mnie ugryźć! Pluszowo, miękko, soczyście, słodko, a

potem twarda, wielka, zdrewniała pestka. Zęby można połamać.

Choć ładnie się do ciebie uśmiecham, to właśnie sobie wyobrażam, jak twoje wnętrzności rozszarpują warany z Komodo. Albo stos pod tobą rozpalam i tańczę wokół niego radośnie. Stąd ten uśmiech.

Ale mam jeszcze chwilę...

Poszukam w książce listu pożegnalnego... Dobrze przypomnieć sobie szczegóły, zanim usłyszę nową wersję. Napisaną przez rzeczywistość, podobno...

\*\*\*

Strona 257

Marietta cichutko wstała z łóżka. Wyjęła spod kołdry przygotowaną wcześniej latarkę, a z różowego pudełka - też różową, zgiętą kartkę papieru. Rozłożyła ją i kierując na nią światło, przeczytała raz jeszcze. Wszystko się zgadzało. Wszystko było tak, jak to już wcześniej zaplanowała. Wyjaśnione i przepisane kilka razy. Złożyła kartkę z powrotem na pół i wcisnęła za spodenki kolorowej piżamy. Specjalnie je włożyła. Wiedziała, że koszula nie ma kieszeni. I choć gumka bardzo ją cisnęła, zaplanowała, że tu właśnie schowa swój list. Na brzuchu. Tak, żeby się nie zgubił. Żeby go znaleźli i wiedzieli, że jest od niej. I że dlatego to wszystko.

Weisnęła stopy w dwa pluszowe tygrysy i cichutko wyszła z pokoju. Wszyscy spali. Miękkie kapcie bezgłośnie stąpały po drewnianych schodach w dół. Chwilę wstrzymała oddech, otwierając szufladę, w której były klucze do magazynu. Wyjęła je, zaciskając w drobnej piątce, tak by nie zabrzęczały. Otworzyła nimi drzwi.

Przez podwórko szła po omacku, nie zapaliła jeszcze latarki. Nawet jak przechodziła przez ulicę. Zrobiła to dopiero, gdy przeskoczyła siatkę i stanęła przed drzwiami małego magazynu. Z domu już nikt nie mógł jej widzieć. Skierowała światło latarki na zamek, a drugą ręką przekreśliła klucz.

W magazynie nie było okien, więc gdy znalazła się w środku, bez obawy zapaliła światło i zaczęła sprawnie poruszać się

między pudełkami. Nikt tu od dawna nie wchodził, gdyż pomieszczenie całe było zastawione gotowymi do wysyłki bombkami. I takimi, które jeszcze nie zostały spakowane i czekały na swój czas.

Marietta utorowała sobie drogę, przesuwając pod ścianę wielkie kartony. Nie miała z tym trudności, bo ich nadmuchana zawartość nie ważyła zbyt wiele. Kierowała się prosto do miejsca, gdzie schowała dubeltówkę, którą po kryjomu wyciągnęła z szafy dziadka.

Teraz wyjęła broń i przeładowała. Sam ją tego nauczył.

Poprawiła gumkę w spodniach od piżamy przesunęła list na środek brzucha i nie martwiła się, że coś się z nim stanie. Wiedziała, że z przodu będzie tylko mała dziurka, a z tyłu wyrwa.

Już się nie bała. Zresztą nie bała się, odkąd postanowiła, że zrobi to, co właśnie zamierzała zrobić. Od tamtej chwili wszystko stało się prostsze i jaśniejsze. Świat bardziej oczywisty i przyjazny.

Nacisnęła spust. Dziesiątki ołowianych kulek przeszły jej serce.

Upadając, podważyła piramidę z kartonowych pudełek. Na samej górze były pojedyncze, niespakowane bombki. Pospadały z wysoka. Roztrzaskując się na niej i wokół niej.

Gdy zaniepokojony hukiem dziadek wszedł do magazynu, Marietta leżała na podłodze w kałuży krwi. W kolorowej piżamie, z pluszowymi tygrysami na nogach. A dookoła mienił się brokat i lśniły kolorowe odłamki posrebrzanego szkła.

Dopiero po pewnym czasie dostrzegł różowy papier wciśnięty za gumkę dziecięcej piżamy. Wyjął go trzęsącymi się dłońmi.

Kartka była zapisana drobnymi, lekko koślawymi literkami.

Zaczął czytać w nadziei, że ten krótki liścik pozwoli mu pojąć koszmar, na który patrzył.

*Przepraszam was wszystkich. I ciebie, tato, i was, dziadku i babciu, i ciebie, Maćku, ale dłużej już do tego nie mam siły. Idę do piekła. To przeze mnie to wszystko. Przeze mnie. Tatuś nic złego nie zrobił. On chciał, żeby*



*mama mnie nie zabierała. I on wcale mnie nie molestował. Ja pytałam Kingi, co to znaczy, i on nigdy nic takiego nie robił. Przysięgam. A mama tak właśnie mówiła, ale skąd ona miała wiedzieć, przecież jej nie było. Tatuś nie chciał zrobić nic złego i ja też nie chciałam, ale nie wytrzymam już tej tajemnicy. Przecież wszyscy jej szukają, a nie znajdują na ziemi. Przepraszam, tatusiu. Kocham cię bardzo. Pa.*

\*\*\*

Dobrze, że chociaż tu średnika nie wstawił. Muszę go za to pochwalić.

O, właśnie idzie Bernadetta!

Nic się nie zmieniła. No... może te worki pod oczami... Nie dziwią mnie. Przecież pisałam, że źle sypia.

O kurwa! Muszę się schować za filar. Z Bernadettą idzie babochłop ze szpitala. Co to coś tutaj robi? Przyszły razem? Chcą mnie zgarnąć?!

A nie, babochłop poszedł dalej. Ufff! Pewnie jest na zakupach. Idź sobie, oby daleko stąd! Znajdź rolniczy, kup kombajn... Jedź do Castoramy po ciuchy.

Ale się zdenerwowałam!

No, dosyć tego...

Słuchamy, jak mój chłopiec się sprawi.

Nagrywam, ale i zapisuję...

Dlaczego sama się z nią nie spotkałam? Bo ona też będzie nagrywać. Lepiej, żeby nie mnie!

Potem mogłaby to wykorzystać. Napisać coś, co będzie wyrwane z kontekstu, przekręcić albo od razu pójść z tym na policję.

Nie ma co ufać dziennikarzom.

\*\*\*

- Kim ty w ogóle jesteś? - Joanna usłyszała w swoim włączonym telefonie głos wścieklej Bernadetty.

O, atakuje - pomyślała. Nie daj się, Marku.

Chuchnęła w dłonie i zacisnęła kciuki. Mocniej przycisnęła

aparatu do ucha, ale przez chwilę słyszała tylko szum. Z daleka zobaczyła, jak Marek przeciera ręką spoczone czoło i rozpina marynarkę.

- Jestem wysłannikiem - odpowiedział wreszcie.

Brawo! - prawie krzyknęła Joanna.

- Czyli? - warknęła Bernadetta.

- Nazywam się kapitan Hikikomori i jestem gwiazdowym detektywem - odparł, zdejmując marynarkę.

Joanna zaczęła się zastanawiać, czy przesadza, czy nie, wzięła nawet telefon do ręki, ale go odłożyła, gdy usłyszała:

- Dobra. Nazywaj się, jak chcesz, tylko mnie z nią skontaktuj.

- Skontaktuję... jeśli powiesz, co się stało z Mariettą! - prawie krzyknął.

- Miała próbę samobójczą, ale to chyba wiecie...

- A jak się ona czuje? - zapytał Marek Rybik już zupełnie innym, spokojnym i ściszym głosem.

Joanna zmarszczyła czoło.

- To wyłącznie sprawa rodziny - oznajmiła kategorycznym tonem Bernadetta.

- Mów! - krzyknął, prawie podrywając się z krzeselka.

- Uspokój się, dzieciaku! - warknęła.

Marek Rybik usiadł. Oparł łokcie na stoliku i palcami zaczął przeczesać włosy, lub masować głowę. Trwało to dosyć długo. Joanna znowu wzięła do ręki trzymany w pogotowiu telefon.

- Jeśli nie powiesz... - odezwał się w końcu Marek sapiącym głosem - to ja ci też nie powiem! - Uśmiechnął się, rozkładając szeroko ręce. - A pewnie chciałabyś wiedzieć, jakiej to firmy łopata kopała w ziemi.

Joanna zmarszczyła czoło, patrząc z oddali, jak chłopak zaczyna się trząść, a w słuchawce usłyszała rozbawiony rechot. Chyba przesadziłam - zmartwiła się, usłyszawszy ton Marka. Czyżby plan miał nie zadziałać?

- O czym ty mówisz?! - zapytała wściekłym głosem Bernadetta.

- Jaka... Która - poprawił się, już śmiejąc się w głos - zakopywała piękną Justynę dwa metry pod ziemią... A co naj-

ważniejsze... Czyje ręce dokonały tej pracochłonnej czynności?  
- dokończył, a w słuchawce zaległa cisza.

- Może coś podać? - usłyszała Joanna i zobaczyła plecy nachylającej się nad nimi kelnerki.

- Łopatę - powiedział rozbawiony Marek Rybik.

- Nie, dziękuję. - Głos Bernadetty był spięty do granic.

Musiała to wysyczeć przez zęby - pomyślała Joanna.

- A więc powiesz mi, jak ona się czuje? - zapytał dziwnym, jakby dziecięcym głosem.

Joanna zaczęła wystukiwać numer telefonu Marka. Nie podobało jej się to, co widzi i słyszy.

- Miał mówić w moim imieniu! - burknęła pod nosem, ale nie zdążyła kliknąć zielonej słuchawki. Wstrzymała się. Jeśli nie mówi w moim imieniu, to w czyim?!

- Powiedz mi, proszę... - jęknął błagalnie, nachylając się całym ciałem w kierunku Bernadetty.

W swoim! - prawie krzyknęła Joanna. No co za gówniarz! - zakłęła w duchu. Zdradził mnie, jeszcze zanim się ze mną przespał! To o Mariettę mu chodziło! Pewnie się w niej kochał... platonicznie... skoro odwagi starczyło mu tylko na śledzenie jej w komputerze. Taki kapitan!

Ledwo się powstrzymała, tak wielką miała ochotę tam pójść i zrobić z młokosem porządek.

Bernadetta nic nie mówiła, tylko patrząc na niego, odsunęła się z krzesłem od stolika.

Marek Rybik wyprostował się, choć zrobił to ociężale.

- Inaczej Joanna nic ci nie powie! Ani o łopacie, ani o prokuratorce... co zgrzeszyła. A ty pójdziesz do domu obgryzać paznokcie... - Przeciągnął się powoli, jakby właśnie wstał z łóżka.

Fiu, fiu! - gwizdnęła po nosem Joanna i znowu odłożyła telefon na bok. Zaczynało się robić ciekawie.

- I będziesz wspominać, jak ci było cudownie między jej nogami, które już dawno temu zgniły... - kontynuował Marek.

Mimo wszystko dobry jest - pochwaliła go w duchu Joanna, ale po chwili skrzywiła się, widząc, jak Bernadetta wstaje.

- Zaczekaj! - krzyknął Marek. - Tak trudno ci powiedzieć, jak

ona się czuje? - Znowu miał błagalny wyraz twarzy.

- Dobrze. - Bernadetta usiadła z powrotem. - Jest w domu z rodziną... Dlaczego ona tak cię interesuje? - zapytała. - Czy to ty jesteś tym, który prześladowuje ją mejlami? Siedzi każdy jej krok na ekranie swojego komputera?

Joanna zacisnęła zęby, ale postanowiła nie przerywać. Niech gadają dalej.

- Ona chce to wiedzieć. - Marek wyprostował się na krześle.

- To powiedz jej, że dobrze. Wystarczy?

- Nie wystarczy - odpowiedział po dłuższej chwili, pocierając twarz dłońmi, tak że Joanna ledwo zrozumiała, co mówi. - Chce jeszcze wiedzieć, co było w liście - lekko bełkotał.

Brawo! Nie „czy był list”. Tylko „co w nim napisano”! Joanna klasnęła dłonią w rękę, w której trzymała telefon.

- Przekaż jej, że pośrednio oskarżyła w nim ojczyma. I wyraziła nadzieję, że teraz policja wznowi śledztwo i znajdzie dowody jego winy. Powiedz jej jeszcze, żeby skontaktowała się ze mną. Więcej nie będę rozmawiać z jakimś na- épanym młodym pędzlem - oświadczyła Bernadetta, znowu wstając.

Czyli Marietta postąpiła dokładnie tak, jak to opisałam! - pomyślała Joanna i rozparła się na łokciach, a z fotela, na którym siedziała, spadł skórzany plecak. Nie chciało jej się go podnosić, a oprócz tego nie zamierzała ani na sekundę tracić z oczu chłopaka, który teraz zaczął bujać się na krześle. Kopnęła plecak, a ten wylądował za filarem przy oknie.

- To przez tę książkę... Zrobiła tak, jak to było napisane... Wszystko... - Marek zacisnął ręce na skroniach.

- Nie wiem, tam to było trochę inaczej... - powiedziała Bernadetta, dosuwając puste krzesło do stolika.

- Uspokój się, dzieciaku?! Czytałaś?! Pędzel młody... - mówił pod nosem Marek. Wstał i zachwiał się na nogach. - Wydrukowaną czytałaś? Czy jeszcze wcześniej, zanim mi ją przysłałaś? - bełkotał, ale na tyle wyraźnie, że Joanna dokładnie zrozumiała jego słowa.

Bernadetta zaczęła drapać się po głowie i ruszać ramionami, jakby chciała coś z nich strząsnąć.

Zgadł! Zdemaskował ją! - prawie krzyknęła Joanna. Była pod

wielkim wrażeniem. Marek Rybik zorientował się, kto przysłał mu tekst.

- To ty do mnie pisałaś! To ty! - powtórzył i znowu mocno się zachwiał. - Duszno mi... - wysapał na koniec i zaczął ściągać z siebie podkoszulek.

Joanna obserwowała jak zamurowana to, co działo się za szybą. Kilka osób przystało, patrząc na rozbierającego się chłopaka.

- Muszę opuścić tę skórę. Muszę ją zdjąć - ledwo dosłyszała w słuchawce. - Po co ci była ta książka?! - wrzasnął Bernadecie prosto w twarz.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. - Co ty robisz?

- Rozpoznałem cię. To ty zostawiłaś ślad tym pędzlem! - krzyknął, wskazując na nią palcem.

Grupka zatrzymujących się przy kawiarni ludzi gęstniała z sekundy na sekundę. Wśród gapiów Joanna zauważyła też Nikitę, który pewnie wybiegł z salonu, gdy dostrzegł przez szybę Marka rzucającego w ludzi podkoszulkiem.

Tylko nie ściągaj spodni - pomyślała, gdy Marek chwycił za pasek i zaczął się kręcić wokół własnej osi.

- Co ty brałaś? - usłyszała w słuchawce głos Bernadetty. - Co to jest?

Ups - prychnęła Joanna, przypominając sobie leżące pewnie jeszcze na talerzykach od filiżanek puste kapsułki.

- To przez ciebie! - wrzasnął Marek i chwiejąc się na boki, ruszył w kierunku klatki z papugami.

- Co robisz?

- Co mu jest?!

- Ochrona! Jak jest potrzebna, to jej nie ma!

- Człowieku, uspokój się!

- Dzwońcie po policję.

- Po pogotowie, durniu!

To był jedyny głos, który Joanna rozpoznała. Babochłop!

Wybiegła ze swojego ukrycia i stanęła w połowie drogi między jedną kawiarnią a drugą. Zdążyła zobaczyć, jak Marek wkłada rękę do klatki i łapie papugę. Obie darły się wniebogłosy. Dziobały go po rękach.

- Uwalniam znaki! - krzyknął, wypuszczając jednego ptaka, potem drugiego. - Przys... - wybełkotał i runął na ziemię.

Papugi z rozczapierzonymi skrzydłami zaczęły latać pod sufitem, obijając się co chwila o szybę.

Tłum gęstniał. Ludzie wołali lekarza.

I nagle Joanna zobaczyła wycelowany w nią palec fryzjera.

- Ona z nim była!

Kilka osób się obejrzało, ale między nią a tłumem pojawiło się trzech biegnących ochroniarzy. Przysłonili wyciągniętą rękę Nikity.

Joanna nie czekała. Postanowiła uciekać.

Zielone papugi skrzeczały, fruując jej nad głową. To opadały z sił, to unosiły się do góry, nieudolnie machając skrzydłami. Jedna poczuła powiew świeżego powietrza. Poleciała w jego kierunku. Wielki wentylator obciął jej głowę, która spadła na ziemię pierwsza. Po niej wnętrzości, a na koniec malowniczo wirujące w powietrzu zielone pióra.

\*\*\*

Nie udałooby mi się uciec, gdyby nie rwetes nad ptasim truchłem.

Musiałam uciekać. Nie zrobiłam kursu pierwszej pomocy. Nie znam się na tym! Przecież.

I nie chcę też, żeby mnie zatrzymali. Nie teraz!

Wskazywał mnie zdradziecki palec fryzjera! Widział mnie babochłop. Nic mi nie zrobił, bo stał za daleko. Zamknięty za szybą jakiegoś sklepu. Dobrze - siedź w terrarium! Tam twoje miejsce! Śpiewam. Mój ulubiony kawałek Nirvany o licie! *I'm so ugly that's okay cause so are you<sup>2</sup>*.

Wpadam do piętrowego giganta. Lecę pomiędzy minibraniami dla miniludzi. Wózki na górce - pokazuje napis. Są schody ruchome. Wbiegam na nie i mam podwójną prędkość. Nosiki. Chodziki. Spacerówki... Na spacer nie wyjdę... Muszę się przebrać... Oglądają się za mną.

Mam na nogach szpilki, sukienkę...

---

2 Fragment tekstu piosenki *Lithium* zespołu Nirvana; sł. Kurt Cobain (także poniżej).

Nie na minibalik!  
Asiu! Zatrzymaj się! Ogarnij się!

*I like it I'm not gonna crack  
I miss you I'm not gonna crack  
I love you I'm not gonna crack  
I killed you I'm not gonna crack...*

\*\*\*

Joanna się zatrzymała. Mogła biec dalej, starczało jej siły, tylko że nie miało to sensu. Odbiegła daleko, była na drugim piętrze galeryjnego giganta. Tysiące ludzi wokół. Ale i tak ktoś mógł ją rozpoznać. Wystarczył opis Nikity. Wysoki obcas, gołe plecy, rozwiany blond włos... Wiedziała, że w końcu wychwyci ją jakaś kamera. I to zanim ona zdąży stąd wyjść.

Usiadła więc na jednym z pufów i starała się uspokoić. Plecak został w kawiarni. Nie miała pieniędzy, ale też nie mogła teraz po nie wrócić. Nie tak, jak wyglądała... Nie teraz.

Wreszcie wstała i leniwym krokiem wyszła z działu dziecięcego. Po drugiej stronie galeryjnego korytarza były ubrania. Weszła tam. I zaczęła ściągać rzeczy z wieszaków. Wybierała najpaskudniejsze. Workosukienki niczym spadochrony. W przymierzalni była kolejka. Dobrze. Joanna czekała oparta o ścianę, aż znudzony chłopak do pilnowania pokazał jej jedną z kabin.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć - policzył trzymane przez nią ubrania i wręczył plastik z wymalowaną szóstką.

Prawie na niego nie patrzyła. Udawała, że bada ręką jakość materiałów. A nie było czego badać.

Weszła i spojrzała na siebie w lustrze. Porozwieszała ubrania na drążku. Zrzuciła sukienkę. Włożyła pierwszą lepszą. Żółte, falbaniaste, bawełniane paskudztwo na ramiączkach. Z cienkim czarnym sznurkiem zamiast paska. Wyciągnęła go. Palcami odgarnęła do tyłu włosy. Wygładziła. I okiełznała sznurkiem, plotąc ciasny warkocz tuż przy karku. Ściągnęła sukienkę, wywróciła na lewą stronę i wytarła nią twarz, usuwając tyle makijażu, ile się dało. Tarła mocno, dopóki na

policzkach nie pojawił się rumieniec.

O, ta będzie dobra! Pasuje do prząsnej gęby - pomyślała, chwytając długą, szeroką sukienkę nakrapianą gęstym wzorem z kolorowych polnych kwiatków. Syntetyczny materiał imitował len. Słaba iluzja, ale zawsze...

- Doskonały worek - burknęła. - Tyle zbędnego materiału - dodała, patrząc skrzywiona na trójkąt, który utworzyła, gdy chwyciła skraje sukienki.

Wyszła z kabiny. I spojrzała na siebie w większym lustrze.

Ile tu miejsca! - pomyślała w momencie, gdy jej wzrok padł na poduszkę leżącą na pufie pod ścianą. Usiadła tak, jakby czekała na kogoś, kto właśnie coś przymierza. Po chwili uniosła sukienkę i rozpostarła materiał niczym spadochron. Ruch był duży. Chłopak zajmował się wydawaniem numerków. Do kabiny wróciła już z poduszką między nogami. Tam zadarła sukienkę. Kolejnym wyciągniętym paskiem przewiązała poduszkę na brzuchu. Była w sam raz. Równiutko, żeby nie utrudniać pracownikowi skomplikowanej czynności liczenia, ułożyła wieszaki z ubraniami. Ze swoją sukienką włącznie. I powoli, ostrożnie, by nie stukać szpilkami, wyszła. Przegięta do tyłu, trzymając się za brzuch, z rumieńcami na twarzy, oddała ubrania, przy czym głośno beknęła w kierunku chłopaka. Odwrócił głowę. Wziął wieszaki. Wszystko się zgadzało.

Naprzeciwno był sklep z obuwem. I mnóstwo kupujących. Niezbyt dużo czasu zajęło jej wypatrzenie klientki, która biegła od półek do lustra, przymierzając coraz to inną parę. Joanna oceniła buty, w których tamta przyszła. Były idealne. Płaskie, człapiące klapki. Pasowały do łąki. Zdjęła szpilki, a gdy tylko kobieta znikła za regałem, wsunęła na nogi jej klapki. Z żalem spojrzała ostatni raz na swoje pantofle na pięknym obcasie. Wyszła ze sklepu. Przez szybę zobaczyła kręcącą się w kółko kobietę. Widząc jej minę, miała ochotę wrócić i wrzasnąć jej w twarz: „Ciesz się! Zostawiłam ci piękne buty w zamian za to paskudztwo!”.

Ale nie mogła tego zrobić, więc poczłapała na rozstawionych szerzej nogach, czule podtrzymując sztuczny brzuch. Powoli ruszyła w kierunku kawiarni.



Na dole nie było już ani Bernadetty, ani Marka. Krzątała się sprzątaczką z szufelką pełną zielonych piór. Została tylko rzadziejająca garstka ludzi. Wśród nich rozglądający się wokół Nikita. Joanna przyglądała spięte włosy. Nadeła policzki i wygięła się do tyłu, podtrzymując ręką plecy. Omiótł ją wzrokiem i odwrócił głowę.

A powinien podziwiać, przecież to jego dzieło - pomyślała i wzruszywszy ramionami, weszła do kawiarni.

Plecak leżał wciśnięty za filar, ale przy stoliku siedziała zakochana małaletnia parka. Joanna ruszyła w kierunku jedynego wolnego krzeselka, odsunęła je i usiadła w szerokim rozkroku, głośno sapiąc.

- Muszę posiedzieć - wyjaśniła zaskoczonym jej widokiem nastolatkom.

- A... proszę - wydukała dziewczyna, patrząc na skonfundowanego chłopaka.

- Co tam się stało? - Joanna wskazała na ciągle dzielącą się wrażeniami grupkę osób w kawiarni naprzeciwko.

- Pogotowie zabrało jednego faceta... Miał jakiś atak - odpowiedziała dziewczyna.

- Oszałał? - zapytała Joanna, gładząc się po brzuchu.

- Tak. Wariat jakiś, papugi wypuścił i się rozbiarał... - wtrącił się chłopak. - Debil.

- Och! - westchnęła Joanna. - Nie masz pojęcia, jak łatwo zostać debilem. Pokazać ci?

Chłopak osłupiał.

Ale nie było czasu na odpowiedź. Podeszła kelnerka.

- Czy mogę coś podać? - zwróciła się do Joanny, bo młodzi mieli ledwo napoczęte pucharki lodów.

- A co pani poleca?

- Mrożoną kawę z bitą śmietaną i syropem karmelowym, do tego ciastko...

- Chce mi pani dziecko zabić! - krzyknęła Joanna. - Ma pani pojęcie, co się w tej kawie rozpuszczalnej znajduje?! Dwadzieścia procent kawy najgorszej jakości, a reszta to emulgatory, stabilizatory, zagęszczacze, rakotwórcza ochratoksyna zapewne. Karmel, mówi pani... czyli zapewne barwnik

amoniakalno-siarczynowy... bita śmietana w sprayu, czyli mleko w nie wiadomo jakim proszku i emulgatory E 339, E 407. Mam mówić dalej? - Zobaczyła, jak parka, patrząc po sobie, chwyta pucharki w ręce i wstaje. - Czy nadal jest pani pewna, że to nie zaszkodzi mojemu maleństwu? - zapytała z przestrawieniem, obejmując brzuch.

- E... dowiem się. Jeśli na coś się pani zdecyduje, to proszę...  
- Kelnerka zaczęła się wycofywać w kierunku baru. - Tam będę  
- dodała w popłochu, zapewne nie życząc sobie kolejnego spotkania.

Chłopak z dziewczyną uciekli w najdalszy kąt kawiarni, raz po raz spoglądając ukradkiem na zwariowaną babę w ciąży.

Joanna przesiadła się na krzesło pod oknem. Czuliła na sobie spojrzenia kelnerek, które wytykając ją palcem, ostrzegały się nawzajem, ale po kilku minutach im się znudziło. Wtedy nachyliła się i wyciągnęła zza filara plecak, który niezauważony przez nikogo spokojnie na nią czekał.

Z czułością przytuliła go do poduszki.

\*\*\*

Mam komputer. Mam pieniądze, mam klucze do mieszkania Marka... ale nie mam dobrego planu.

Wysłałam z kawiarni i idę. Wiem, że plan zaraz się sam pojawi. Jestem przecież genialna! Wiem to!

I wiem jeszcze coś... Z czego większość ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy. Człowiek jest zawsze we właściwym miejscu, we właściwym czasie!

Przypomniałam to sobie, patrząc na witrynę księgarni, obok której przechodzę! Przecież powinnam tu być.

A co najmniej na jednej z półek...

Wchodzę. Jest tłum, ale mocno wypinam brzuch i głośno stękam. Przepuszczają mnie. Gdzie jest sensacja... A, dwa regały dalej... Idę tam... A po drodze dział psychologia...

No, nie mogę się powstrzymać! Ile tutaj pięknych tytułów, aż dech w piersi zapiera... *Zakazana retoryka, czyli programowanie umysłów niezawodną ręką manipulacji...* Obok *Sztuka inteligentnego kłamstwa...* dalej *Skuteczny wpływ,*

*Słowa, które pomagają wygrać, Szantaż emocjonalny - znam to, świetny poradnik. Podręcznik manipulacji - też czytałam, powinien być obowiązkowy! O, tego nie znam... Mądrość psychopatów, czyli lekcja życia pobierana od świętych, szpiegów i seryjnych morderców - doskonały tytuł, Czarna księga perswazji... - też nieźle. Ciekawe, jak to reklamują, zerknę na okładkę. Jest opis: Przystępnie opisane - techniki budowania przesądów, techniki uzależniania innych od siebie, techniki tworzenia autorytetu, techniki zakotwiczenia czyichś myśli w swój obszar, techniki kreowania wrażeniem...*

*I love it!*

I cała masa poradników w stylu „Nie jesteś jeszcze narcyzem”. Oszalałeś?! Zostań nim! Wszystko należy się tobie!

Jestem dumna i z tej dumy trzymam się za brzuch.

Rośnie przecież całe nowe pokolenie... Uśmiecham się do pani, która prowadzi dziecko za rękę. Dziecko w uroczy sposób pluje na podłogę, a pani zakupuje poradnik *Jak wychować geniusza... kilka prostych rad*.

- Kochana - mówię, gładząc się czule po brzuchu. - Przyszłość należy do nas.

Pani uśmiecha się i wdzięcznie mierzwi dziecku włosy. Dziecko ciągnie ją za rękę...

- Oj, mało jej nie wyrwie - mówię wesoło. - To minie... - dodaję serdecznie. - Cierpliwości, niedługo będzie umiało ją odgryźć - stwierdzam fakt.

Pogadałabym z tą panią dłużej, fajny ma wyraz twarzy, ale muszę do swojego działu.

Sensacja.

*Zginęłaś czy ktoś cię zabił, Justyno? Jest!*

Ale na samym dole! Brak szacunku dla zmarłych. Biorę wszystkie egzemplarze. Stawiam na górze, a trzy niosę na półkę bestsellerów... To moja ulubiona.

Pięknie tu wygląda... I jest na swoim miejscu! Zrobię zdjęcie i pokażę Markowi... To też jego sukces!

I muszę zadzwonić do Bartłomieja psychiatry... Bo nie do końca rozumiem, o co chodzi!

Usiądę jeszcze gdzieś, z poduszką ciężko się chodzi...

\*\*\*

Żeby się lżej chodziło, Joanna kupiła wózek z dużą gondolą, dostała kocyk gratis od sklepu, a od siebie ukradła lalkę bobasa.

Teraz przysiadła na ławce wokół klombu pełnego sztucznych kwiatów i zasłoniła się, rozkładając budkę nad lalką. Kołysała miarowo wielofunkcyjną rączką i dzwoniła do psychiatry. Godzina była idealna, bo jadł o tej porze. Mógł nie odebrać nieznanego numeru, więc na zachętę puściła mu esemesa: *Smacznego.*

*Mam spotkanie* - dostała odpowiedź z automatu.

- Nieładnie... - burknęła pod nosem i odpisała: *Jeszcze wczoraj słyszałam, że mam dzwonić, kiedy chcę... nie ma co ufać ludziom...*

*A papugi nie żyją* - chciała dopisać, ale się powstrzymała.

Telefon zadrzął i rozdzwonił się prawie natychmiast.

- Co się stało? - usłyszała głos Bartłomieja psychiatry.

- Nie, chciałam spytać, czy ci smakuje - zaśmiała się, bo wyraźnie słyszała mlaśnięcie w słuchawce.

- Asiu, nie jestem w zabawowym nastroju i mimo wszystko mam nadzieję, że ty też nie...

- A dlaczego? Jak mówił ksiądz Twardowski: „Błogosławieni, którzy potrafią śmiać się z własnej głupoty, albowiem będą mieć ubaw do końca życia” - stwierdziła z zadowoleniem.

- Jesteś pewna, że warto prowadzić tę rozmowę? - zapytał kategorycznym tonem. - Wiesz, że twój doskonały nastrój mnie akurat nie bawi. Potrzebujesz pomocy?

- Tak - odpowiedziała z powagą.

- Więc słucham.

- Przypuszczam, że na oddział intensywnej terapii trafił mój przyjaciel Marek Rybik. Myślę, że to zatrucie lekami... Przykro mi, ale nie mogłam nic zrobić... - dodała płacząco.

- Też coś brałaś?

Zignorowała to pytanie.

- Czy mógłbyś sprawdzić jego stan... proszę, to dla mnie ważne.

Przez dłuższą chwilę się nie odzywał.

- Wiesz, do jakiego zabrali go szpitala? - zapytał w końcu.

- Nie, nie było mnie przy tym.

- Daj mi chwilę - powiedział i rozłączył się.

Przez piętnaście minut Joanna kołysała kolanem wózek i klikała w klawiaturę rozłożonego na ławce laptopa.

Zadzwoił.

- Joanno - oznajmił oficjalnym tonem - jego stan jest poważny. Bardzo poważny. Ostrzegam cię. Badają skład proszku, który najprawdopodobniej zażył... Nie wiadomo, co to jest. Asiu, nie kupuj nieznanych leków. Nie z internetu! Błagam. Nawet xanax bywa podrobiony. Psychotropy też. Spróbuj mnie posłuchać...

- Posłuchałam - odpowiedziała Joanna i rozłączyła się.

Dzwonił jeszcze, ale nie odebrała. Tylko coraz mocniej machając nogą, tak że wózek zaczął się trząść, wykręciła numer do księżniczki Tranxene i umówiła się z nią. Dziewczyna niby nie miała czasu, ale Joanna zaproponowała podwójną stawkę, poza tym miło z nią pogaworzyła i umówiły się za godzinę na podziemnym parkingu. Piętro minus dwa.

Następnie wykręciła numer na poliqę. I poinformowała o szczegółach spotkania. Zwracając uwagę na ciężki stan niejakiego Rybika, który po zażyciu medykamentów rozwożonych przez dziewczynę w smarcie znalazł się w szpitalu. Stan ciężki, istnieje zagrożenie życia. Informacja do sprawdzenia. Na koniec dodała, że mogą się spodziewać ilości hurtowych.

Po zakończeniu rozmowy wyjęła i złamała kartę, po czym upchnęła ją między sztuczne kamyki w plastikowej doniczce.

Miała nadzieje, że policjanci zdążą. Dwadzieścia minut na sprawdzenie szpitala i dwadzieścia na dojazd. Ciężki stan i wizja hurtowych ilości powinny przyspieszyć działania.

Sama też postanowiła się przygotować. Była zła na księżniczkę i zła na siebie, że nie dały jej do myślenia sztuczne rzęsy i podrabiana torebka. Powinna była wziąć pod uwagę, że i towar ma podrabiany.

- Świat schodzi na psy - powiedziała do lalki w wózku, kiwając z niezadowoleniem głową. - W Afryce dwieście tysięcy

dzieci rocznie umiera po zażyciu podrabianych leków na malarię, a w Europie podrabiają viagrę... ale żeby antydepresanty...!

Joanna szczerze uważała, że przebrała się miarka. Postanowiła zobaczyć, czy policja się sprawi, choć było to odrobinę niebezpieczne. Długo jeździła windą góra-dół, nim wysiadła na poziomie minus dwa z grupką pasujących jej ludzi, mianowicie pary z dwójką dzieci. Szła za nimi w bezpiecznej odległości, tak by wyglądać na kogoś zaprzyjaźnionego. Spodziewała się co najmniej jednego policjanta, a było ich dwóch. Jeden chodził przy wyjeździe z piętra, drugi stał przy parkometrze i patrzył na przechodzących, ale bez zbytowego zainteresowania. Z daleka widziała, jak mały smart zaparkował.

- W czymś pani pomóc? - usłyszała poirytowany głos ojca dwójki dzieci, który szarpany przez żonę zwrócił się w końcu do idącej tuż obok kobiety.

Joanna dopiero teraz zauważyła, że prawie wjechała między nich wózkem.

- Tak. Podkomisarz Beata Chaber - oznajmiła, nachylając się w ich kierunku. - Przepraszam, ale zaraz będzie tu akcja aresztowania małoletniej dilerki narkotyków. Proszę się za bardzo nie rozglądać i zachowywać naturalnie.

- Co pani mówi? - jęknęła kobieta.

- Chyba nie jestem wariatką i nie wożę plastikowej lalki po garażu dla zabawy - oświadczyła Joanna, a małżeństwo odruchowo zajrzało do wózka. Poprawiła kocyk. - Proszę nie utrudniać działań. Po aresztowaniu muszę obserwować teren, może dziewczyna ma współników. Zakładam, że to nie państwo. - Zrobiła minę, jakby zaczęła się nad tym zastanawiać.

- Nie, nie! Mogę wsadzić dzieci? - zapytała kobieta, widząc, że jakiś samochód rzeczywiście zajeżdża z piskiem drogę smartowi. I wysiada z niego kilku mężczyzn. Jeden wyciągnął legitymację.

- Proszę bardzo. A pan niech ze mną rozmawia jak gdyby nigdy nic.

- Ale o czym? - Przestraszony mężczyzna patrzył to na

Joannę, to na wyciąganą z samochodu dziewczynę, której założono kajdanki.

- O życiu - oznajmiła Joanna. Zobaczyła, że jeden z policjantów kiwa z zadowoleniem głową, pokazując drugiemu zawartość wielkiej podrabianej torby. - O! Udało się! - powiedziała cicho. - Jakie plany na wieczór? - dodała znacznie głośniej, nachylając się nad wózkiem, bo znowu jeden z policjantów zaczął się im przyglądać.

- A... - zaczął mężczyzna, ale nie wiedział, co mówić dalej.

- Trzeba mieć jakiś plan... - Joanna popatrzyła na kobietę, która pozapinała dzieciakom pasy, a teraz przerażona wyglądała przez szybę.

Zastukała. Szyba odsunęła się.

- Kochana, pozwolisz, że Robert odprowadzi mnie do sklepu?

- Ale on nie...

- Nie szkodzi. Robert do niego pasuje... Spełni tylko kolejny dobry uczynek.

Policjanci trzymali już księżniczkę w samochodzie. Jej mina bardzo się Joannie spodobała. Poza tym nie było na co patrzeć.

- A... dobrze. Długo? Bo... - jęknęła kobieta.

- Dwie minuty, i proszę się zachowywać naturalnie... Kochana, zaraz wracamy, zapomniałam siatki. Gdzie ja mam głowę! - powiedziała głośno Joanna i wzięła mężczyznę pod rękę.

Minęli tajniaka.

Zaczęła paplać bzdury w stylu „bardzo pan dzielny i do tego przystojny” i miała ochotę jeszcze chwilę się tak zabawić, ale „Robert” był już wyraźnie uradowany komplementami. Kiedy jednak wysiedli z windy, zatrzymała się z wrażenia. Na końcu korytarza zobaczyła Bernadettę, która zerkając na zegarek, szła w stronę ruchomych schodów wiodących na górę. Ciągłe trzymając mężczyznę pod rękę, Joanna skierowała się do panoramicznej windy. Wprowadzili do niej wózek. Wyraźnie zasugerowała, że wypatrzyła kogoś z podejrzanych o handel narkotykami. I zaczęła się rozglądać, próbując odgadnąć, z kim umówiła się Bernadetta Okoń... bo na kogoś musi czekać, skoro Marek Rybik już dawno odjechał karetką. I ledwo tego kogoś

wypatrzyła. Pojawił się u szczytu ruchomych schodów. Posiwiął, na czole miał duże zakola, ale rozpoznała go - Tomasz Przekora, prokurator. Chwilę postać przed windą, bojąc się stracić go z oczu, po czym ruszyła uwieszona na ręce mężczyzny, który rozemocjonowany zaoferował się pchać wózek, żeby mogła swobodnie prowadzić obserwację.

Szli za nimi, a „Robert” gadał coś, na co nie zwracała uwagi. W końcu go zrozumiała.

- Czy może... numer telefonu?

Boże, w ciąży, z dzieckiem, a wystarczyło facetowi powiedzieć, że nadaje się na superbohatera...

- Numer mojego telefonu? - powtórzyła. - Dałabym ci go, alem go zjadła... - oświadczyła, a widząc jego minę, dodała: - Robercie, ja jestem na służbie.

Spojrzała na Bernadettę, która zatrzymała się w kawiarni przed kinem, a potem usiadła w kubełkowym fotelu przy małym stoliku. Po sekundzie dołączył do niej Tomasz.

- Doprowadź mnie, proszę... o tam. - Wskazała na fotelik stojący tyłem do tego, przy którym usiadła Bernadetta.

- A... dobrze - odpowiedział skonsternowany kandydat na szpiega i zapewne też kochanka.

Joanna ustawiła się bokiem. Zauważyła kątem oka, jak prokurator na nią zerknął, ale widząc ciężarną kobietę z wózkiem i towarzyszącego jej mężczyznę, stracił zainteresowanie. Usiadła plecami do Bernadetty i Tomasza, w odległości, która pozwalała słyszeć ich rozmowę.

- Idealnie - powiedziała i palcem dała „Robertowi” znak, żeby się nad nią nachylił. - Dziękuję, świetnie się państwo spisali - wyszeptała mu prawie do ucha. - A teraz proszę mi pozwolić kontynuować czynności operacyjne. Pa, kochanie, jesteś cudowny - dodała już znacznie głośniejszym głosem.

- Pa - odpowiedział i odszedł, kilkakrotnie oglądając się za siebie.

Joanna usiadła w pozycji niemal półleżącej, jakby ze względu na uciążliwy, wielki brzuch, i zaczęła podsłuchiwać.



Oplaca się robić dobre uczynki dla niedobrych księżniczek.

A zastanawiałam się, czy to zrobić. Głupia!

Oczywiście żał mi bardzo Rybika mojego. Tyle pracy w niego włożyłam. Tak ładnie ścięte miał włosy... I dobrym kochankiem się okazał...

Ach, ci nieśmiali, gdy się ich ośmieli!

Myślałam, że jeszcze mi się chłopak przyda, a on teraz załegnie w szpitalu. Pewnie wyjdzie z tego, ale dla mnie może już być za późno. A tu akcja się zagęszcza... Na scenie aktorzy znani z pierwszego aktu pojawiają się i w trzecim - świetna sztuka.

Dobrze, że zadzwoniłam na policję.

Nie dlatego, że jakaś specjalna krzywda stanie się księżniczce Tranxene... Za leki kara niewielka, to nie narkotyki... A dziwne, bo zyski ogromne... Bardziej opłacalne to niż podrabianie pieniędzy... Za obrót dostanie niewiele... Ale weekend popsułam jej na pewno! Niech nie handluje podróbkami... Niech się dziewucha dowie, co to kiepska jakość!

Czasami brak planu to dobry plan! Jakbym z ciekawości nie była na tym parkingu, nie dojrzałabym Bernadetty, która właśnie skończyła przedstawiać się prokuratorowi, tłumacząc, kim jest i czego oczekuje.

Zapoznanie mają już za sobą. A ja wyciągnęłam laptop.

I choć nienawidzę zapachu popcornu i nachosów, z wielką przyjemnością siedzę i słucham, jak zaczynają mówić o mnie! I o mojej twórczości!

\*\*\*

Joanna zapisywała to, co słyszała za plecami. Komfortowa sytuacja, nic nie trzeba wymyślać - stwierdziła z zadowoleniem, przebierając palcami po klawiaturze.

- Dlaczego chciała pani się ze mną spotkać?

- Wszyscy jesteśmy zamieszani w tę sprawę, a właściwie książkę - wyjaśniła Bernadetta.

- Myśli pani, że chcę o tym rozmawiać? - zachnął się prokurator. - Że nie mam tego dosyć?

- Myślę, że musimy zacząć działać wspólnie.

- Niby dlaczego?

- Dlatego, że wszystko zaczyna wymykać się spod kontroli...

- Niby czyjej? - przerwał jej Tomasz Przekora.

- Tego właśnie nie wiem - odpowiedziała Bernadetta pewnym siebie tonem i zrobiła pauzę.

A Joanna zastanawiała się, czy nie było słyhać, jak za-zgrzytała zębami.

- Ustalmy fakty - zaproponowała. - Komu zależało na wydaniu tej książki?

- Nie wydawcy? - zapytał Tomasz Przekora.

- To wydawca jednej książki. Bo tyle ma na koncie własnych publikacji. Firma z adresem internetowym... Jemu niby miałyby zależeć?

Joanna mocno wyteżyła słuch. Bernadetta kłamała jak z nut. Niedawno półprzytomny Marek Rybik nie tylko zdemaskował siebie, przyznając się do znajomości z Mariettą, ale i rozpoznał w Bernadecie Okoń swojego zleceniodawcę. Joanna miała pewność, że się nie mylił, i była z niego dumna. Szybko się uczył. A na pewno tego, że każdy zostawia ślad. Nigdy wcześniej nie widział Bernadetty, a rozpoznał ją po szczeniackiej inwektywie. Świetnie, że nie mogła się powstrzymać od wyzwania go w piśmie i w słowie od „młodych pędzli”... To ona wysłała Markowi tekst - to było oczywiste. Tylko dlaczego? Co knuła? I dlaczego teraz zwabiła rozżalonego prokuratora.

- A więc kto? - zapytał.

- Ktoś, kto chce rozwikłać sprawę sprzed lat...

- Na przykład pani?

Joanna chciała przyklasnąć w dłonie, ale szkoda jej było odrywać ręce od klawiatury. Brawo! - zapisała tylko. Dobra robota, niewierny Tomasz! Lata pracy zrobiły swoje! Masz intuicję. Albo brak ci zaufania do ludzi... Też brawo!

- Jestem pierwsza, która chciałaby się dowiedzieć... - Bernadetta westchnęła głośno, a Joanna, słysząc to, zacisnęła zęby. Czołowa zasada kłamstwa doskonałego: przytaknąć grzecznie, a potem za pomocą „ale” ładnie się wycofać. - Ale nie ja to zrobiłam. Nigdy nie zrobiłabym tego Mariettcie. Znam ją, to wrażliwa dziewczyna... która dużo już wycierpiała. Nie

pozwoliłabym odgrzewać tych wszystkich wspomnień. Bałabym się, że dojdzie do tego, do czego doszło... Wie pan, co się stało?

- Niby jak mam nie wiedzieć! Napisała list do prokuratury, oskarżając w nim ojczyma...

- Będzie wszczęte nowe śledztwo? - zapytała Bernadetta z zaciekawieniem w głosie.

Joanna dosłyszała nutę tryumfu.

- Nie wiem, i nie ja będę je prowadził. To chyba jasne! - odparł nerwowo Tomasz Przekora. - Ale według mnie nie ma podstaw... - Zamyślił się.

- Teraz też nie ma? - Tym razem w głosie dziennikarki zadźwięczała irytacja.

- Niby ze względu na książkę?! - prawie krzyknął prokurator.

- Nic się nie zmieniło, odkąd Marietta była u pana? Proszę się nie dziwić, że wiem - powiedziała Bernadetta po chwili, a Joanna pożałowała, że nie widzi miny Tomasza. Ta informacja ją zaskoczyła, jego zapewne też. - Jestem jedyną koleżanką jej matki, która z tą biedną dziewczyną utrzymuje kontakt... Minęło już tyle lat, ale przecież dobrze znałam Justynę, ona była dla mnie... - Bernadetta westchnęła.

- Nie wiem, do czego zmierza ta rozmowa! - odparł stanowczym tonem Tomasz i Joanna usłyszała szurnięcie fotela. Szykował się do wyjścia.

- Proszę się nie denerwować. - Bernadetta przybrała uspokajający ton. - Wiem, że był pan dla niej bardzo uprzejmy i wyjaśnił rzeczowo, że prokuratura nie zajmuje się osobami zaginionymi, dopóki nie ma podejrzenia przestępstwa. Uspokoił ją pan, że jeśli tylko pojawią się nowe dowody, nawet bez ciała będzie można wszcząć śledztwo. Wszystko mi powiedziała.

- A więc może to ona...

- Ona zareagowała dopiero, gdy książka się ukazała, rozgrzebując, niestety, stare rany. I to był krzyk bezsilnego dziecka. Do tego czasu żyła normalnie, pracowała... - Bernadetta znów głośno westchnęła.

- A więc komu jeszcze zależało na grzebaniu w przeszłości? -

zapytał poirytowany Tomasz.

- Błąd polega na tym, że skupiamy się na osobach, których ta historia dotyczy, a nie na właściwym sprawcy, który omal nie doprowadził do śmierci jedynej córki Justyny.

- Czyli? - zapytał zdziwiony prokurator.

- Przecież to jasne. Tu nie chodzi o rozwiązanie zagadki. Tu chodzi o miłość własną tej pożałuj Boże pisarki...

Joanna wstrzymała oddech.

- To ona chciała, by jej dzieło ujrzało światło dzienne, a nie żeby prawda wyszła na jaw.

- Ale dlaczego teraz? - zastanawiał się Tomasz Przekora. - Według Michaliny ona napisała tę książkę dawno temu!

Joanna usłyszała w jego głosie ton zadowolenia. Podobała mu się taka hipoteza.

- Bo dopiero teraz mogła ją wydać - wyjaśniła Bernadetta. - Wcześniej była związana umową z wydawcą, który kupił prawa do tej książki. Z tego, co udało mi się ustalić, tamten wydawca prosił ją o zmianę zakończenia, a ona nie chciała się zgodzić, mówiąc, że to integralna część utworu i że nie poprawi ani słowa. Kiedy jednak określony w umowie termin upłynął, ta... w cudzysłowie... literatka...

Joanna czuła krew napływającą do mózgu, miała wrażenie, że zabułgotało jej w głowie. Najchętniej odwróciłaby się i rzuciła z pięściami na kłamliwą dziennikarkę. Ale powstrzymała się, zaciskając palce na krawędziach laptopa. Oddychała głęboko.

Wytrzymaj - mówiła w duchu sama do siebie. Wytrzymaj, proszę...

- ...odzyskała prawa i postanowiła obdarzyć świat swoim arcydziełem. Nie bacząc na konsekwencje, nie zastanawiając się, ile krzywdy ludziom wyrządzi - zakończyła Bernadetta.

- Nie ma pani pojęcia jak wiele... - jęknął po dłuższej chwili prokurator. - Moja żona jest po chemioterapii. Rak piersi, niby we wczesnym stadium, dobre rokowania, ale zmieniło ją to strasznie... i tak już stała się drażliwa, miała mnóstwo pretensji do świata i do mnie, przekreśliło się nam życie, a po tej książce... chyba się pani domyśla... Przeczytała, że niby od dawna marzę, by zostać wdowcem...

- Bardzo mi przykro - powiedziała ze współczuciem Bernadetta i zamilkła. Chyba chciała, żeby się wygadał.

- Klótnie, awantury, pozew o rozwód... - kontynuował Tomasz Przekora podłamany głosem. - Całą historię naszego małżeństwa napisała sobie od nowa... A mamy dwóch synów, jeszcze w szkole... I to wszystko przez tę pisarkę? Dla książki?! - zadał retoryczne pytanie.

Joanna miała ochotę odwrócić się i dać mu jasną odpowiedź: „Tak! To pewnie ja się pieprzyłam z koleżanką z pracy!”, ale znowu się powstrzymała.

- Tak przypuszczam - oświadczyła Bernadetta.

- Ale wiem od Michaliny, że ona jest w szpitalu psychiatrycznym...

- I co z tego? Teraz na przykład sobie z niego wyszła... Zapewne pójdzie do prasy i zacznie udzielać wywiadów, odpowiadając na pytania: „Co było źródłem pani inspiracji?”.

Wylewnie będzie się nad tym rozwodzić... Przecież o to jej chodziło.

- O nie! - krzyknął Tomasz Przekora. - Do tego, kurwa, nie dopuszczę! - stwierdził pewnym siebie tonem, jakby wstąpiła w niego nowa energia.

No tak - pomyślała Joanna. Teraz znalazł wroga, sprawcę swoich nieszczęść. Ma kogo ukarać i już wie, co robić. Jak i gdzie zacząć działać... No, powiedz mi...

Zastygła z palcami nad klawiaturą, mając nadzieję, że Tomasz przedstawi plan, który zaczął kielkować w jego głowie.

- To by było dobre dla wszystkich... - stwierdziła Bernadetta.

- Chyba dla ciebie! - wysyczała Joanna przez zaciśnięte zęby.

- Tylko jak? - usłyszała zatroskany głos dziennikarki.

- Nasza prokuratura prowadzi sprawę jej męża... - zaczął wyjaśniać Tomasz Przekora urzędowym tonem. - Okoliczności jego śmierci nie są całkiem jasne... Są tu możliwości do wykorzystania - oświadczył stanowczo.

- Jeśli ją aresztują, to na pewno zwęszy to prasa... A wtedy ona w odwecie może zacząć mówić rzeczy, o jakich nam się nie śniło. Ma pinda wyobraźnię i dar opowiadania - stwierdziła z niesmakiem Bernadetta.

- Tam, gdzie się znajdzie... - zaczął po chwili prokurator - nie będzie udzielać wywiadów.

- Czyli? - zapytała Bernadetta, a Joanna zeszywniała.

- Zwrócę się do sądu o zastosowanie środka zabezpieczającego... - mówił tak, jakby głośno myślał i sam napawał się sobą i swoimi możliwościami.

- Co to znaczy?

- Załatwię ją tą niepoczytalnością... Ze względu na sprawę męża uznam za osobę szczególnie niebezpieczną i podejmę środki, by uchronić przed nią społeczeństwo.

- Szpital? - westchnęła bez entuzjazmu Bernadetta. - Już nieraz z niego wyszła...

- Nie - przerwał jej. - Psychiatryk dla prawdziwych psycholi. Zakład zamknięty. I to maksymalnego zabezpieczenia! To gorsze niż więzienie. Zobaczysz, tam wyląduje...

- A na jak długo? - zapytała z radością w głosie Bernadetta.

- I tu... jest sytuacją idealną! W postanowieniu sąd nie określa terminu. Może być w nieskończoność. Jedyne lekarz prowadzący ma obowiązek raz na pół roku informować o stanie jej zdrowia. I to wszystko. Na resztę ja mam wpływ... więc to potrwa! Stamtąd nie wychodzi się na życzenie - zakończył tryumfalnie.

- To świetnie! Gdyby ci się to udało... - rozmarzyła się Bernadetta.

- Uda się, zobaczysz, ile potrafię! - z dumą oświadczył prokurator.

O, już są na ty! Zaprzyjaźniły się hieny. Nad wspólną padliną. Niedoczekanie wasze! - pomyślała Joanna, od kilku chwil trzęsąc się ze strachu.

Odstawiła komputer na bok, nie chciała patrzeć na swoje drżące palce. Nim poszli, nie zwracając na nią uwagi, słuchała ich jeszcze przez chwilę, wpatrzona w blat stołu. Słyszała, jak rozkoszują się wizją zasznurowania jej rąk w kaftan bezpieczeństwa - tak by nie mogła ruszać palcami, tak by te już nic nie napisały. Cieszyli się z zamknięcia jej za kratami w towarzystwie innych psychopatek... tak by znalazła się we właściwym towarzystwie! W odizolowaniu od świata, który

trzeba przed nią chronić. Mieli powody do radości.

Joanna połknęła dwie tabletki naraz.

- Co ja wam takiego zrobiłam? - zapytała samą siebie i ciągle trzęsącymi się rękami kartkowała książkę.

Jak mi się udało to wszystko tak wymyślić. Za dużo prawdy wymyśliłam! I ta prawda w końcu mnie zabije - pomyślała i zaczęła czytać.

\*\*\*

Strona 311

Anna Przekora z trudem uspiła chłopców. Zależało jej, żeby wcześniej zasnęli. Wieczór był wyjątkowy. Dziesiąta rocznica ich pierwszej randki. Zamierzała to uczcić. Posprzątała. Zmieniła pościel. Ogoliła nogi. Natarła ciało balsamem z nagietka, włożyła krótką koronkową koszulę nocną i czekała na męża w łóżku, czytając książkę, nad którą nie mogła się skupić.

- To ty jeszcze nie śpisz? - zapytał zdziwiony Tomasz, wchodząc do sypialni.

- Nie. - Odłożyła książkę. - Wiesz, jaki dziś dzień?

- Hm... zwyczajny. - Zatrzymał się na środku pokoju.

- Chodź, to ci powiem... - Odchyliła skraj kołdry, tak by widać było nagie udo.

- Zmęczony jestem... - odparł Tomasz i ociągając się, ruszył w kierunku łóżka.

- Dziesięć lat temu... pierwszy raz...

- Aha... Jak ten czas leci! Przepraszam - powiedział, całując ją w policzek. - Wiesz, jaka jest sytuacja w firmie... Padam. Dobranoc. Kocham cię - dodał i za chwilę, odwrócony plecami, zaczął miarowo oddychać.

Anna pogłaskała go po ramieniu i zgasiła światło.

Tomasz Przekora ponad godzinę udawał, że śpi.

Milion obrazów kotłowało mu się w głowie. W każdym z nich Michalina Donaj. Nie odbierała telefonów, zmieniła zamek w drzwiach. Kilka razy był na dachu wieżowca, ale tam również jej nie spotkał. Bardzo chciał ją pocieszyć. Przytulić, objąć mocno... znowu ciągnąć za włosy. Objąć się o jej pośladki... Ale Michaliny nie było. Kilka razy przyszło mu nawet do głowy, że

to rudy młodziak ją teraz pociesza, ale zawsze szybko odrzucał tę myśl. Kto jak kto, ale ona na pewno by sobie na to nie pozwoliła.

Jego też przesłuchiwała prokuratura w związku z dochodzeniem w sprawie zaniedbań w śledztwie, które prowadziła Michalina. Według Tomasza zarzuty były niedorzeczne, ale prasa wciąż je rozdmuchiwała. Zaczęło się od artykułu, w którym ktoś opisał samobójstwo Marietty. W *obronie matki* - tak brzmiał krzykliwy tytuł. Poniżej przedstawiono śmierć dziewczyny jako *desperacki akt wymierzony w bezduszną prokuraturę, która pozwoliła na bezkarność w sprawie zabójstwa matki*. Ludzie uwielbiają takie historie, więc ten artykuł uruchomił całą lawinę. Zareagowały prawie wszystkie gazety i powstał nawet program telewizyjny, w którym głośno szlochały koleżanki szkolne Marietty Lenart. Ale to nie było najgorsze, jak się później okazało. W brukowcu ukazało się zdjęcie, na którym Michalina Donaj pije kawę z głównym podejrzanym - Pawłem Cisem. Z dopiskiem: *Nowa kochanka? Czy to przez nią zabiła się córka zaginionej?* Mimo zaciemnionych paskiem oczu Michalinę rozpoznali wszyscy. Wysłano ją na urlop. Kto zrobił to zdjęcie? Ona nie wiedziała. Tomasz podejrzewał o to młodego policjanta, który niemal z płaczem wybiegł kiedyś z jej gabinetu. Mógł to zrobić z zazdrości. A po co spotkała się z podejrzanym? Nie chciała powiedzieć... a przecież wcześniej odrzucała obciążające go wnioski policji.

Bardzo się o nią martwił i bardzo chciał ją objąć. Obrócił się na drugi bok, wyciągnął rękę i odruchowo zacisnął palce na udzie żony.

Obudziła się i spojrzała na niego rozanielonym wzrokiem. Pomyślała, że opłaciło się wszystko ogarnąć i włożyć nową koszulę.

\*\*\*

I o to tak się obrazila?

Dlatego on chce mnie zamknąć na wieki?

Może po prostu ona już go nie kocha...

A może to вина chemioterapii. Ludziom się wydaje, że



choroba zmienia człowieka, bo daje mu inną perspektywę myślenia. Wygrany inaczej patrzy na świat. Myśli tylko o sobie, bo uciekł śmierci spod kosa... wie, jak ulotne jest życie, i chce z niego czerpać garściami, nie bacząc na resztę... Chory był miły, a teraz zdrowy już miły nie jest! Niby ot tak!

To ten Tomasz Przekora nie wie, że leki cytostatyczne, zwalczające nowotwory, oddziałują też na filogenetycznie starszą tkankę mózgową - główny nośnik podłoża instynktownego i podstawowej uczuciowości... Nie wie, że wyleczony może stać się egocentryczny, obojętny na sprawy innych, bo mu jakąś tkankę w mózgu wyzarło - a co gorsza, jest mu z tym dobrze!

A może są też inne powody... Zdrada na przykład... Chce zwalić wszystko na mnie, bo tak mu wygodniej!

Teraz jest w zмовie z Bernadettą. Bernadetta wykorzystwała Marka. Marek ukrywał, że zna Mariettę! Wszyscy knują... A ja nie mam sprzymierzeńców... Jestem sama... A do tego trzysta pięćdziesiąt stron świadczy przeciwko mnie!

Muszę zyskać przyjaciół... Postanawiam!

Muszę mieć kogoś, kto będzie po mojej stronie...

Artur Filc - adwokat. Na pewno! Jeśli będę przetrzymywana, jego sprawy przybiorą niekorzystny obrót. Ba! Zostaną zamrożone na wieki... Nigdy nie uzyska potrzebnych podpisów. Ale on, jak ta zielona papuga, dobry jest, kiedy może gadać... a tam, gdzie mógłby coś zdziałać, traci głowę...

Nie, on nie wystarczy...

Kto jeszcze może być po mojej stronie... Może nikt... Może to wszystko nie ma sensu...

Nie! Nie myśl tak! Zastanów się!

Łatwo powiedzieć... Czuję, jak wszystko zaczyna się rozłazić...

Wracaj, jeszcze nie... No to kto?????????????????????????????

Kto jeszcze został z głównych aktorów?????????????

Michalina Donaj - piękna, jasna myśl!

Ona będzie po mojej stronie! Tak!!!!!!!!!!!!!! Muszę zrobić wszystko, żeby była... Muszę!!!!!!!!!!!!!!

Może to jeden z moich ostatnich pomysłów...

Spiesz się, Joanno...

\*\*\*

Joanna bardzo długo siedziała na jednym z foteli przy wejściu do sal kinowych. Patrzyła przed siebie, miarowo kołysząc wózkiem. W końcu puściła go i odepchnęła. Wyjęła poduszkę spod sukienki. Miała już dosyć ciąży, postanowiła urodzić. Wyciągnęła z plecaka telefon i wystukała numer Michaliny. Zadzwoiła i usłyszała tylko pusty, jednostajny dźwięk, który powoli zaczął wpijać się jej w głowę.

Nie chce ze mną rozmawiać? - pomyślała, ale po chwili walnęła się ręką w czoło, aż został czerwony ślad. Przecież nie zna mojego numeru!

Zaczęła więc dzwonić raz za razem. Nie miała pojęcia, ile to trwało, nim wreszcie usłyszała upragniony klik.

- Tak?! - wrzasnęła do słuchawki Michalina Donaj. - Jakaś ciekawa oferta?! Koldry, pierze, garnki?! Zgłoszę ten numer na policję! Dosyć tego nękania!

- To ja - powiedziała cicho.

- Co za ja?!

- Joanna - odparła.

Przez dłuższy czas z aparatu dobiegały tylko szmery.

- Skąd masz mój numer? Zresztą nieważne! Stara, po co ty, kurwa, do mnie dzwonisz? Piszesz drugą część? Potrzebujesz mojego wymazu z gardła, cytologii, historii przebytych chorób, listy kochanków, adresu zamieszkania... czego jeszcze chcesz?!

Joanna słuchała cierpliwie. Wiedziała, że Michalina wybuchnie, i nie chciała jej przerywać. Już miała przewagę - prokurator nie rzuciła słuchawką.

- Czego, kurwa, jeszcze nie opisałaś?! - krzyczała. - Co chcesz wiedzieć? Wal... - W końcu wzięła głębszy oddech. - Kurwa, po co ja z tobą gadam?!

- Nie chciałam, żeby to się ukazało... - wtrąciła spokojnie Joanna.

- Tak?! - wrzasnęła Michalina. - I po to pisałaś! Zostaw mnie w spokoju. Nie dzwoń do mnie, bo...

Joanna wiedziała, że teraz musi coś powiedzieć, i to natychmiast, bo w przeciwnym razie ją straci.

- Grozi ci niebezpieczeństwo! - oświadczyła ze śmiertelną powagą w głosie. W słuchawce zapadła cisza. - Inaczej bym nie dzwoniła - dodała łagodnym tonem.

- Znowu jakaś gra? - zapytała po chwili Michalina. - Jesteś wariatką! Bawi cię niszczenie ludziom życia? No, powiedz, bawi?!

- Wysłuchaj mnie. Może i jestem wariatką. Niech ci będzie - potwierdziła Joanna. - Ale ty jesteś zupełnie normalna. Potrafisz kojarzyć fakty, możesz wszystkiego nie rozumieć, ale masz intuicję, wiem to. I wiem, że przeczuwasz to samo co ja. Wokół dzieją się dziwne rzeczy. Mylę się? - zapytała i choć nie usłyszała odpowiedzi, wiedziała, że trafiła. Kontynuowała spokojnym głosem: - Może świat oszalał, a może ja. To bez znaczenia. Ale jeśli w tym, co przeczuwam, jest chociaż odrobina prawdy... - zawiesiła głos - zdrowy przebłysk w chorej, jak uważasz, głowie... to grozi ci niebezpieczeństwo, i to śmiertelne. Tobie i twojemu dziecku. - Ostatnie zdanie powiedziała głośno i wyraźnie.

- Nie wierzę ci - usłyszała po chwili.

- Sprawdź mnie - odparła Joanna.

- Mów.

- Kończy mi się telefon.

- Jasne - warknęła Michalina.

- Nie bój się, jestem w galerii, niedaleko ciebie. Czekam przy sklepie zoologicznym...

- Gdzie?! Stara, co ty odpierdalasz?!

- Proszę cię... - jęknęła Joanna. - Jest tu piętnaście kawiarni, dwa kina, sto pięćdziesiąt sklepów, ale tylko jeden zoologiczny. Trafisz więc. Może zdązysz, nim ktoś zamknie mi usta... Niewielka strata. Ale ty masz dziecko - dodała i szybko się rozłączyła.

Po chwili odetchnęła z ulgą. Powiedziała to, co chciała powiedzieć. Była już pewna, że przyjdzie. Zastanawiała się tylko, czy z synem, czy sama. Nie miała pojęcia, która jest godzina, ale przybywało dzieciaków biegających po korytarzach, dosiadających bujanych koni i trąbiących samochodów. Musiało być po południu, bo zaczynały zamieniać przedszkole

na park rozrywki, ciągnąc rodziców w kierunku popcornu.

- Najwyższy czas stąd pójść - burknęła pod nosem.

Wstając, zobaczyła, jak gruba kobieta trzymająca za ręce dwie otyłe córki zagląda z ciekawością do jej wózka. Dopiero teraz zauważyła, że wózek odjechał kilka metrów od niej i stoi prawie na środku holu. Podeszła i uśmiechnęła się do kobiety, która z głupią miną patrzyła na plastikowego bobasa.

- Poprzednie zmarło - oświadczyła Joanna osłupiałej matce - więc kupiłam nowe.

Szarpnęła rączką i odwróciła się plecami. Podjechała do stolika, zabrała plecak i książkę. I ruszyła w kierunku sklepu zoologicznego. Patrzyła w szklany sufit pełen wielkich lamp i znowu się zastanawiała, czy Michalina przyjdzie z dzieckiem... Zostawi je ze strachu przed nią? Czy ze strachu przed nieznanym niebezpieczeństwem zabierze? Tak czy inaczej postanowiła kupić prezent. Już wiedziała jaki i szła z zadowoloną miną, jedną ręką kołysząc wózek, drugą kartkując książkę.

Znalazła coś prawie na samym końcu. Opis Michaliny opuszczającej prokuraturę...

\*\*\*

Strona 356

Michalina Donaj opuszczała gmach prokuratury, a zdawało jej się, że opuszcza całe swoje dotychczasowe życie. Szeroko otworzyła ciężkie drewniane drzwi, ale gdy wyszła, jeszcze się odwróciła, by popatrzeć, jak powoli się zamykają. Szpara coraz bardziej się zwężała, a z pola widzenia zniknął korytarz, którym chodziła od wielu lat. W końcu drzwi się zamknęły. Stała do nich plecami i utkwiała wzrok w lejącym się z nieba deszczu.

Mogła przeczekać pod dachem, aż ciężka, czarna chmura do końca się opróżni. Ale nie zamierzała stać w miejscu. Poza tym miała na nogach wysokie, lakierowane kalosze. Ruszyła więc przed siebie.

Szła prosto, nie omijając żadnej kałuży. Wprost przeciwnie. Z impetem stawiała kolejne kroki, rozdeptując rozlaną po chodnikach szarą breję. Za każdym razem, gdy pojawiła się na

jej drodze.

Czuła, jak szarpane przez wiatr strąki coraz bardziej mokrych włosów chłoszczą ją po twarzy. Cienkie strugi deszczu zalewały jej rzęsy i policzki, ale nie pochyliła głowy

I nie będę pochylać - pomyślała. Będę go bronić z podniesionym czołem!

Choćby cały świat był przeciwko nim! Nie wierzyła w żadne dowody. Nie wierzyła nikomu, kto go oczerniał... sugerował... dawał jej do zrozumienia... Nie wierzyła, odkąd go poznała.

Dlaczego?

- Bo tak! - krzyknęła, stawiając nogę w sam środek wielkiej kałuży.

Ślota ochlapało jej łydki i uda. Brudne plamy pojawiły się na czerwonej jedwabnej sukience. Miała to w dupie! Była pewna siebie i swoich racji...

I nie miała pojęcia, jak bardzo się myli.

\*\*\*

Ciekawe, jak wygląda teraz.

Zastanawiam się, czy przyszła do szpitala, żeby mnie tylko zwymyślać, czy również zapytać, skąd to wszystko wiedziałam?

A może tak jak w książce chciała mnie przekonać, że to nie on zabił. Teraz miała dodatkowy powód - przecież ojciec jej dziecka nie może być mordercą!

Nikt by nie chciał. No, prawie. Znam kilku psychopatów, którzy nie posiadaliby się ze szczęścia na wieść, że są zaginionymi potomkami Hitlera. Ale nie o nich teraz.

Wiedziałam, że jest w jej typie - dlaczego? Bo niektóre dziewczyny tak mają.

Lubiła się sprzeciwiać. Lubiła wiedzieć swoje. Poza tym była pewna, że zna się na ludziach... Choć na mnie się nie poznała...

Ha, ha, ha!

Śmieję się i trochę kręcę w kółko... albo ciągle mijam te same sklepy... albo one mnie mijają.

Co chwila inne dźwięki i kolory. A wszystko takie samo.

Prawie prawdziwi ludzie z prawdziwymi manekinami.

Gubię się? Siebie?

Nie! Jeszcze kojarzę... Chyba...  
Nie. Jest dobrze. Sklep zoologiczny.  
Czas *wyjść* królika z kapelusza!  
Tylko gdzie ja kupię kapelusza?

\*\*\*

Joanna długo stała przed szybą sklepu ze zwierzętami. Tym razem patrzyła na króliki. Jeden biały drugi biały w czarne łaty - dwa piękne lima pod oczami...

Przyglądała się im razem z kilkuletnią dziewczynką, obok której stała matka obwieszona biżuterią i rozmawiała przez złoty telefon.

- Mamo, kup mi królika. Tego białego. Zobacz, jaki puszek...  
-jęknęła dziewczynka.

- Nie mam pieniędzy na głupoty - oświadczyła matka.

- Kłamczucha! - wtrąciła się do rozmowy Joanna.

- Słucham? - Kobieta z niedowierzaniem popatrzyła w jej stronę i opuściła rękę z komórką.

- Niech pani spojrzy w lustro. Jest pani obwieszona głupotami. Chyba że pani te paskudne wisioriki i bransoletki ukradła. Jeśli tak, to grzecznie panią przeproszę.

Kobieta chwyciła się ręką za szyję, jakby chciała powiedzieć: „Moje te świcidelka”, biorąc na świadków ludzi dookoła. Nikt nie był jednak dostatecznie blisko, więc pociągnęła córkę za rękę. Gdy były kilka kroków dalej, wzruszyła ramionami i krzyknęła głośno:

- Wariatka!

Joanna uśmiechnęła się szeroko, pomachała jej ręką i weszła do sklepu, a po chwili wyszła z niego z pudełkiem. Otworzyła wieczko i popatrzyła na dwie tulące się do siebie istoty, po czym schowała kartonik w wózku. Niedaleko była sztuczna wyspa ze sztucznymi palmami i ławeczką. Tam usiadła, czekając na spotkanie.

Uważnie wypatrywała rozwianych blond włosów i dojrzała je w przechodzącym tłumie. Choć nie było łatwo. Michalina szła pochylona, w nienaturalnym przegięciu. Włosy zasłaniały jej twarz. Dopiero po sekundzie Joanna dostrzegła, że prowadzi za

rękę chłopca.

A więc przestraszyła się! Bała się go zostawić z kimkolwiek... nawet spośród najbliższych... Uwierzyła mi - pomyślała Joanna z zadowoleniem.

Michalina stanęła przy sklepie zoologicznym. Chwilę się rozglądała. W końcu dojrzała Joannę. Chłopiec przyłgął palcami do szyby, wpatrując się w zwierzaki. Szepnęła mu coś na ucho i pokazała palcem ławkę pod palmami. W kierunku Joanny ruszyła już z podniesioną głową. Miała na sobie krótką zieloną sukienkę z połyskującymi azteckimi szlaczkami na dole. Joanna żałowała, że sama ciągle jest w tym pseudolnianym worku, choć wiedziała, że zgrzebność pasuje do sytuacji. Mogła nawet wzbudzić współczucie.

- A więc mów! - zaczęła Michalina bez ogródek, siadając obok na ławce.

Joanna popatrzyła na nią i stwierdziła, że mimo podkrążonych oczu wygląda świetnie. Niewiele się zmieniła, może trochę spokorniała. Włosy miała gładsze, makijaż łagodniejszy, na ustach różowawy odcień, ale ten sam ogień w oczach.

- Służysz ci macierzyństwo - stwierdziła Joanna.

- Nie mam czasu na komplementy - warknęła Michalina, ale jej czoła nie przecięła żadna zmarszczka.

Świeżutki botoks, dobra robota - pomyślała Joanna z uznaniem

- Ktoś chce mnie zabić - powiedziała po chwili.

Prokurator roześmiała się szczerze.

- No co ty? - zdziwiła się teatralnie. - Sama znam kilka takich osób. Ze mną włącznie.

- Ja nie żartuję - oświadczyła Joanna poważnym tonem.

- Ja też nie! Nie masz pojęcia, ile krzywdy narobiłaś tą książką!

- Nie ja ją wydałam...

- Napisałaś też nie ty? - zapytała Michalina, rozkładając ręce.

- Nie tak, jak chciałam...

- Domyślałam się... Musiałaś się długo wahać, zanim na koniec takie podziękowania wysmażyłaś. Sprzedajne i sprytne! Niby to ma cię zwolnić od odpowiedzialności.

- Nie przeczytałam jeszcze całej... - zdziwiła się szczerze Joanna. - Jakie podziękowania?

- Nie oszukuj! Napisałaś, że się leczysz psychiatrycznie, a to forma twojej terapii...

Joanna chwyciła książkę i otworzyła na ostatniej stronie.

Podziękowania dla tych wszystkich, którzy wspierają mnie w ciężkich chwilach.

Każdy ma tajemnicę, każdy ma coś, co ukrywa przed światem. Ja leczę się psychiatrycznie...

Joanna poczuła się jak porażona prądem. Książka wypadła jej z rąk. Zatrzymała się na kolanach.

- Nie udawaj, że nie wiedziałaś - zakpiła Michalina. - Nawet zaskarżyć cię nie można, spryciaro! Sąd popuka się w głowę, jak się pożałę, co ta idiotka na mnie powypisywała...

Joanna wstała raptownie i podciągając sukienkę, zrzuciła książkę, jakby ta ją parzyła.

- Doskonale posunięcie! - kontynuowała Michalina, spoglądając na wierzącego się przed sklepem syna. - Podziwiałam cię kiedyś... I wiesz co? Podziwiam nadal... Tak, Adaś, mama jest tu! - Pomachała w kierunku chłopca, który zaczął rozglądać się z niepokojem.

Mały uśmiechnął się i powrócił do oglądania zwierząt. Dla odmiany kucnął i podziwiał świnki morskie w dolnych klatkach.

- Czy ty uważasz, że napisałabym tak o sobie? Ze nazwałabym siebie wariatką?! - zapytała drżącym głosem Joanna.

- Czemu nie...? Nieźle rozkminiasz rzeczywistość. Teraz nikt nie może ci nic zrobić... ale ty zrobiłaś, co chciałaś! Pamiętam, jak całymi nocami gadałyśmy o tym, jak to byłoby cudownie mówić, co się chce, pamiętasz? Miałyśmy niezły ubaw, Tylko że teraz nie jest mi do śmiechu.

- Ani mnie - powiedziała Joanna, patrząc na leżącą na ziemi książkę.

- Tobie?! Rozgłos ci nie zaszkodzi... A my mieliśmy się pobrać. Miesiąca brakowało, by uznać Justynę za oficjalnie zmarłą. Papiery złożone... Jedna rozprawa... Zresztą po co ja z tobą gadam... - Machnęła ręką i wstała.



- Bo przewidziałam wiele rzeczy. Na przykład to чудо. - Wskazała palcem na chłopca.

- Dopisałaś, a nie przewidziałaś! - wrzasnęła Michalina.

- To nieprawda! - krzyknęła Joanna. - Nie widziałam tego tekstu od ośmiu lat...

- Kłamiesz i zmyślasz. W nic, co powiesz, już nie uwierzę.

- Nie musisz, ale usiądź - poprosiła Joanna. - Skoro już tu jesteś, to usiądź - dodała stanowczym tonem.

- Jeszcze mi rozkazujesz... Ciebie całkiem popierdoliło! - krzyknęła Michalina.

- Być może to jedna z hipotez. I bez względu na to, co myślisz, dla ciebie najlepsza. - Joanna westchnęła. - Ale jest jeszcze druga. Rozważ ją... - zaproponowała spokojnie, a Michalina usiadła, przyglądając się jej badawczo. - A jeżeli to nie ja wydałam książkę... co jest prawdą... to dlaczego ukazała się właśnie teraz? W ostatnim momencie, kiedy można by uznać Justynę za zmarłą i zapomnieć o wszystkim...

- Nie wiem. - Michalina wzruszyła ramionami. - Może Paweł tak bardzo nie chce się ze mną ożenić, że woli być uznany za mordercę. Chętniej poszedłby za kratki niż do urzędu... - Zaśmiała się nerwowo. - To mi chcesz powiedzieć?

- O, przyszło ci coś do głowy? - Joanna też chciała się roześmiać, ale pomyślała, że nie powinna. - Komuś rozpaczliwie zależy na wyjaśnieniu tej sprawy...

- No co ty! - prychnęła Michalina i poszła w kierunku chłopca, któremu już się znudziło zagłębienie przez szybę.

Wróciła i posadziła go sobie na kolanach. Z ciekawością patrzył na nieznaną panią i wyciągnął do niej małą rączkę, ale matka ją cofnęła.

- Nie mam już czasu... - zwróciła się do Joanny.

- Więc tylko pomyśl o tym, co ci powiem. Tylko pomyśl. Również dla dobra syna. Do wydania tej książki doprowadziła Bernadetta Okoń, była kochanka Justyny...

Michalina spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

- Skąd to wiesz?

- Od chłopaka, który robił korektę i skład. Możesz go o to spytać.

- Gdzie on jest? - Michalina zdjęła z kolan wierzącego się chłopca.

- W szpitalu...

- No i po co ja pytam? - Stuknęła się w głowę. - A gdzie miałyby być kolejny wariat?

- Jest na intensywnej terapii. Nazywa się Marek Rybik. Odwiedź go i zapytaj. - Joanna schowała twarz w dłoniach.

- Co on tam robi? - zapytała Michalina z przestrochem w głosie.

- Zatrucie jakieś. Jutro już będzie zdrowy.

- Zatrucie czym?

- Lekami... Chyba załamał się po tym wszystkim...

- Jasne! - wrzasnęła Michalina. - Żyjecie w jakimś urojonym świecie. Żyćcie sobie w nim dalej, popapranu szaleńcy! Ale reszcie dajcie spokój! - Wzięła dziecko na rękę i odwróciła się, jakby chciała odejść.

- Za-cze-kaj... - ledwo wydukała Joanna.

- Nie mam zamiaru. Mam dosyć tego cyrku...

Mimo to Michalina się zatrzymała.

- Zaczekaj. To znaczy królika też nie chcesz? - Joanna wstała, podeszła do wózka, wyjęła kartonik i pokazała chłopcu skulone zwierzątko.

Zaklaskał w dłonie.

- Ciebie naprawdę pojebało... - jęknęła Michalina.

- Przecież byłaś u mnie w szpitalu - powiedziała Joanna drżącym głosem, patrząc, jak odwraca dziecku głowę.

Michalina spojrzała na nią.

- Nie byłam u ciebie w szpitalu! - oznajmiła przez zaciśnięte zęby.

Joanna patrzyła, jak odchodzi szybkim krokiem. Stała z ruszającym się pudełkiem, aż zaczęły mdleć jej ręce. W końcu je puściła. Króliki poturlały się po ziemi, a potem zaczęły kicać pod palmami.

\*\*\*

Nie wiem, po co ten cyrk... Dookoła mnie.

Podchodzą jacyś ludzie, zaczynają mnie szturchać. Pokazują

palcem. Mnie i zwierzątką.

- Pani się nieodpowiednio zachowuje - mówi sprzedawca ze sklepu.

- Bo jestem wariatką - odpowiadam. Może jeszcze pokażę mu język.

- To nie są zabawki - mówi starsza pani.

- Są! - odpowiadam jej prosto w twarz. - Nimi można się bawić, a pasztetem nie!

- Niechże pan zabierze je do sklepu - mówi pani do sprzedawcy.

- Nie przyjmujemy zwrotów- odpowiada jej, rozkładając ręce.

- Wezwijmy ochronę... - ktoś proponuje.

- Czy ochronią mnie?! - wrzeszczę i zaczynam biec przed siebie.

Muszę stąd uciec. Wyjście ewakuacyjne... Strzałka prosto... Wyjście ewakuacyjne... strzałka prosto... Wyjście ewakuacyjne... strzałka w prawo... Wyjście ewakuacyjne... strzałka w lewo...

Oszaleję, jak stąd nie wyjdę!

Ludzie mnie potrącają... Obijam się o szklane ściany... Wszędzie szklane ściany... I przeszkody... Stoisko na środku korytarza jedno. Stoisko na środku korytarza drugie... Potykam się o reklamę... Chemiczne papierosy, chemiczne odżywki, balsamy do ciała o chemicznym zapachu prawdziwego morza... Kielbasy uwędzone w sztucznym dymie zapachowym... Sztuczne światło i powietrze...

Niech mnie ktoś wypuści... Wyjście ewakuacyjne... strzałka prosto... Strzałka w prawo... Strzałka w lewo... Strzałka w lewo...

Wpadam na jakiegoś mężczyznę. Gruby jest, trudno go ominąć.

- Zrobię ci loda... jeśli mi powiesz, jak stąd wyjść. Błagam!

Chyba jest zainteresowany, bo pokazuje mi obrotowe drzwi.

Wpadam tam. Popycham mechanizm. Chcę przyspieszyć obrót świata... Jeśli tylko uda mi się popchnąć ziemię... Ale po co? - pytam siebie.

I tak wszyscy się kręcą. Ciągle.

Kręcić się w kółko - w nieskończoność. Wariat to wymyślił!  
Prawdziwy wariat!

Wiruje mi w głowie...

\*\*\*

Joanna długo nie mogła dojść do siebie ani opuścić galerii. Wykończył ją slalom korytarzem pomiędzy galeryjnymi atrakcjami. Droga ewakuacyjna była bardzo długa i wyczerpująca.

Utknęła jeszcze w obrotowych drzwiach, które się zacięły i przestały kręcić w kółko. Była mokra, gdy ktoś w końcu wyciągnął ją na zewnątrz. Coś do niej mówił, ale ona nie rozumiała co. Słyszała tylko swój oddech i bicie serca. Po chwili dotarło do niej, o czym rozmawiają ludzie wokół.

- Coś jej jest...

- Może trzeba wezwać pogotowie...

- Nie! - wrzasnęła dziko i znowu zaczęła biec jak oszalała, choć nikt jej nie gonił.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Może z kilometr, może więcej. Aż wreszcie zobaczyła ławkę pod murem obok śmietnika. Nie było tam nikogo oprócz bezdomnego wyliniałego kota. Usiadła.

Nie ze zmęczenia. Ale żeby to wszystko opisać i w ten sposób spróbować się skupić i przemyśleć sytuację. Na szczęście plecak był ciągle na plecach. Nie miała tylko książki. Której nie odważyła się podnieść. I nie chciała też mieć jej przy sobie.

W głowie ciągle migotały jej różne znaki, które mijała po drodze. Przede wszystkim strzałki oznaczające drogę ewakuacyjną. Myślała, że coś chcą jej wskazać, ale nic nie wskazały. Ciągle nie widziała wyjścia. I żadnej ucieczki z matni, w której się znalazła. To był koniec. Zderzyła się ze ścianą. Wiedziała, że cokolwiek teraz napisze, jest bez znaczenia. Na zawsze już zostanie wariatką. Przerażała ją ta perspektywa i ze strachu zaczęła się trząść. Ledwo była w stanie czytać to, co do tej pory napisała. Poza tym znikła radość z uderzania palcami w klawiaturę. Zaczęło ją to przygnębiać. W głowie pojawiła się myśl, że wszystko, co napisała do tej pory, nie ma sensu ani

treści... Wszyscy kłamią! Nawet pielęgniarka, która powiedziała, że widziała Michalinę Donaj. A taka miła się wydawała...

Pomyślała o niej, czytając zapisane kilka razy z rzędu zdanie: „Nie byłam u ciebie w szpitalu”.

Dlaczego ta pielęgniarka ją oszukała? To pytanie zaczęło świdrować jej mózg. Dlaczego skłamała tak szczegółowo? Opisała ją, podała nazwisko... Tego nie mogła wiedzieć... Nie!

Nie! To Michalina kłamie... - olśniło ją po chwili.

- Ale po co? - zaczęła pytać samą siebie. - Tylko po to, żeby mnie ukarać, zrobić przykrość? Przecież nie prosiłam jej, żeby przyszła, więc dlaczego miałabym się tym zmartwić?

Joanna poczuła, jak znowu pieni jej się krew. Nie z taką mocą jak wcześniej, ale serce waliło mocno. Skoczyło ciśnienie. Przyspieszyło tętno.

- Myśl, Asiu! Myśl! - Powtarzając to w kółko, zaczęła uderzać nadgarstkami w głowę, a kot przyglądał się jej z ciekawością.

- Mogła przecież powiedzieć: „Nie byłam w szpitalu”! Krócej, prościej... Ale powiedziała „u ciebie”. Słowa mają znaczenie... więc nie jest to bez znaczenia! Jeśli nie „u ciebie”, czyli u mnie... to u kogo? Była tam! To pewne! Tylko że nie u mnie! - krzyknęła, płosząc kota, który schował się w śmietniku.

Wyciągnęła komórkę. On mi to powie - pomyślała, wystukując numer.

- Słucham? - usłyszała głos Bartłomieja psychiatry.

- Pomożesz mi? - zapytała.

- Tak - rzucił bez zastanowienia. - Zgłoś się na oddział. Uprzedzę ich. Rano mam dyżur, więc się spotkamy.

- To nazywasz pomocą? - warknęła w słuchawkę.

- Tak - odpowiedział poważnym tonem.

- Chciałam zapytać, czy masz drukarkę.

- Nie rozumiem cię...

- Muszę coś wydrukować. To tak trudno zrozumieć? Gdybym była normalna i spytała, czy masz pożyczyć sól, to- byś się zastanawiał, jaką zupe gotuję. Ale jak wariatka pyta, czy masz sól... to na pewno dlatego, że chce się posolić i wsadzić na zimę do beczki, którą zabije gwoździami! - krzyczała do telefonu. - Nie możesz mi zwyczajnie pomóc? Nikt mi nie chce pomóc...

- Ja chcę.

- Jesteś mało przekonujący. Nie możesz ze mną gadać? Czy nie masz drukarki?

- To nie może poczekać do jutra? - zapytał po chwili.

- Nie wiem, czy doczekam jutra. Muszę porozmawiać, proszę - dodała błagalnym tonem.

- Mam drukarkę.

Podał adres. Zaproponował nawet, że podjedzie, ale Joanna nie zamierzała czekać. Bała się też, że nie zawiezie jej do siebie, tylko od razu do szpitala. Zatrzymała więc przejeżdżającą taksówkę.

Spocony dziadek ucieszył się z niespodziewanego klienta i z zadowoleniem wcisnął licznik. Po chwili cyferki przelatowały, jakby to była świąteczna noc.

- Dlaczego tak szybko się kręci? - zapytała Joanna.

- Taka taryfa - odburknął taksówkarz i przycisnął blokadę drzwi.

- Aha - odparła z lekceważeniem.

Taksówkarz obserwował ją w lusterku. Wyciągnęła pieniądze z plecaka. Dostrzegła uśmiech starego, który przestał na nią patrzeć i zaczął podśpiewywać pod nosem. Włożyła rękę głębiej i znalazła dwa grzebienie. Poczekała na moment, gdy kierowca, zmieniając pas, utkwił wzrok w bocznym lusterku. I przyłożyła metalowe szpikulce do pomarszczonej szyi. Po jednym z każdej strony. Przycisnęła.

- Chcesz sprawdzić, jak głęboko się wbijają? Bo ja tak - powiedziała osłupiałemu dziadkowi. - Jesteś byłym milicjantem, esbekiem, zomowcem? Niczego się nie boisz? Ja też nie. Mam żółte papiery. - Dociskając mocniej, czuła jego krtań. - Nie mów, bo cię uszkodzę. Odblokuj zamek.

Usłyszała kliknięcie. Dojeżdżali do światła. Wokół były samochody. Kierowca rozglądał się rozpaczliwie, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Próbował jeszcze podnieść rękę, ale Joanna mocniej przycisnęła szpikulce. Zaczął się krztusić. Światła zmieniły się na zielone. Opuściła jedną rękę. Otworzyła drzwi.

- I nie oszukuj, bo cię zabiję - warknęła przez zęby.

Po chwili śmiała się, biegnąc między samochodami, które powoli ruszały. Trąbiły na nią i na stojącego taksówkarza, który z wrażenia nie mógł się ruszyć.

\*\*\*

Kiedyś grzecznie zapłaciłam dziesięciokrotną wartość kursu. Pytałam... dlaczego tyle? Rozpłakałam się nawet. A oszust za kierownicą śmiał mi się w twarz, strasząc polisą. Mnie!

Teraz byłam z siebie zadowolona.

Poza tym miałam już niedaleko. Kilka przecznic zaledwie.

Siedzę w mieszkaniu Bartłomieja psychiatry. Piszę, patrząc na kartki wylatujące z drukarki. Zużyję wszystkie, jakie ma. Ale nie szkodzi...

Kocham ten widok. Kolejne strony. Jedna kładzie się na drugą. Jedna na drugą. Jedna na drugą. Jest ich dużo. Całe zadrukowane. Rzędami liter. Setki słów i myśli. Dowód na to wszystko, co dzieje się wokół mnie.

Bartłomiej robi herbatę. Rozmyślając przy tym... co tu ze mną zrobić?

Ja nie myślę. Mnie się tu podoba. Mieszkanie w przedwojennej kamienicy. Trzy pokoje. Przestrzennie. Sufit wysoko, niełatwo się na nim powiesić. Za to w łazience wielka wanna, można się w niej utopić. Poza tym wszystko poukładane, posprzątane, na swoim miejscu... Klucze w przedpokoju, na haczyku. Buty równiutko. Wszystko niby w porządku, tylko biedne kwiaty w doniczkach zdychają. Mają żółtobrazowe, powykręcane liście. Gniją, bo w kółko je podlewa...

Chciałby, by wszystko było po staremu... kiedy ona do niego wróci.

Nie wróci. Na ścianie ślady po obrazach...

Opuszczony pokój nastolatki...

Dwie puste miski na podłodze w korytarzu... Umyte, gotowe...

Zabrała nawet psa.

\*\*\*

- Zielona, może być? - zapytał Bartłomiej, stawiając na stole żeliwny dzbanek z herbatą.

- Przecież już jest - powiedziała Joanna. - Dla mnie może być i różowa. Nie lubię herbaty.

- Mówiłaś, że chcesz.

- Bo chce mi się pić. A alkoholu nie chcesz mi dać.

- Bo nie powinnaś.

- Ty też... Nikt nie powinien - sprostowała, widząc minę psychiatry. - Ale co zrobić... Zbawienna krótkotrwała eliminacja problemów życiowych. Pomaga na chwilę tak samo jak seks - oświadczyła z uśmiechem.

Koszula Bartłomieja pachniała tanimi kobiecymi perfumami. Poczula to, gdy usiadł na kanapie.

- Przerwałam ci randkę? - zapytała.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się pod nosem.

- Jestem zazdrosna. - Przynęła się do niego. - Ale nie martw się. Mogę ci to wynagrodzić. - Położyła rękę na jego udzie. I zaczęła sunąć wyżej.

Zmartwiał. Patrzył jej w oczy.

- Przestań! - krzyknął i zerwał się jak oparzony. Przesiadł się na fotel.

- Dlaczego ode mnie uciekasz? - zapytała Joanna obrażonym głosem i zaczęła wyrównywać leżący przed nią plik papierów.

- Co wydrukowałaś? - zapytał.

- Nową książką. Prawie skończoną... - oświadczyła, a on wychylił się i wziął do ręki zadrukowane kartki. - Nie czytaj - poprosiła, widząc, że się im przygląda.

- Dobrze - powiedział i zaczął je kartkować w ręce, robiąc z nich wachlarz, jakby chciał sprawdzić, czy wszystkie są zadrukowane. Czy jest tam tekst... opisy, dialogi i tak dalej... czy na przykład tylko jedno zdanie.

- Jeszcze nieskończona - wyjaśniła Joanna.

Pokiwał ze zdziwieniem głową. Wszystko, czego szukał, tam było.

- Kiedy to napisałaś?

- Teraz - oświadczyła z dumą.

- Przez te kilka dni?

- Tak. Ponad trzysta osiemdziesiąt tysięcy znaków. Zaraz koniec. Choć nie wiem jeszcze, jaki będzie. Życie go napisze.



- Asiu... - zaczął Bartłomiej, odkładając kartki. - Zdajesz sobie sprawę, w jakim jesteś stanie.

- Nie, oświeć mnie - burknęła.

- Wiesz, co znaczy hiperfagia...

- Niepohamowana chęć pisania, tak? Sprawdzian mi robisz?

- Wiesz, na jakim jesteś etapie swojej choroby?

- A ty wiesz, co znaczy słowo „mania” u Platona?! - krzyknęła.

- Oznacza boską inspirację. Natchnienie! Myśli jak wulkan wybuchające. Czy wy nie możecie tego zrozumieć? Nafaszerowałbyś lekami Dostojewskiego, Virginie Woolf, Poego, Hemingwaya, Twaina, Herberta... czy tylko mnie, bo gorzej piszę?!

- Każdego, jeśli tylko byłoby zagrożone jego życie... Po prostu starałbym się pomóc.

- W czym? W mozolnym osiągnięciu przeciętności! Daj mi świętować i cierpieć, kiedy zechcę!

- Za chwilę wszystko zacznie się toczyć w dół. Twoje myśli przestaną być jak lawa gorąca, skoro takiego chcesz porównania. Przestaną się żarzyć. Zastygną. Powstanie gruba, jałowa skorupa. Która nawet nie drgnie. Zanim to się stanie, będziesz robić rzeczy, których robić nie chcesz. Zapewniam cię, zresztą wiesz to doskonale - powiedział przygnębionym tonem. - Nie będziesz sobą.

- Tralala la! - Joanna wstała i kręcąc się w kółko po pokoju, zaczęła śpiewać: - Tralala la... Która to ja? Ta dobra czy ta zła? Tralala la. Ta głośna czy ta cicho sza? Tralala la. Ta rozpalona czy ta mdła? Tralala la!

- Znam już słowa tej piosenki. - Bartłomiej psychiatra podszedł do regału z książkami i wyjął jedną z nich.

Joanna zobaczyła okładkę i tytuł *Zginęłaś czy ktoś cię zabił, Justyno?*

- No nie, kurwa! Ona mnie prześladuje. Zaskarżę tę książkę o próbę znęcania się nade mną! - wrzasnęła. - Co chcesz mi przeczytać? Podziękowania? Przyznanie się do tego, że jestem wariatką?

- Nie, fragment wcześniej... „Szalona, ogolona, tralala, albo otępiąła jak skała... tralala la”. Ładna ta wyliczanka. Czytać

dalej?

Joanna podbiegła do niego i wyrwała mu książkę. Przez dłuższą chwilę kartkowała ostatnie kilka stron...

- To jest jakiś bełkot... - jęknęła, patrząc na niego przerażonym wzrokiem.

- Tak, rzeczywiście. Nie ma związku z fabułą, ale myślę, że bardzo dokładnie odzwierciedla twój ówczesny stan. Trzysta pięćdziesiąt stron interesującej historii i pięć ostatnich trochę niepasujących do reszty. Przede wszystkim o tym, że masz w dupie czytelnika, że żal ci tych, którzy to czytają... bo i tak czujesz się wybitna, genialna... A na tych pięciu stronach nie skończyłaś żadnego zdania, które zaczęłaś. Wiesz dlaczego? Bo w połowie przychodziło ci już do głowy następne. I kolejne, i kolejne. Bezsensowne skupiska słów, chaotycznie powstawiane kropki i przecinki... To piękny książkowy przykład gonitwy myśli.

To o tym mówił Marek Rybik... O tę końcówkę mu chodziło - pomyślała Joanna. Zabiję tę Bernadettę. Bóg literatury mi świadkiem, że zabiję...

- A pierdołę to wszystko! - krzyknęła głośno. - W dupie mam ten świat, cały pojebany... - Bezwładnie osunęła się na kanapę.

- Mam tego dosyć! Rozsypuję się i chcę się już rozsypać do końca. Raz na zawsze! - Schowała twarz w dłoniach i zaczęła poruszać na boki głową, jakby chciała ją odkręcić.

- Już się zaparzyła. Napij się herbaty. - Bartłomiej podał jej filiżankę.

- Nasypałeś mi tam czegoś? - zapytała Joanna.

- Nic ci nie podam bez twojej zgody, wiesz o tym - zapewnił, przyjmując oficjalny ton.

- Jasne - bąknęła i długo smakowała herbatę. - Miałeś tę książkę wcześniej? Obmyśliłeś sobie, jak mnie upokorzyć?

- Kupiłem ją po twoim wyjściu ze szpitala.

- Po co?!

- Żeby dowiedzieć się więcej o tobie i o tym, co się wydarzyło.

- Zaciekawilo cię to? - zapytała przymilnym głosem.

- Owszem.

- A co najbardziej?

- To, że pojawiłyście się obie u mnie na oddziale.
- Pojawiłyście się? - powtórzyła zdumiona Joanna.
- Ty i Marysia - oświadczył Bartłomiej.
- Jaka Marysia? - Zacisnęła palce na udach, żeby nie krzyknąć.
- Lenart. W twojej książce ma na imię Marietta. Podobno tak matka na nią mówiła...
- Poczuła pulsujący ból w skroniach. Nie, to nie mogło być prawdą...
- Która to? - zapytała, siląc się na spokój.
- Nie rozpoznałaś jej?
- Nie - odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. - Otumaniliście moją spostrzegawczość.
- Ja też dowiedziałem się później. Już po twoim wyjściu... ale byłem pewny, że ty się domyśliłaś. Dlatego chciałaś tak szybko wyjść... Cóż, myliłem się. W twojej książce to dziewczynka z nadwagą, a teraz, powiedziałbym, z niedowagą. Niestety, świat mody...
- No tak - jęknęła Joanna, czując, jakby ktoś położył jej kamień na karku i spętał nogi. Przez dłuższą chwilę się nie ruszała, później sięgnęła po plecak i zaczęła w nim szperać.
- To nie są dobre wzorce, ale te młode dziewczyny... Asiu, nie szukaj tam leków. Wyrzuciłem je.
- Słucham?! - chciała krzyknąć, ale z ust wydobył się tylko cichy skowyt. - Bez nich się rozpadnę! Dlaczego to zrobiłeś? - Przypomniała sobie, że była w łazience. - To tam zostawiłam ten cholerny plecak... - Była wściekła na samą siebie. - Jakim prawem grzebałeś w moich rzeczach?!
- Przyszedłeś prosić o pomoc... Dlatego właśnie. To nie są dozwolone środki, przynajmniej nie wszystkie. Posłuchaj... - Wstał i podszedł do szafki.
- Nie zamierzam cię słuchać... - Też chciała wstać, ale poczuła, że nie będzie w stanie utrzymać się na nogach. Były słabe i drżące. - Co ty mi podałeś? Przecież mówiłeś... Ty nie pijesz tego zielonego paskudztwa? - Teraz dopiero zobaczyła, że jest tylko jedna filiżanka.
- Już cię nie interesuje, jak się czuje twój znajomy? - zapytał,

zmieniając temat.

Joanna ani drgnęła.

- Substancja, którą zażył - kontynuował - jest niedozwolona w Polsce ze względu na skutki uboczne. Zapewne miałaś okazję je zaobserwować. Na szczęście policja schwytała dilerów tych prochów i szybko było wiadomo, co konkretnie wywołało taką reakcję - mówił, wyciągając z szafki koc w zieloną kratę. - Niebezpieczeństwo zażegnano i chłopak czuje się lepiej. Środek ten jest groźny przede wszystkim w zestawieniu z innymi lekami... szczególnie niewiadomego pochodzenia. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Dlatego wszystko, co miałaś, spłynęło z wodą w zlewie.

- Nie miałaś prawa - zaprotestowała słabym głosem. Czują, jak opadają jej powieki, a głowa zaczyna ciążyć niemiłosiernie.

- Jestem u siebie w domu i miałem prawo sprzątnąć to, co wysypało się z twojego plecaka na dywan - odparł, rozkładając koc, który rzucił na fotel.

- A jakby wysypały się pieniądze? - zapytała Joanna. - Też byś je ukradł? Mogę robić ze sobą, co zechcę, nawet jeśli ci się to nie podoba... - powiedziała, choć nie była już pewna, czy na głos, czy tylko w myślach...

- Połóż się, zaśnij na chwilę. Sen jest twoim przyjacielem, nie wrogiem. Zaufaj mi.

Podszedł do niej, chwycił za ramiona i przechylił na bok. Nie miała siły się opierać. Pod głowę wsunął poduszkę. Potem uniósł stopy i położył jej nogi na łóżku.

- Chcesz mnie zabić... może to i dobrze...

\*\*\*

Ma rację.

Zastygam jak ta lawa.

Każda myśl krzywi się, załamuje jak ja... Ryje bruzdy na wskroś mnie.

Jedna myśl drży obok drugiej rozedrganej myśli.

Jeden grzechot mam w głowie.

Ciemnieje mi w oczach.

Gaśnie światło pod powiekami. Koc mnie przygniata. Wiem,

że gniję pod tą kratą zieloną.

Zgniję, zanim to rozwikłam?

Marietta była obok mnie.

Świrnięta modelka po próbie samobójczej.

A myślałam, że się już wybiegała i chciała sobie tylko łeb odstrzelić...

Dlaczego w mojej głowie była ciągle mała i opasła? Dlaczego nie pozwoliłam jej z tego wyrosnąć... przegiąć w drugą stronę? Dlaczego o tym nie pomyślałam? Bo wolno myślałam... Teraz zwalniam całą. Zwalnia film, który się wokół mnie kręci.

Jak to wszystko się skończy?

Kiedy wreszcie się skończy!

Bo tracę siły...

Myli się psychiatra nieuczciwy... Nie odzyskam ich, chrapiąc...

\*\*\*

Joanna się obudziła. Głowa, ręce, stawy... wszystko ją bolało. Miała wrażenie, że odkąd zasnęła, nie zmieniła pozycji. Za oknem był już dzień. Blade światło wpadało wąską szparą w zaciągniętych zasłonach i rozlało się po podłodze. W jasnej smudze widziała tańczące drobinki kurzu, pyłki kwiatów i roztocza. Wszystko to się kłębiło, opadając i unosząc się do góry.

Chwilę trwało, nim całkiem się ocknęła i zaczęła rejestrować nie tylko obrazy, ale i dźwięki. Słyszała je coraz wyraźniej. I te z ulicy, i te z pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Stamtąd dobiegał szmer jakiejś rozmowy. Rozróżniała dwa ściszone męskie głosy.

Wstała ociężale. Na ławie leżały wydrukowane kartki. Obok, na podłodze, plecak. Podniosła go ostrożnie. Rozsznurowała i wysypała zawartość.

Wszystko przeszukała? - zaczęła się zastanawiać, rozsuwając poukrywane w środku kieszonki. Traciła już nadzieję, gdy natrafiła na jedną małą tabletkę, która utkwiała w jedwabnej podszywce z boku.

- Pobudź mnie, proszę. Daj się skoncentrować - powiedziała, połykając chciwie. - Jeszcze na chwilę. Udziel siły jak

żołnierzowi. Też idę na bitwę - mówiła, ledwo poruszając ustami, i pakowała do plecaka zadrukowane kartki.

Laptopa nie mogła znaleźć. Długo się rozglądała, nim dostrzegła go w drugim końcu pokoju. Był podłączony do ładowarki. Gdy chwyciła telefon, przestraszyła się, że drżą jej ręce. Dopiero po chwili się zorientowała, że aparat wibruje. Ktoś przysłał wiadomość. Spojrzała na wyświetlacz - Michalina.

*Gdzie jesteś? Spotkaj się ze mną, to ważne* - odczytała. Chciała prawie klasnąć w dłonie, ale się powstrzymała i tylko złączyła je uradowana, z wdzięcznością patrząc w sufit.

Odpisała. Chwilę się zastanowiła, nim podała adres miejsca oddalonego o kilka ulic od kamienicy Bartłomieja psychiatry. Na wszelki wypadek - gdyby przyszło mu na myśl ją gonić, a ona musiałaby uciekać. Nie była pewna, czy da radę biec szybko. Nie chciała też, żeby wiedział o tym spotkaniu.

Odpowiedź przyszła po minucie: *Będę za dwadzieścia minut. Czekać na mnie. Nie mów nikomu.*

- To jasne - powiedziała już sama do siebie i cichutko wstała.

Zacząła iść na palcach. Najpierw przez pokój, potem korytarzem. Drzwi, zza których dobiegały głosy, były lekko uchylone.

- Niech się pan nie denerwuje. Zrobię wszystko co w mojej mocy, ale zanim wrócimy do naszej sprawy, niech mi pan wyjaśni, co z nią - mówił jakiś znajomy głos.

Podeszła bliżej.

- Podałem jej już środek wyciszający... ale to nie wystarczy - odpowiedział przygnębiony psychiatra. - Tym razem wszystko przebiega inaczej... Zdarza się to rzadko, ale myślę, że mamy do czynienia z tak zwaną szybką zmianą faz. Określa się to ultra-rapid cycling, czyli zmiany afektywne w ciągu dnia - usłyszała, gdy była już przy haczyku z kluczami.

- Może być gorzej? - zapytał drugi głos.

Zdjęła klucze, zacisnęła je w dłoni, podeszła bliżej i zaczęła nasłuchiwać.

- Tak, ultra-ultra-rapid. Czyli od totalnej euforii do totalnej depresji w ciągu godziny. Myślę, że to z powodu różnych medykamentów, których, przypuszczam, nadużywa. Taka

postać choroby jest z reguły poprzedzona lub wyzwolona lekami przeciwdepresyjnymi i pobudzającymi...

- Obędzie się bez szpitala? - usłyszała kolejne pytanie i była już pewna, że zadał je adwokat Artur Filc.

- Nie sądzę... Nie tak łatwo uspokoić taką huśtawkę. Trzeba podać kilka leków normotymicznych i obserwować ich działanie. Ewentualnie skojarzyć jeszcze z innymi, ale wtedy musi być pod obserwacją.

Jasne. Zdrajcy - pomyślała i podeszła do drzwi wejściowych.

Popatrzyła na klucze. Jeden pasował do dolnego zamka. Odsunęła górną zasuwkę. Wolniutko. Kliknięcie było ledwie słyszalne.

- Ale jak ją zmusić, żeby do tego szpitala trafiła?

- To nie takie proste, ale jeśli tego nie zrobimy, za chwilę ktoś ją przywiezie... nie wiadomo w jakim stanie. O ile zdąży przywieźć...

- To co pan proponuje? Ubezważnowolnienie? Ktoś mi mówił, że do sądu wpłynął już jakiś wniosek... ale wszystkiego jeszcze nie wiem, dowiedziałem się wczoraj. To też sprawdzę...

Szurnięcie odstawianego krzesła. Jeden z nich wstawał. Mogła już uciec, ale jeszcze się wstrzymała, żeby usłyszeć więcej.

- Ubezważnowolnienie to ostateczność - wszedł Arturowi w słowo psychiatra.

- Wiem. Teraz proszę mi dać czas, dowiem się, co z pana córką. I jakie zarzuty jej przedstawiono. Proszę nic do tego czasu nie robić.

- Będę bardzo wdzięczny. Wie pan... żona... - usłyszała załamany głos Bartłomieja - uważa, że to moja вина... Nie wiem, jakim cudem Monika ukradła moje recepty... Ani skąd u niej jeszcze inne lekarstwa. Zona...

- Żony zawsze przesadzają - przerwał mu stanowczo Artur. - Miejmy nadzieję, że nie było tam narkotyków. Nielegalny obrót lekami to inny paragraf. Znacznie lżejszy. Ale proszę się nie denerwować i pozwolić mi działać.

- Dziękuję, że pan od razu przyszedł.

- Proszę zająć się Joanną. Wrócę po południu, jak będę miał

więcej informacji.

Joanna już nie czekała!

Szarpnęła drzwiami. Zamknęła je szybko za sobą, a do zamka wcisnęła przygotowany wcześniej klucz. Przekręciła go dokładnie w momencie, gdy poczuła mocne szarpnięcie za klamkę.

- Asiu, co robisz?! - krzyknął Bartłomiej.

Nie ma drugich kluczy - pomyślała Joanna z satysfakcją.

Tak przypuszczała - drugi komplet ma żona, a trzeci córka. Nie zamierzał jeszcze dorabiać nowych. Sami szybko się nie uwolnią.

- Wysłałam! - krzyknęła w kierunku trzęsących się drzwi. - Dziękuję za herbatę. Zostawcie mnie w spokoju! Obaj!

- Asiu, otwórz! - usłyszała głos Artura.

- Asiu, twój przyjaciel też chce ci pomóc... - odpowiedział psychiatra.

- Mnie czy tobie? - zapytała.

- Też mam problem...

- To już wiem - wyszczała.

- Sam poprosiłem o to twojego adwokata... Zależy mu na tobie tak samo jak mnie...

- Tobie pewnie pomoże. Mnie raczej nie. Sprawdź, jak bardzo jest bezinteresowny! - krzyknęła. - W teczce, którą ma ze sobą, są papiery. Chce tylko, żebym je podpisała. Rękę dam sobie uciąć, że to pełnomocnictwa na wszystko... co ma wartość. Z pieczętą zaprzyjaźnionej pani notariusz. Sprzedałeś mnie za swoją córkę! - wrzasnęła, zbiegając po schodach.

\*\*\*

Kolejni, którzy chcą mnie zamknąć!

Rządzić mną!

Jakby świat od tego miał się stać lepszy! Popaprańcy!

Wszystko się gmatwa... choć wyjaśniło się, skąd księżniczka Tranxene miała tyle lekarstw i taką fachową wiedzę... Genetyczną, okazało się.

Przynajmniej na to pytanie sobie odpowiedziałam.

Szkoda, że tylko na to... Reszta to zagadka.



Jedyne, co mnie pociesza, to Michalina.

Uwierzyła mi! Musiała rozmawiać z Markiem, rybką małą.

Wie już, że to nie ja jestem przyczyną tego wszystkiego, co się wokół nas dzieje.

Sama chce wszystko zrozumieć albo już wie, co się stało... To możliwe...

Bystra z niej dziewczyna...

Biegnę jej na spotkanie... Dyszę cała, ledwo łapię powietrze. Pseudolniany worek, w którym spałam, nadyma się od tego pędu niczym spadochron. Przeszkadza mi.

Potykam się. Upadam. Wstaję. Kolana starłam o bruk. Do krwi.

Chwytam materiał w ręce. Gniotę go w pięściach i zadzieram.

Nie płacz mi się między nogami, ohydna szmato! Odbierasz mi pęd!

Oglądajcie się do woli...Mam ładne nogi. Długie kroki stawiam.

- No, napatrzcie się do syta! - krzyczę.

Złaknieni dziwolągów przechodnie krzywią się, ale patrzą zachłannie.

Stają, żeby nie stracić widoku.

Zwalniam. Jestem już prawie na miejscu.

Muszę ochłonąć. Muszę przestać sapać.

Jest już ławka! Jest śmietnik. Jest nawet kot w śmietniku.

Tu się umówiłam. Na tyłach jakiegoś baraku. Rozglądam się.

Nie ma jej.

Wyciągam telefon. Zadzwonię. Powiem, że już jestem.

Kim jest ten mężczyzna, który wyłania się zza samochodu...?

\*\*\*

Trzęsącymi się rękami Joanna opisywała wszystko, co wydarzyło się od momentu, w którym zobaczyła Pawła Cisa.

Zziajana, zasapana, z małym plecakiem na ramionach, dotarła do ławki przy śmietniku. Wysłała jeszcze jednego esemesa, próbowała zadzwonić. Ale Michalina nie odbierała. Joanna pomyślała, że przedobrzyła, wyznaczając miejsce spotkania. Byłoby lepiej, gdyby kazała jej podjechać pod dom psychiatry. Skutecznie ich zamknęła. I miała wystarczająco

dużo czasu.

Przez dłuższą chwilę chodziła po podwórku na tyłach jakiejś kamienicy. Od tej strony nie było okien. Tylko stary śmietnik, odrapana ławka, kot i kilka wron, które spłoszone latały nad jej głową. Kilka metrów dalej dojrzała jakiegoś mężczyznę przy samochodzie dostawczym. Postanowiła podejść i spytać, czy nie kręciła się tu po okolicy wysoka blondynka - musiałby ją zauważyć. Poszła w jego kierunku, ciągle wciskając numer Michaliny. Drzwi samochodu były otwarte. Nie widziała człowieka, tylko jego nogi. Podeszła.

I nagle, gdy po raz kolejny próbowała się połączyć z Michaliną, usłyszała najpierw dzwoniący telefon, a potem zobaczyła lśniące włoskie buty i spodnie w kant.

Oslupiała. Właściciel butów nie pasował ani do samochodu, ani do okolicy. Nic nie pasowało. Chciała się zerwać do ucieczki, ale nie zdążyła. W tej samej sekundzie zobaczyła Pawła Cisa, który jedną ręką chwycił ją mocno za nadgarstek, a drugą za ramię. Wypadł jej telefon. Rozgniół go butem. Chciała ugryźć napastnika, ale nie mogła dosięgnąć. Patrzył na nią swoim kamiennym wzrokiem. To jedno się nie zmieniło. Postarzał się. Posiwiał. Głębokie zmarszczki przeorały mu czoło w poprzek. Powieki opadły. Usta zrobiły się mniejsze albo zacisnęły je mocno.

- Czego chcesz?! - wrzasnęła, ale on nie odpowiedział.

Uniósł ją, przerzucając sobie przez ramię. Ugryzła go w kark. Syknął z bólu, jednak uścisk nie zelżał. Wepchnął ją do pustego samochodu dostawczego i zamknął drzwi. Gdy tylko dosięgła nogami podłogi, zaczęła wierzgać. Krzyczała, głos dudnił w blaszanym samochodzie, ale on nie zwracał na to uwagi. Wykręcił jej ręce do tyłu. Poczula plastikowe opaski wokół nadgarstka. Najpierw jednego, potem drugiego. Kilka tryknięć i docisnął je do metalowego drążka. W pasie owinął taśmą, która była przytwierdzona do ścian samochodu. Słyszała pospieszne kliknięcia metalowych karabińczyków. Wiedział, co robi, i działał szybko. Krzyczała, więc gdy tylko nie była w stanie ruszać rękami, zakrył jej usta dłonią, po czym zakleił je kawałkiem srebrnej taśmy którą wyciągnął z kieszeni. Kopała

go i kilka razy udało jej się trafić, ale nie związał jej nóg. Wyszedł bez słowa.

Po chwili wiedziała, dlaczego zostawił jej nogi wolne, choć mógł przewidzieć, że gdy znowu podejdzie, ona zacznie go kopać. Ruszyli, a podczas jazdy musiała się mocno natrudzić, by utrzymać równowagę. Drażek był na tyle wysoko, że nie dałaby rady usiąść, nie wyrywając sobie rąk ze stawów.

Dlaczego o to zadbał? - zaczęła się zastanawiać. Dlaczego nie zabił mnie od razu? Jaki ma plan? Jak wyjść z tego cało?

Setki pytań kłębiło jej się w głowie. Ciągłe czuła działanie adrenaliny, dopaminy i czegoś tam jeszcze, co sprawiało, że szukała rozwiązania i wiedziała, że gdzieś jest. Że to się nie może tak banalnie skończyć. Z początku była tego pewna, lecz w miarę upływu czasu to przeświadczenie zaczęło ją powoli opuszczać.

\*\*\*

Każdego by zaczęło opuszczać!

Związanego! W samochodzie dostawczym. Z plastikowymi zaciskami na rękach. Wrzynającymi się w skórę na każdym zakręcie. Z nogami, które się płaczą i depczą po sobie, próbując zachować równowagę.

Każdy przechył, każdy wertep = wygięcie powykręcanych ramion.

Ból ponaciąganych ścięgien.

Chęć, by ten samochód w końcu się zatrzymał.

Chęć i niechęć! Zarazem.

Wiesz przecież, że pierwszą twarzą, którą zobaczysz, będzie twarz człowieka, który już kiedyś zabił.

Złamał tabu! Już się nie boi. Zaatakuj po raz drugi! Wie jak! Pamięta satysfakcję? Być może.

Co pamięta Paweł Cis?

Pozbycie się problemu.

Satysfakcję z wolności? Być może.

Bezkarność? Na pewno!

Nikt go nie ukarał oprócz mnie...

Teraz mi to wynagrodzi!

\*\*\*

Nie miała pojęcia, jak długo jechali, nim wreszcie samochód się zatrzymał. Myślała, że to kolejne światła, ale silnik zgasł. Czuła, jak wszystkie naprężone do tej pory mięśnie rozluźniają się, a po chwili zaczynają dygotać z wysiłku. Starła się głęboko oddychać i opanować drżenie, żeby jakoś się przygotować na spotkanie z Pawłem Cisem, ale nie zdążyła. Usłyszała łoskot otwieranego zamka i do kabiny wpadło światło. Oślepiło ją na tyle, że dopiero po chwili go zobaczyła. Nic nie mówił, miał jeszcze bardziej zaciśnięte usta i nie patrzył jej w oczy. Usiłowała coś krzyknąć. Wyzwać Michalinę od kłamliwych, zdradzieckich suk! Postraszyć go, twierdząc, jakoby powiedziała innym, że się umówiły. Niech sobie nie myśli... Ale z zaklejonych ust wydobywał się jedynie zduszony, niezrozumiały bulgot. Spróbowała kopnąć napastnika, gdy tylko się zbliżył. On jednak narzucił na nią wielką brezentową płachtę, a potem chwycił w pól, unieruchamiając łokcie. Plecak wciskał jej się w plecy. Odpiął ją, przecinając plastik. I uniósł do góry. Wierzgała nogami w powietrzu. Myślała, że w końcu trafi na tyle skutecznie, że ją puści. Ale nie zdążyła. Przeniósł ją opakowaną jak choinkę nie więcej niż kilka metrów. Postawił na ziemi i popchnął. Poleciała do tyłu, próbując złapać równowagę. Bała się, że w coś uderzy. I rzeczywiście poczuła zetknięcie z czymś dosyć sztywnym. Ale dzięki temu udało jej się chwilę ustać na nogach, zanim przewróciła się na ziemię. Wijąc się i nerwowo machając złączonymi rękami, zrzuciła z siebie płachtę i jednocześnie usłyszała głośne stuknięcie zamykanych metalowych drzwi, a potem chrzęst żelaznego skobla.

Była w jakimś magazynie.

Palilo się światło, widziała więc dokładnie, że pchnął ją na stertę kartonów. Chwilę trwało, nim się z nich wygrzebała, bo dwa pudła spadły jej na głowę. Ręce ciągle miała związane za plecami, ale zorientowała się, że dwie plastikowe opaski zaciskowe były spięte trzecią na tyle luźno, że bez problemu mogła ruszać palcami i wyginać nadgarstki. Wystarczyło

znaleźć coś, czym można by je przeciąć. Zaczęła się rozglądać. Nie trwało długo, nim obok plastikowych zgrzewek z wodą ustawionych na podłodze wypatrzyła coś, co okazało się... małym scyzorykiem!

Uśmiechnęła się do swojego szczęścia. Gdyby opisała to w książce, nikt by jej nie uwierzył!

Indianie atakują, a tu, na środku pustyni, w idealnym momencie, nie wiadomo skąd, zza góry - ratunek! Nadciąga oddział kawalerii... Uwielbiała takie rozwiązania w filmach klasy B - i teraz, gdy bez większego trudu poruszała nożykiem, rozcinając plastik, też bardzo jej się to podobało. Opaski nie należały do najcieńszych, ale uporała się z nimi dość szybko i jednym ruchem oswobodzonej ręki zdarła plaster z twarzy. Rozmasowała ramiona, zrzuciła plecak, a potem rozejrzała się po magazynie.

Radość powoli zaczęła znikać i zastępowało ją narastające przygnębienie. Uwolniła się... i co dalej?

Mogła ruszać rękami i nogami, ale w ograniczonej, zamkniętej przestrzeni. Drzwi były mocne, metalowe. Żadnego okna. Wokół mnóstwo kartonów, pustych lub wypełnionych ziołami. Dopiero teraz jej się przypomniało, że rodzina Lenartów nie handlowała bombkami świątecznymi, tylko paczkowała zioła. Na początku były to pojedyncze gatunki, dopiero Paweł Cis poszerzył asortyment o mieszanki na cholesterol, odchudzanie, trawienie, cerę, nerwy i tym podobne. Stworzył inną markę, z nowoczesnym logo, która od początku była jego własnością i dodatkiem do firmy. A on ten dodatek rozwinął i odniósł sukces. Struktura zależności zgadzała się z książkowym opisem. Joanna zmieniła tylko zioła na bombki, bo były bardziej wizualne niż wypłowiełe paprochy. Teraz była innego zdania. Suplementy to przyszłość.

Myślała o tym, rozglądając się dookoła. Zawartość kartonów była inna niż w powieści, za to całe wnętrze - nie! Kruszejąca betonowa podłoga, stary piec akumulatorowy... Z wrażenia usiadła na stercie papierów i wyciągnęła z plecaka książkę, którą zabrała psychiatrze. Zaczęła ją nerwowo kartkować.

- Jest! - prawie krzyknęła.

\*\*\*

Strona 276

Policji zajęło masę czasu, nim Błażej Białas wszedł do pomieszczenia, o którego istnieniu wiedzieli tylko nieliczni pracownicy. Na kruszejącej betonowej podłodze stało pełno kartonów i stary piec akumulacyjny. Z początku nic nie wskazywało na to, że cokolwiek tu znajdują.

Rodzina Lenartów od lat korzystała z tego magazynu za miastem i nie zamierzała w niego inwestować. Trafiły tam odpady, wadliwe partie, zwroty, nieszczne opakowania i bezużyteczne rupiecie. Koszt utrzymania był prawie żaden, bo budynek dawnego warsztatu wynajmowano od właściciela pobliskiego zapuszczonego gospodarstwa - przygłuchego staruszka, który żył z marnej emerytury i dzięki tym nędznym groszom, jakie płacili mu Lenartowie, mógł sobie od czasu do czasu popić.

Nadeszły nowe czasy i wymagania co do warunków przechowywania materiałów i produktów zmieniły się radykalnie. Wybudowali więc na własnym terenie nową halę, a do tej rupieciarni rzadko ktoś zaglądał. I właśnie dlatego Paweł Cis przywiózł tu nocą zwłoki Justyny, a za dnia - jeszcze metalową beczkę, rozpuszczalniki, podpałkę i piłę do cięcia drewna. Staruszkowi dał parę groszy, wiedząc, że ten natychmiast zrobi z nich użytek i zaleje się w trupa. Na wszelki wypadek zamknął się wewnątrz, po czym wziął się do roboty. Powoli odcinał poszczególne części ciała żony i spalał je w metalowej beczce, co chwila uciekając na zewnątrz przed duszącym dymem. Spędził tak dwie noce. Niedopalone resztki wyrzucił.

Jedynie, czym dysponowała policja, to beczka znaleziona na wysypisku.

\*\*\*

Tak to wymyśliłam, bo przecież nie było ciała.

Za cwany był na to! Zbyt opanowany, by działać chaotycznie!

Wiedziałam, że spalił zwłoki. Albo utopił! Albo rozpuścił w kwasie! I nikt ich nigdy nie znajdzie!

Zmyśliłam, jak to zrobił... Ale nie to - gdzie!!!

Byłam już w tym magazynie! Dowiedziałam się o nim od jednego pracownika, przypadkiem. Przyjechałam tu. Okłamałam podchmielonego dziadka, że jestem z firmy. Uwierzył, bo byłam miła, a on dostał na piwo. Pilnował mnie, gdy udawałam, że szukam zawieruszonej przesyłki. Przesuwałam kartony i szukałam śladów palenia, świeżej zaprawy cementowej... Nie znalazłam, ale miałam przecucie, że to dobre miejsce na utylizację zwłok. A już na pewno świetnie się nadawało, by opisać je w książce.

A teraz sama tu tkwię!

Nie wiem, czy nie zacząć krzyczeć... Albo wyć.

Dziadek był głuchy... Może już nie żyje i w jego domu mieszka ktoś inny...

Chcę krzyczeć, ale język przylepia mi się do podniebienia.

Muszę się napić... Tam jest woda...

A to... kurwa, co to jest?!

\*\*\*

Joanna podeszła do butelek z wodą. Kilkanaście zgrzewek stało po ścianą, zauważyła je, jak tylko ją tu zamknął. Rozerwała folię, wyciągnęła jedną butelkę i zaczęła łapczywie pić. Ciągłe pijąc, rozglądała się na boki. Zrobiła krok w kierunku sterty kartonów. Podeszła bliżej i za nimi dostrzegła metalowy regał z kilkoma półkami. Patrząc na niego, wypuściła butelkę z rąk. Woda wylewała się na posadzkę, ale Joanna jakby tego nie zauważała, nie mogąc oderwać wzroku od regału. Był nowy, nie do końca rozpakowany z folii zabezpieczającej, wypełniony po brzegi produktami. Na górze chińskie zupki z makaronem, plastikowe kubki z piure ziemniaczanym, sosem grzybowym, śmietanowym, zupą pomidorową... Poniżej słodycze, kawa, herbata, cukier, śmietanka, czajnik elektryczny. Jeszcze niżej serwetki, wilgotne chusteczki jednorazowe, szczoteczki do zębów, pasta, kubki jednorazowe, talerze. Na samym dole karimata i śpiwór...

Wszystko nowe, nierozpakowane, z aktualną datą produkcji... Śpiwór miał jeszcze metkę.

Joanna jak otumaniona zdejmowała z półek kolejne przedmioty, aż w końcu któryś wypuściła z rąk, chwyciła się za głowę i jęknęła głośno.

Zamknął mnie tu na zawsze... Na długo, dopóki mnie nie zabije. Chce się do tego przygotować... Ile to ma potrwać...? Miesiąc? Dwa? W bunkrze bez okien... Może dziesięć lat...

Aż uznają mnie za martwą... Po co to wszystko? Kara za grzechy...

Od tych myśli zaczęło jej się kręcić w głowie.

Kucnęła, bo już nie była w stanie utrzymać się na nogach. Wkrótce potem zdrętwiały jej pięty. Jak kłoda opadła na bok, przywierając policzkiem do betonowej posadzki. Leżała tak, a w głowie przewijało się jej kilkadziesiąt scenariuszy, jeden bardziej makabryczny od drugiego. Czy więc ten scyzoryk też znalazł się tu nieprzypadkowo? Zaczęła się trząść, zęby jej szczękały i tylko oczy nieruchomo patrzyły na kawał leżącej przed nią wypłowiałej tektury. Mogła już krzyżeć, ale wszystko jej mówiło, że to nie ma sensu. Zaplanował to! Przygotował się! Nikt jej nie usłyszy...

Pomyślała, że została odizolowana od świata znacznie szybciej, niż życzył sobie tego prokurator Tomasz... Ucieszyłby się, widząc ją w bunkrze bez okien... Podobnie jak Bartłomiej psychiatra, gdyby tylko wiedział, że wpakowała jego córkę do aresztu.

Nie miała pojęcia, jak długo tak leżała, gdy nagle wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk. Zaczęła nasłuchiwać. Podniosła się nawet, ale przez dłuższą chwilę panowała cisza. Potem znowu... jakieś szurnięcie. Teraz była pewna, że dobiegło z wnętrza magazynu.

Może to mysz... Zaprzyjaźnię się z nią... Albo ją zjem, jak mi się zupy w proszku skończą... - pomyślała, wstając ociężale.

Ruszyła w przeciwny kąt magazynu. Kartony nie zasłaniały ściany, ale też nie widać było podłogi. Jakiś gryzoń mógł się tam schować. Odsunęła zastawiające drogę pudło i stanęła jak wryta.

Na podłodze leżała Michalina.

Nie ruszała się. Nadgarstki miała spięte takimi samymi



plastikowymi opaskami jak wcześniej Joanna. Z tym że jej ręce były przytwierdzone do wystającej ze ściany rury.

Oddychała.

\*\*\*

Patrzę i nie wierzę w to, co widzę.

Nie chcę w to uwierzyć! Bo ogarnia mnie przerażenie!

Leży na ziemi... ale pod nią rozłożona karimata.

Przypięta złączonymi nadgarstkami, na skórze czerwone pręgi od wciskających się w nadgarstki plastików... ale przykryta kocem.

Żeby nie zmarzła?

Paweł Cis jest psychopata!!! I to większym, niż się spodziewałam...

Będzie karmił Jasia i Małgosię... zanim wsadzi ich do piekarnika? Do beczki? Podpali?

Co takiego kryje się w tej chorej głowie...?

Nazista, co do ostatniej chwili ukrywa swoje plany, żeby ogłupić ofiarę... żeby skołowana potulnie poszła na rzeź... do tej ostatniej chwili wierząc w dobre intencje oprawcy?

Zagra z nami... w okrutną grę?

Kto pierwszy odpadnie? Ja czy ona?

Ja! To pewne!

Michalinę przykrył kocem... Będzie o nią dbał... do końca.

Muszę odłożyć laptop, choć nie chcę, bo jeśli tego wszystkiego nie opiszę, nie zostanie po nas ślad... Żaden...

O! Budzi się... Kręci... Otwiera usta...

\*\*\*

Joanna ciągle patrzyła na Michalinę. Leżała tak, jakby ktoś ją wygodnie ułożył. Na karimacie, po ramiona przykryta kocem. Gołe były tylko ręce, wyciągnięte i przypięte do rury. Głowę miała opartą na ramieniu, a jasne włosy opadały na policzki i zaczynały laskotać twarz. Powoli poruszała ciałem, próbując zmienić pozycję, ale przytwierdzone do rury ręce zaczęły ją ograniczać. Przeszkadzało jej to coraz bardziej.

Skrzywiła nos, a potem zaczęła mrugać powiekami, patrząc

przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. W końcu otworzyła szeroko oczy. I ujrzała Joannę. Szarpnęła rękami, syknęła z bólu i odwróciła głowę. Zobaczyła plastikowe opaski wrzynające się w skórę na nadgarstkach.

- Co to jest? - zapytała jeszcze półprzytomnym głosem.

- Nie wiem - odparła Joanna. - Poczekaj, zaraz cię uwolnię.

Wstała i poszła po scyzoryk. Wróciła i zaczęła rozcinać plastik. Michalina nic nie mówiła i leżała spokojnie, dopóki nie miała rozdzielonych dłoni. Wtedy zerwała się nagle, chwytając rękę Joanny. Wyrwała jej scyzoryk, po czym mocno ją odepchnęła. Joanna runęła na podłogę, a Michalina rzuciła się w kierunku wyjścia. Zaczęła jak oszalała szarpać za kłamkę.

- Uspokój się - powiedziała Joanna, podnosząc się z ziemi.

- Nie podchodź! Nie podchodź, kurwa, bo cię zabiję! - wrzasnęła Michalina, z jedną ręką na kłamce, a drugą, ze scyzorykiem, wyciągniętą w kierunku domniemanej przeciwniczki.

- Musiałabyś bardzo precyzyjnie trafić. - Joanna wzruszyła ramionami. - To ostrze ma pięć centymetrów długości i siedem milimetrów grubości. Ciężko będzie ci się przez cokolwiek przebić... - Westchnęła. - Chyba że ja będę leżeć spokojnie, a ty poszukasz tętnicy... Lub zaczniesz nim dłubać mi w oku. - Usiadła zrezygnowana na ziemi i podparła łokciami głowę.

- Wariatko ty! - wrzasnęła Michalina, ciągle szarpiąc za kłamkę. - Gdzie jest klucz?

- Zjadłam. Chciałam chwilę pobyć z tobą sam na sam, więc wymyśliłam piknik na betonie!

- Wypuść mnie stąd! Co ja ci takiego zrobiłam!

- Źle ulokowałeś uczucia. Nie martw się, nie ty pierwsza trafiłaś na psychopatę.

Michalina zamilkła.

- Wypuść mnie - odezwała się po chwili, ściskając w ręce scyzoryk - a obiecuję, że nikomu nie powiem.

- Jasne. Przewidywalny dialog - westchnęła Joanna. - Mam nadzieję, że powiesz wszystkim, jeśli przeżyjemy - dodała bez wiary. - A zresztą... - Machnęła ręką, po czym wstała.

Michalina naprężyła się i wyciągnęła przed siebie uzbrojoną w

scyzoryk rękę. Joanna nie patrzyła na nią, tylko podeszła do regału. I wzięła z najniższej półki dwa worki. Michalina obserwowała każdy jej ruch, ale Joanna nie zwracała na nią uwagi. Wyciągnęła z worków śpiwór i karimatę, a następnie rozłożyła je na ziemi.

- Co ty robisz?! - wrzasnęła Michalina, widząc, że tamta się kładzie.

- Zwariowałam, zmęczyłam się... bez znaczenia. Nie chce mi się wszystkiego tłumaczyć - oświadczyła z zamkniętymi już oczami. - Ale ty rozgość się, twój chłopak wszystko ładnie przygotował... Trochę tu pobędziemy... Jesteś normalna, to może wszystko zrozumiesz.

- O czym ty, kurwa, mówisz?

- Na półce jest dużo produktów... Zakładam się, że czekoladki będą takie, jakie lubisz. - Przekręciła się na bok i wsunęła pod policzek złożone dłonie.

Leżała tak z zamkniętymi oczami, słysząc, jak Michalina zdejmuje z regału różne rzeczy i odkłada je z powrotem, a potem kręci się po pomieszczeniu. Postanowiła dać jej czas. Zrozumie. Przynajmniej tyle, ile ona sama się domyślała.

- Asiu? - odezwała się Michalina po dłuższej chwili, kucając obok niej. - Uważasz, że to Paweł nas tu zamknął?

- Nie uważam... Wiem, bo...

Joanna nie zdążyła wyjaśnić, bo Michalina nią szarpnęła, przewróciła na brzuch i usiadła na niej okrakiem. Wykręciła ręce do tyłu i zaczęła je związywać taśmą do zaklejania kartonowych pudeł. Joanna widziała ją już wcześniej, leżącą w kącie na podłodze, ale uważała, że jej do niczego się nie przyda. A jednak... Nie wrywała się zbyt mocno. Po raz kolejny wykręcone stawy dawały jej się we znaki. Poza tym nie miała ochoty na walkę. Na pewno nie teraz.

- Zadowolona? - zapytała, gdy Michalina oblepiała taśmą złączone nogi.

- Jak zawsze! Po unieruchomieniu wariatki - oświadczyła tamta tryumfującym głosem. - A teraz mów, gdzie są klucze!

- Nie mam. Poza tym jesteśmy zamknięte na skobel - warknęła Joanna. - Umysł ci się stępił czy tylko zestresował?

Nie słyszałaś, jak szarpałaś za klamkę?

Michalina wstała i podeszła do drzwi. Potrząsnęła nimi, opierając się rękami o blachę. Teraz wyraźnie było słycać tłukącą się o drzwi zapadkę.

- Ktoś ci pomaga w jakimś chorym planie?! - krzyknęła po chwili.

- Zrób kawę. Mnie najlepiej z pięciu łyżeczek, jeśli nie chcesz, żebym zasnęła.

- Jeszcze czego!

- Jedyłą bronią, jaką tu możesz mieć - spokojnie odparła Joanna - jest gorąca woda. Radzę ci, aby się cały czas gotowała. Przynajmniej będziesz miała czym powitać narzeczonego, gdy w końcu tu przyjdzie.

- Dlaczego chcesz mi wmówić, że to on?

- Bo on mnie tu przywiózł... Ciebie pewnie wcześniej uspił, skoro nie pamiętasz. Mnie wpakował do samochodu dostawczego i tu rzucił, więc lubię go trochę mniej.

- Dlaczego miałby to robić?

- Bo przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni. - Joanna obojętnym gestem wskazała na leżącą na ziemi książkę.

- Nie wierzę ci... Nie wierzę w ani jedno słowo, które wychodzi z twoich ust...

- Nie musisz... - Joanna odwróciła się do niej plecami.

\*\*\*

Jestem zła. Odrętwiała i przestraszona.

Wszyscy są przeciwko mnie.

Nikt mi nie wierzy...

Nawet Michalina. Choć pilnuje, żeby w czajniku był wrzątek. Włącza go co chwila. Zrobiła to już chyba ze sto razy.

Czas płynie wolno. Ma płynąć. Nie po to tyle tu zapasów.

Pani prokurator z nudów czyta. Przekartkowała książkę. A potem wyjęła z mojego plecaka laptop...

Myśli, że nie widzę... Jak wodzi oczami po moich myślach...

Drapie się po głowie. Chrząka. Sapie. Je zupę grzybową.

Co chwila wstaje, a potem siada na kartonie. Plecami do mnie.

Jest wściekła, ale i ta wściekłość się wysyca. Za chwilę się dopali. Wybuchnie co innego.

Już się żarzy przerażenie, już ma je w oczach... Zaraz się rozbucha.

Sika do plastikowego pojemnika, schowana za kartonami. Drżą jej nogi. Słyszę to.

Mnie też się chce.

\*\*\*

- Mnie też się chce - oznajmiła Joanna.

Michalina spojrzała na nią, przecierając oczy. Od kilku godzin czytała, wpatrzona w ekran laptopa.

- Co ci się chce? - zapytała, odgarniając włosy z czoła. Lepiły się. Była spocona.

- Siku - odparła Joanna, pokracznie próbując wstać. Ręce ciągle miała spięte za plecami.

Michalina Donaj patrzyła na nią z wyraźnym zakłopotaniem.

- Będziesz musiała zdjąć mi majtki. Cieszysz się?

Michalina zacisnęła zęby, zrywając jej taśmę z kolan. Potem podeszła do półki i wyjęła jeden z plastikowych pojemników. Otworzyła go i postawiła przed Joanną. Chwilę stała, patrząc na nią, potem bez słowa podeszła, zadarła jej sukienkę i spuściła na dół majtki. Joanna stanęła okrakiem nad pojemnikiem.

- Trzymaj tę szmatę i trzymaj mnie - powiedziała, kucając.

Michalina się nie ruszyła.

- Tu jest duszno. Jak obsikam podłogę albo tę paskudną kieckę, za kilka godzin będziesz czuła to całą sobą - uprzedziła ją Joanna.

Michalina podeszła do niej i chwyciła za ramiona.

- Oprzyj się o mnie i spróbuj trafić.

Po chwili cienki strumień obijał się o plastikowe ścianki, uzupełniając pojemnik.

- Poczekaj, dam ci chusteczkę - powiedziała, gdy Joanna skończyła.

- Co z tego, że mi dasz? - Joanna prychnęła pod nosem.

- Dobra, wiem, kurwa.

Michalina wstała. Szybko podeszła z powrotem i ją podtarła. Wyrzuciła zużytą chusteczkę, w jedną rękę wzięła butelkę z wodą i oblała sobie palce.

Joanna czekała, ciągle jeszcze kucając.

- Głupio wyglądasz z tym wypiętym tyłkiem - stwierdziła, podchodząc do niej, Michalina. - Wstań, podciągnę ci majtki.

- Mógłby zorganizować kuwetę. Jakoś by się to ogarnęło.

Michalina się roześmiała. Patrzyła na nią jakoś inaczej, ale Joannie nie chciało się zastanawiać, czy to chwilowa zmiana nastawienia z powodu dość intymnej sytuacji, odruch litości czy akceptacja absurdu w połączeniu z syndromem sztokholmskim. Mogło być wiele powodów, żaden jej nie interesował. Odwróciła się i poszła w kierunku karimaty.

- Nie śpij już! - krzyknęła Michalina. - Spałaś kilkanaście godzin. Gadaj ze mną!

- Po co? - spytała Joanna, układając się na podłodze. Mocno wygięty bark wymusił dziwną pozycję z policzkiem przylegającym do ziemi. - Przecież wszystko już wiesz - dodała.

- Nie wszystko. - Michalina wskazała palcem na laptop. - To prawda, co tam nawypisywałaś?

- Pytasz wariata? Oszalałaś... - Joanna westchnęła i zamknęła oczy.

- Nie śpij. Proszę - jęknęła Michalina błagalnym głosem. - Mam cię jeszcze przeprosić?! - krzyknęła, ale Joanna jej nie odpowiedziała.

Michalina podeszła do drzwi i znowu zaczęła nimi szarpać.

- Niech mnie, kurwa, ktoś stąd wypuści - wrzeszczała z całych sił, a potem zaczęła kopać. Po chwili się zmęczyła. Nie pierwszy raz waliła w blachę, a efekt był taki sam, czyli żaden. W końcu oparła się o drzwi i osunęła na podłogę.

- To nie jest tak, jak myślisz... - jęknęła. - Paweł tego nie zrobił!

Joanna nawet nie drgnęła. Już to słyszała. Powoli zaczynała śnić.

\*\*\*

Znowu przedzieram się przez chaszczę. Zanurzam w brudnej od glonów wodzie. Oblepia mnie rżęsa. Wodorost wypeł- za mi

do ust. Próbuję wypchnąć go językiem, a on się wokół niego owija. Widzę zmurszałe, rozczapierzone gałęzie... Gną się. Zbliżają. Pochwyć mnie...

\*\*\*

- Obudź się! - wrzasnęła Michalina, potrząsając ramionami Joanny. - Cała drżysz! A! - krzyknęła nagle. - Wiem, co cię obudzi...

Wstała z klęczek i poszła po szczyryk. Kiedy wróciła, zaczęła rozcinać taśmę krępującą nadgarstki.

- Nie boisz się? - zapytała cicho Joanna.

- Wiem, że wykończyłaś męża. Czy przypadkiem, czy celowo, nie interesuje mnie to teraz. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. Jestem silniejsza od niego. I na pewno mądrzejsza - dodała Michalina, odlepiając od jej skóry kawałki pociętej taśmy.

Joanna podniosła się i rozprostowała ręce. Poruszała trochę ramionami, po czym z dłońmi złączonymi jak do modlitwy położyła się z powrotem.

Michalina chwyciła ją za ramiona i przytrzymała w pozycji siedzącej.

- Nie kładź się przez chwilę. Poczekaj - mówiła jej prosto w twarz.

- Wiązesz mnie, żebym była nieruchoma, a teraz mną szarpiesz, bym się ruszała? Daj mi spokój - jęknęła Joanna, zamykając oczy.

- Siedzimy tu już kilkanaście godzin. Rozumiesz to?

- Nie do końca...

- Asia! Asiu, posłuchaj mnie... - Michalina, przytrzymując jej głowę i zmuszając do patrzenia w oczy, zaczęła mówić błagalnym głosem. - Ja mam syna... On jest mały... Nie wiem, co się z nim dzieje...

- Nie martw się. Jest z tatą. Dowie się, że mamusia wyjechała i pewnie przyśle mu kartkę z podróży.

Michalina zacisnęła zęby, słycać było, jak zgrzytają.

- To twoja hipoteza. Posłuchaj innej prawdopodobnej wersji wydarzeń. Wersji, którą znam ja.

- Nie chce mi się niczego słuchać - odparła Joanna, przy-

mykając powieki.

- To zapisz - powiedziała głośno Michalina.

Joanna otworzyła szeroko oczy.

- Tak, zapisz. Do swojej książki. Właśnie tak! - W Michalinę wstąpił entuzjazm. To był strzał w dziesiątkę! - Poczekaj, już ci daję laptop. Naładował się. Chcesz kawę? - zapytała, wstając. - Nie będę pytać, zrobię ci. Jaką? A może zupy? Czekolady?

- Co chcesz mi powiedzieć?

- To, co wiem ja!

Michalina położyła laptop na kolanach Joanny.

\*\*\*

Teraz spisuję wszystko, co się wydarzyło. Palce mechanicznie biegają po klawiaturze. Monotonia stukania wprowadza rytm. Uruchamia myślenie.

Michalina nic nie mówi, tylko patrzy na mnie.

Zrobiła kawę. Nie kawę - siekierę!

Bardzo nie chce być sama.

Nie planowałam tego... A to najlepszy plan.

Przez godzinę, dwie, może sześć... cieszyła się, że ma mnie związaną. Bezradną.

Osiągnęła chwilowy cel, ale radość też trwała chwilę.

Tu, teraz, jest na mnie skazana.

Wie o tym, w dodatku dopadły ją wątpliwości. Każdego by dopadły.

Chce mi coś powiedzieć i to coś pewnie będzie prawdą.

Oczywiście prawdą, jaką zna. Ale czy są inne prawdy niż te, które znamy? Przecież tylko one są prawdziwe i obowiązujące. Trzeba rewolty, żeby je obalić.

Chce mi coś wyznać. Widzę to po niej. Znam ją.

Chce powiedzieć, co według niej się stało.

Chce, bym się tego dowiedziała. Tak po prostu. Nie!

Boi się.

Chce zostawić jakiś ślad.

Trop! Może nawet testament, jeśli nie wyjdziemy z tego żywe...

Miała czas. Siedzimy tu już wiele godzin. Musiała wziąć to pod uwagę. Głupia nie jest.



\*\*\*

- Słuchaj - powiedziała Michalina do Joanny. - Patrz, stara, na mnie i słuchaj. I pisz! Odkąd przestałam pracować w prokuraturze, ani razu się z Pawłem nie spotkałam. Aż do pewnego przyjęcia pięć lat później. Znajomi zaprosili jego i mnie. Usadzili obok siebie. Nie wiedzieli, że łączy nas pewna sprawa. Mnie koleżanka szepnęła, że od niego uciekła żona. Wiedziałam więcej, ale ich nie oświeciłam. Niezręczne to było. Zdychałam przez pół kolacji. Zmuszałam się do rozmowy i on też. Ale gdzieś przy deserze... coś zaczęło się kleić. Ani słowa o tamtej sprawie. Ani on, ani ja. Tylko o życiu, takie tam bla... bla... we wspólnym rytmie. Jak na chwilę przed pójściem do łóżka. Nie stało się to jednak od razu. Minęły trzy miesiące... ale wiesz, stara, jak jest. Wiesz, że to się stanie, tylko nie wiadomo kiedy. Drżało w powietrzu i tyle. Myślałam o tej żonie, ale nie dręczyło mnie to ani nie obchodziło. Dopóki nie zasłamałam w ciążę. Przypadek? Trochę tak, a trochę nie. I wtedy zaczęło się zmieniać. Zaczęły dręczyć mnie koszmary. Śniła mi się ta Justyna. W różnych pozycjach. Przydusiłam go. Przyszedł. Ryczałam. Kazałam mu powiedzieć, co się wtedy stało. Nie chciał. Wyrzuciłam go. Po czym oznajmiłam, że usuwam ciążę. To go rozwalilo. Trząsał się. Krzyczał. Twarda byłam, wiedziałam, że to ten moment. Przesłuchiwałam większych twardzieli od niego. Powiedziałam, że nie urodzę dziecka mordercy! W końcu to on rozplakał się jak dziecko. Wyobrażasz sobie? Opanowany. Jak głąz... a z twarzy zrobiła mu się galareta. Czerwona, trzęsąca się galareta. Wiedziałam, że pękł. Że się rozsypał. Wiem, kiedy ludzie się rozsypują, nieraz to widziałam. Jak poczucie winy rozpięrdala ich raptem od środka. Jak zaro- piała prawda przebija się przez skórę i wylewa na zewnątrz. Powiedział, że on tego nie zrobił. I wiem, że mówił prawdę. Jakkolwiek dziwna by była. Opisał mi ze szczegółami cały wieczór. Jak się kłócił z Justyną, nie pierwszy raz. Gdy jej powiedział, że chce się rozwieść, zaczęła go straszyć, rzuciła się na niego, potem spakowała Mariettę, chciała ją zabrać w środku nocy, nie wiadomo dokąd. Chyba do

tej kochanki. Dziewczynka płakała, kładła się na podłodze, nie chciała iść. Bała się. Przyszedł dziadek, próbował uspokoić córkę, ale był pijany i zasnął w korytarzu. Wrócił z polowania, obok leżała broń. Wzięła ją Marietta. Chciała przestraszyć matkę, ale gdy ta na nią krzyknęła, dziewczynka, nie wiedząc, co robi, pociągnęła za spust. Dziadek przebudził się, ale myślał, że jest jeszcze w lesie. Justyna leżała na ziemi, targały ją konwulsje, potem zastygła w bezruchu. Marietta wpadła w histerię, myślała, że matka żyje. Paweł Cis nie wyprowadził jej z błędu. Nie wiem dlaczego. On też nie wiedział. Może był w szoku. Może pomyślał, że to lepsze rozwiązanie, niż zostawić ją z takim piętnem. Wiesz... on ją kocha. Był z nią od dawna. Był, kiedy matki nie było. Wmówił jej więc, że zawiózł Justynę do szpitala, a tam powiedzieli, że wszystko jest w porządku. Ale ma to być ich tajemnica. Przekonał ją, że Justyna wyjechała i nie chce ich widzieć, bo uważa, że oboje są przeciwko niej. Justyna mówiła tak wielokrotnie, więc mała uwierzyła... Miałas rację, podrobił pocztówkę... Potem, kiedy ochłonął, żałował, że wszystko się tak potoczyło. Ale nie było odwrotu. Justyna nie żyła, pochował ją.

Nie powiedział mi jak i gdzie, a ja nie pytałam. Ta wiedza nie była mi do niczego potrzebna. Uwierzyłam mu...

A teraz już nie wiem, w co wierzę...

\*\*\*

Piszę to wszystko...

I też nie wiem, co o tym myśleć...

Albo powoli wiem... A to przeraża mnie jeszcze bardziej.

\*\*\*

- Dlaczego nic nie mówisz? - dopytywała się Michalina. - Nie siedź tak! Powiedz coś wreszcie! Tak ci żal, że nie wszystko idealnie wymyśliłaś? Nie wierzysz w to, co ci mówię?

- Wierzę - odparła po dłuższej chwili Joanna.

- Więc wiesz już, co tą książką narobiłaś... Odgrzebałaś cały dramat...

- Mówiłam ci, że to nie ja.

- Twoja Marietta, czyli Marysia, jak do niej mówi Paweł, próbowała popełnić samobójstwo tak jak w twojej powieści. Teraz wszystko przestawiło jej się w głowie i myśli, że on to zrobił. Nie wiem, co ona pamięta... Nie to, co jest prawdą - powtarzała Michalina, kręcąc się w kółko na kilkumetrowej przestrzeni.

- Prawda jest zawsze jedna. Własna - odpowiedziała jej Joanna.

- Może twoja taka jest! - zachnęła się Michalina, po czym szybko dodała: - Powiedziałam, że nie będę wnikać w to, co wydarzyło się tam... eee... z twoim mężem.

- Oceniasz mnie? - Joanna podniosła wzrok. - Jakkolwiek by było, zasłużona strażniczko prawa, zataiłaś prawdę. Jako adwokat czy narzeczona? Czujesz się jak ta łza czysta, bo chłopak się przed tobą wypłakał? Opowiadając, jak to rycersko zakopał, utopił albo spalił swoją żonę? - zakończyła spokojnym głosem.

- Dobra, przepraszam... Ale gdyby nie ta książka, nie byłoby nas tutaj! - krzyknęła Michalina i po raz kolejny kopnęła blaszane drzwi.

Joanna opuściła głowę.

- Nic nie rozumiesz. Wszystko, co się dzieje, dzieje się zgodnie z planem. Gdyby nie było książki, byłby inny początek, ale zakończenie takie samo. - Zrobiło jej się smutno. Zrozumiała, że była w tej sztuce tylko drugoplanową postacią.

- Co chcesz powiedzieć? To bez znaczenia, że się ukazała? To o co według ciebie chodziło Bernadecie, skoro uważasz, że to ona do tego doprowadziła?

- Bernadetta chce się dowiedzieć, co się stało z Justyną, i tyle. Kiedyś pracowała w wydawnictwie, może trafiła na tę książkę. Zresztą to bez znaczenia. Ona też jest tylko pionkiem.

- Czyli kto tym steruje, szanowna mistrzyni kryminału? - zapytała Michalina, kręcąc głową.

- Niepotrzebny ten sarkazm, błyskotliwa pani prokurator - odpowiedziała Joanna. - I tak zaraz się dowiesz - oznajmiła, patrząc w ekran komputera. - Ktoś jest w pobliżu...

- Jak to jest? Skąd wiesz? - Michalina szybko podeszła do niej

i usiadła obok.

- Wykryto połączenie z internetem. Ktoś się zbliża.

- Jezu! Daj mi to! - krzyknęła Michalina i wyrwała jej laptop z rąk. - Zablokowany dostęp... O! Jest ktoś jeszcze... - Otworzyła usta z wrażenia, po czym zakryła je dłonią, patrząc na ekran szeroko otwartymi oczami.

- Znasz te symbole. Widzisz, nie myliłam się. - Joanna wzruszyła ramionami i spojrzała na drzwi, potem na czajnik.

Jeszcze parowała z niego woda. - A znasz hasło dostępu? - zapytała przytomnie.

- Tak - powiedziała Michalina, wstukując kolejne litery. - To imię naszego syna - dodała drżącym głosem i po chwili pokazała się skrzynka pocztowa.

- Michalino, nie wszystko odgadłam, ale nie myliłam się... Ty też nie... - powiedziała Joanna.

- Dobra, dobra.

- Michalino...

- Zaraz! Wzywam pomoc. - Trzęsącymi się palcami Michalina szybko wpisała adres i zaczęła wstukiwać wiadomość.

Ratuj!!!!!! Proszę, szybko!!!!!! Jesteśmy zamknięte. Tu, gdzie w książce Paweł palił Justynę! Szybko, ktoś tu idzie!!! Otwiera drzwi!!

.....  
.....  
.....  
.....  
.....

\*\*\*

Teraz piszę ja - Michalina Donaj.

Może to będzie inaczej, gorzej napisane.

Ale obiecałam to sobie. Obiecałam to jej.

Asiu!

Skończę tę książkę. Za ciebie! I dla ciebie!

I dziękuję ci. Może w chory, pokręcony sposób, ale uratowałaś

mnie.

Będę ci za to wdzięczna do końca życia. Pamiętaj o tym. Wariatko ty moja kochana...

Ale po kolei...

\*\*\*

Michalina nerwowo pisała kolejną wiadomość, gdy za metalowymi drzwiami rozległ się strzał. Laptop spadł jej z kolan... Zamarła. A właściwie sparaliżował ją strach. Bała się, że zginie. Myślała o swoim synu. O tym, że pozostanie z Pawłem, a on nigdy mu nie powie, co się stało z jego mamą. Jak zakłęta wpatrywała się w drzwi. Dopiero po chwili spostrzegła, że Joanna wstała i podeszła do czajnika z gorącą wodą. Ukryła się z nim za półką i patrząc na siedzącą nieruchomo Michalinę, przyłożyła palec do ust.

Klucz zazgrzytał w zamku. Michalina pomyślała, że też powinna się jakoś ukryć, ale czuła, że ma nogi z waty i może się na nich nie utrzymać. Siedziała więc, patrząc, jak drzwi się otwierają. Wstała dopiero, gdy zobaczyła Mariettę.

- To ty? Cudownie! - krzyknęła i chciała do niej podejść. Prawie zrobiła krok, ale kątem oka zobaczyła, że Joanna ostrzegawczo kiwa palcem. Nie rozumiała, o co jej chodzi, ale zatrzymała się.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę - powiedziała łagodnie Marietta.

Michalina znała ją dobrze, choć nigdy się nie zaprzyjaźniły. Miała wrażenie, że ona jej unika, i nie zabiegała o zmianę tego stanu rzeczy. Uważała, że skoro syn jej i Pawła nie jest bratem Marietty, to nie ma sensu zacieśniać kontaktów. Ale stosunki, jakie panowały między nimi dwiema, uznawała za poprawne. Czasami spotykały się, gdy Marietta wracała z wojaży. Jako rozchwytywana modelka latała po całym świecie. Nikt by nie uwierzył, że w dzieciństwie była gruba i zapuszczona. Michalina nie rozpoznawała jej na zdjęciach z tamtego okresu. Nalana, puciołowata twarz nijak się miała do charakterystycznych wysokich kości policzkowych, które tak bardzo ją wyróżniały. Poza tym była szczupłą, wysoką i piękną

dziewczyną o smutnym, trochę melancholijnym spojrzeniu.

Teraz wyglądała inaczej, choć jak zwykle była w czarnych szpilkach i zwiewnej białej sukience. Sprawiała wrażenie eterycznej, ale w jej oczach pojawiła się jakaś nieznana energia. Michalina nie wiedziała, czy właśnie to spojrzenie kazało się jej zatrzymać, czy ostrzegawczy gest Joanny. Dopiero później zobaczyła, że Marietta trzyma prawą rękę za plecami. I stoi nieruchomo w wejściu.

- Cieszę się, że cię widzę - odezwała się niepewnym głosem Michalina.

- Naprawdę? - zapytała Marietta i jakoś dziwnie się uśmiechnęła.

- Ktoś... - Michalina chciała powiedzieć „nas”, ale widząc, jak Joanna przytyka palec do ust, zdążyła się poprawić - mnie tu zamknął.

- Myślał, że cię tutaj schowa. A ja cię nie znajdę... Ale znalazłam. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Chciał mnie powstrzymać... ale mu się nie udało.

Otworzyła szeroko drzwi i przesunęła się o dwa kroki w bok.

Michalina zobaczyła leżącego na ziemi Pawła. Rzęził i próbował się czołgać w ich kierunku. Krzyknęła i chciała biec do niego, ale Marietta wyciągnęła przed siebie prawą rękę. Miała w niej broń.

- Nie myśl, że nie trafiłam... Celnie strzelam - powiedziała, patrząc na Pawła. - Chciałam, żeby widział, co się zaraz stanie.

Paweł na chwilę podniósł głowę i dalej próbował się czołgać. Z jego twarzy nie można było wyczytać nic innego, jak tylko ból towarzyszący każdemu pokonywanemu centymetrowi.

Michalina chciała krzyczeć, ale się powstrzymała.

- Po co to robisz? - zapytała, starając się przyjąć możliwie obojętny ton głosu. Miała nadzieję, że jeśli skłoni ją do rozmowy, zyska więcej czasu. A czas był jej bardzo potrzebny.

- Mówił, że mnie kocha. Że zawsze będziemy razem. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Przez rok jadłam kisiel. Wyobrażasz to sobie? Dwa smaki. Cytrynowy i malinowy. Straciłam okres, włosy wypadły mi garściami. Wszystko, żeby mu się podobać. A on przygarnął sobie taką starą rurę jak ty. -

Marietta skrzywiła się, obrzucając Michalinę zniesmaczonym spojrzeniem - Rozczarował mnie... Po tym, co dla niego zrobiłam.

- A co dla niego zrobiłaś? - zapytała Michalina, patrząc, jak Paweł doczołguje się już prawie pod drzwi.

Marietta też na niego spojrzała. Wyciągnął rękę w jej kierunku i chwycił za kostkę. Był słaby. Bez trudu mogła się wyrwać, ale tylko przyglądała się przez chwilę, po czym uniosła drugą nogę i obcasem wbiła mu się w nadgarstek. Zasyczał z bólu i puścił.

- Przepraszam - jęknął, próbując patrzeć na Michalinę. - Myślałem, że zdążę z nią...

- Co myślałeś? - przerwała mu Marietta. - Że zdążysz zamknąć mnie w psychiatryku? Ja cię od niej uwolniłam, a ty byś mnie zamknął!

- Uwolniłaś? - zapytała ponownie Michalina. - Przecież to był wypadek...

- Też tak myślałam przez długi czas. Że broń sama wystrzeliła... ale potem uświadomiłam sobie, że zrobiłam to, bo chciałam zrobić. Myślałam, że on też to wie... I czeka na mnie... aż dorosnę, aż będziemy razem... Matka mnie nie kochała, a on tak. - Spojrzała na Michalinę. - Wiesz, jakie to uczucie?

- Jakie? - Michalina kątem oka dostrzegła Joannę, która bardzo powoli zaczęła wysuwać się zza półki.

- Setki chcą cię przelecieć, a ten jeden nie...

- Bo może kochał cię jak córkę. Pomyślałaś o tym?

- Nie jestem jego córką! - wrzasnęła Marietta.

- A po co ci była ta książka? - zapytała szybko Michalina, widząc, że Joanna otworzyła przykrywkę czajnika. Jeszcze się nad nim unosił mały obłoczek pary.

- Żeby patrzeć na ciebie... Żeby ci popsuć sielanekę... Myślałam, że mi wystarczy, jak on wylądował w więzieniu, ale zmieniłam zdanie... To za mało!

- Ale po co strzelałaś do siebie?

- Żeby mi wszyscy współczuli...

- Chciałaś trafić do tego samego szpitala co Joanna?

- Chciałam ją poznać... Ale ona jest jakaś jebnięta... Tak samo beznadziejnie pisze. Będzie następna w kolejce. Wiesz co? Nudzi mnie ta rozmowa... dużo pracy przede mną. - Odbezpieczyła broń.

Joanna była już blisko Marietty, ale jeszcze bliżej drzwi. Mogła uciec. Zdażyłaby. Ale...

- Kładź się! - wrzasnęła nagle.

Jej krzyk prawie złał się z wystrzałem. Ułamek sekundy wystarczył, by Michalina uchyliła się, padając na ziemię. Poczowała ból w kolanie. Niemal jednocześnie usłyszała krzyk Marietty. Joanna chlusnęła jej wrzątkiem w twarz, a potem rzuciła się na nią całym ciałem. Michalina niewiele widziała, bo odruchowo dotknęła ręką kolana. Miała strzaskaną kość. Nie zemdliała, ale oczy zaszyły jej mgłą. Gdy odzyskała widzenie, zobaczyła szamoczące się kobiety. Turlały się po ziemi. Nie wiedziała, jak długo to trwało, ale w końcu dostrzegła, że Joanna ma w ręce broń. Odetchnęła. Choć tylko na krótką chwilę, bo zobaczyła Pawła, który leżał nieruchomo w kałuży krwi. Wstała, chciała do niego iść, ale tylko oparła się o jakiś karton, nie mogąc zrobić kroku. Noga krwawiła mocno. Tymczasem Joanna podniosła się. Z pistoletem w ręce. Marietta trzymała się rękami za głowę. Miała czerwoną twarz.

- Nie daruję ci tego! - krzyknęła Joanna.

- Asiu, Asiu... - Michalina próbowała coś powiedzieć, ale ona nie patrzyła na nią ani jej nie słuchała.

- Nie daruję ci tej książki! - wrzeszczała Joanna z wściekłością. Nie zauważyła nawet, że pod magazyn zajechał jakiś samochód.

- Asiu, uspokój się - prosiła Michalina, widząc, jak tamta zaczyna się trząść i jak drży broń w jej rękach.

- Kto ci pozwolił w niej grzebać?! Kto?! - powtarzała w kółko jak opętana, gdy w drzwiach stanął oniemiały Tomasz Przekora. Musiał zrobić duży krok, by ominąć leżącego na ziemi Pawła Cisa.

- Ratuj nas! To wariatka! - Marietta skoczyła w jego kierunku.

Joanna cały czas trzymała wycelowany w nią pistolet, więc



gdy Marietta schowała się za plecami Tomasza - mierzyła dokładnie w niego.

- Rzuć broń! - krzyknął blady ze strachu prokurator. - Policja już tu jedzie. Naprawdę - dodał, pocieszając chyba sam siebie.

- Odsuń się! - rozkazała Joanna.

Tomasz podniósł ręce do góry i zastygł nieruchomo, jakby w ogóle nie rozumiał jej słów.

To wystarczyło Marietce, która natychmiast znikła za jego plecami.

- To nie tak... - próbowała powiedzieć Michalina, ale sama miała wrażenie, jakby mówiła w zwolnionym tempie. - To nie ona...

- Policja już jedzie... policja już jedzie... policja już jedzie - powtarzał Tomasz.

- A nie pogotowie? - zapytała spokojnie Joanna i usiadła, głęboko oddychając. Rękę, w której trzymała broń, położyła na ziemi.

- Dzwonię... - powiedział, szybko wyciągając telefon z kieszeni. I widząc, że Joanna na niego nie patrzy, równie szybko wycofał się z magazynu. Potknął się przy tym o leżącego Pawła, prawie się przewrócił, ale udało mu się wybiec.

Znowu zostały same. Patrzyły na siebie.

- Oddycha - stwierdziła Joanna, która znajdowała się bliżej Pawła.

- Zdążą?

- Zdążą. - Joanna zamknęła oczy. - Świetne zakończenie. Sama bym tego nie wymyśliła - dodała po dłuższej chwili.

- Dzięki - Michalina się uśmiechnęła.

I już nic więcej do siebie nie powiedziały.

\*\*\*

Przyjechała policja i przyjechało pogotowie. Zabrali Pawła, a potem położyli mnie na noszach. Zdążyłam wszystko zobaczyć.

Po nią też przyjechała karetka... Z tym że ją ubrali w kaftan. Szarpała i gryzała, ale po krótkim czasie osłabła. Byli silniejsi. Od pielęgniarki o wyglądzie i posturze mężczyzny dostała zastrzyk. Zwiotczała w jednej sekundzie. Głowa opadła, nogi się

ugięły. Wpakowali ją do samochodu.

Próbowałam krzyczeć, ale też nie miałam już siły. Myślałam, że to wszystko się zaraz wyjaśni.

Ale minął miesiąc i nic się nie wyjaśniło.

Marietta znikła, Paweł wydobrzał, a Tomasz szalał.

Nie chciał nikogo słuchać. Wiedział swoje. Nawet teraz przy tym obstaje. Uważa, że tak ma być. Że dobrze się stało. Że powinna być w zakładzie zamkniętym. Że tam jej miejsce. Bez względu na to, co się stało w magazynie.

Po co ja do niego pisałam? Po co prosiłam go o pomoc?

Uważa, że sprawa Joanny i sprawa Marietty - to dwie oddzielne sprawy!

Kretyn!

Powtarza w kółko jak pojebany, że uzyskał postanowienie sądu. A konsylium lekarzy orzekło, że Joanna zagraża sobie i społeczeństwu, więc trzeba ją izolować...

Idiota!

Nie rozmawiam z nim i on ze mną też nie chce. Nie dziwię się, że żona go zostawiła!

Ale ja będę jej bronić!

Procedura nie jest łatwa...

Piszę jedno pismo do sądu. A Tomasz drugie. Albo dwa naraz. Został sam, bez żony, to ma dużo czasu na pisanie...

Trochę to potrwa, ale się nie poddam.

Byłam u niej. Uzyskałam zgodę...

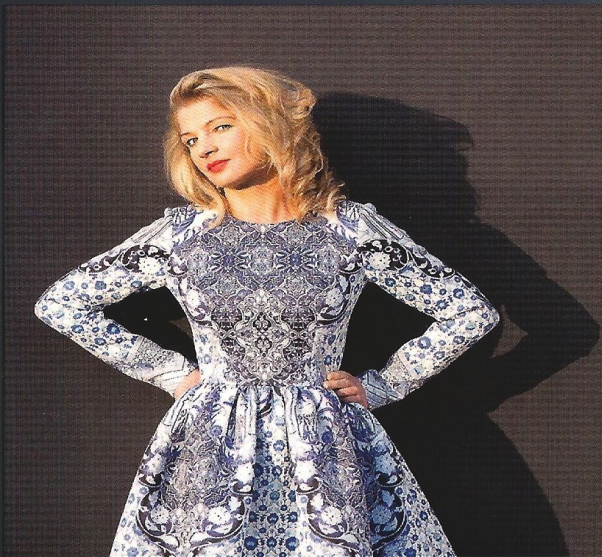
Ale nie wiem nawet, czy mnie rozpoznała. Siedziała z zapadniętymi ramionami i opuszczoną głową. Wychudzona. Niemyta. Tłuste strąki zasłaniały jej oczy. Miała rozdrapane pryszcze na twarzy. Patrzyła, ale to było puste spojrzenie.

Nie mam pojęcia, czym ją tam faszerują...

Ale w końcu ją stamtąd wyciągnę.


Obiecuję!

fot. Magdalena Adamczewska



**Joanna Jodelka** (ur. 1973)

ukończyła historię sztuki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zadebiutowała powieścią *Polichromia*, za którą otrzymała Nagrodę „Wielkiego Kalibru” dla najlepszego kryminału 2009 roku; książka została przetłumaczona na język angielski. Pisarka uzyskała stypendium literackie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także stypendium Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej. Jest autorką: *Polichromii*, *Grzechotki*, *Ars Dragonii*, *Kamyka*, *Kryminalistki* i kilku niezrealizowanych scenariuszy.



U Jodelki jest jak u Hitchcocka – najpierw trzęsienie ziemi,  
potem napięcie rośnie.

„WYSOKIE OBCASY”

Joanna, autorka kryminalów, przebywa w szpitalu psychiatrycznym  
w stanie ciężkiej depresji. Odmawia przyjmowania leków.  
Wszystko się zmienia, gdy dostaje nowo wydaną książkę, którą kiedyś  
napisała, a w szpitalu ktoś próbuje ją udusić.  
Joanna uświadamia sobie, że musi działać.  
Zaczyna przyjmować leki, ale ukrywa, że jej stan się poprawia,  
a mózg pracuje na coraz wyższych obrotach.

**CZY UDA JEJ SIĘ ROZWIKŁAĆ TAJEMNICĘ SZALEŃCA?  
CZY ZDOŁA PRZED NIM UCIEC?**

Joanna Jodelka, tak jak Gillian Flynn, autorka *Zaginionej dziewczyny*,  
łączy w powieści elementy klasycznego kryminału,  
powieści psychologicznej, romansu i thrillera.  
Obok Katarzyny Bondy i Gai Grzegorzewskiej to kolejna pisarka,  
która z formą kryminału potrafi robić ekscytujące i mądre rzeczy.  
Nikt nie morduje ostatnio tak pięknie jak polskie „kryminalistki”.

KAROLINA SULEJ  
(DZIENNIKARKA „WYSOKICH OBCASÓW”,  
„VIVA! MODA”, MAGAZYNU „KSIĄŻKI”)

patron

 [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)



[www.wydawnictwoswiatksiazki.pl](http://www.wydawnictwoswiatksiazki.pl)  
 /wydawnictwo.swiat.ksiazki

lesiojot